

SZTUCZNA INTELIGENCJA
Dlaczego ją przeceniamy
i czym to grozi

SĄDOWE ZOMBIE
PiS reformuje sądy tak,
by stały się niepotrzebne

KS. TOMÁŠ HALÍK
Katolicyzm bez
chrześcijaństwa

OPERA DLA OPORNYCH
Jak przestać się jej bać
i zakochać się na dobre

Kraków 1 grudnia 2019 nr 48 (3673)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Kobieta roku

**S. MAŁGORZATA
BORKOWSKA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480901

WITAJ W DOMU

Wsparcie uchodźców w Polsce

REKLAMA



**PODZIEL SIĘ CIEPŁEM.
WEJDŹ NA WITAJWDOMU.ORG.PL,
POMÓŻ RODZINOM UCHODŹCZYM
ZNALEŹĆ BEZPIECZNE MIESZKANIE
PRZED ZIMĄ.**

Prawie połowa uchodźców w Polsce to dzieci.

Ich rodziny często borykają się z biedą, a nawet bezdomnością. Brak toalety, ciepłej wody, wilgoć, spanie w kurtkach – to dla nich codzienność.

Cieężko jest w takich warunkach budować życie w nowym kraju.

Fundacja Ocalenie działa od 2000 roku. Wspieramy uchodźców i imigrantów w budowaniu nowego życia w Polsce. Pomagamy znaleźć i wyremontować mieszkanie, wypełniamy dokumenty, uczymy polskiego, prowadzimy psychoterapię, udzielamy pomocy prawnej. Z naszej pomocy korzysta rocznie ok. 3000 osób z ponad 80 krajów.


FUNDACJA
OCALENIE

KS. ADAM

Boniecki: Oślica, która przemówiła

SPOTKAŁEM SIĘ GDZIEŚ Z OPINIĄ, ŻE ZMIANY, które w życie zakonów żeńskich wniósł Sobór Watykański II, w Polsce nie nastąpiły. Jestem innego zdania. Nastąpiły. Może nie takie jak gdzie indziej, może nie w całej rozciągłości. Cóż, zmiany mentalności tego rodzaju środowisk to proces wymagający czasu i wymiany pokoleń. W pośpiechu można po drodze zgubić coś, co dla życia zakonnego jest istotne.

Zatrzymam się tu na symptomach zmian. Jednym z nich jest siostra Małgorzata Borkowska OSB, o której pisze Jerzy Sosnowski w dziale Wiara. Jej książeczka „Oślica Balaama” (2018) stała się wydarzeniem. Niedługo później ukazał się dalszy ciąg: „Ryk oślicy. Kolejny apel do duchownych panów”. Autorka, po studiach filologii polskiej i filozofii na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, oraz teologii na KUL-u (w roku 2011 doktorat *honoris causa* tegoż), historyczka duchowości (napisała m.in. „Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII i XVIII wieku”), w tej książeczce, którą kilkanaście lat trzymała zamrożoną w komputerze, zdrowo dokłada księżom. To ona jest oślicą Balaama, która przemówiła. Mówi w imieniu zakonnic, które przez kilkanaście stuleci pokornie i w milczeniu słuchały księżowskich kazań, konferencji, pouczeń. Mówcy zakładali, że oni wiedzą wszystko, a one nic. Teraz benedyktynka Małgorzata pokazuje nam, księżom, naszą arogancję, ignorancję, brak kultury umysłowej, językowej, liturgicznej i w ogóle. Mówi: uważaliście nas za idiotki, teraz patrzcie, kto tak naprawdę jest idiota.

Jest w Polsce kilka zakonnic jak ona, których znaczenia i społecznej rangi nikt nie kwestionuje – raczej mimo tego, że są zakonnicami, a nie dlatego, że nimi są.

Siostra Barbara Chyrowicz ze Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego: etyczka, filozofka, profesorka i wykładowczyni KUL, gdzie kieruje Katedrą Etyki Szczegółowej, członkini Komitetu Bioetycznego przy PAN. Siostra



Anna Bałchan ze Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej, terapeutka, trenerka dialogu motywującego, założycielka i prezeska zarządu Stowarzyszenia PoMOC dla Kobiet i Dzieci, walcząca w obronie ludzkiej godności. Pomaga kobietom i ich dzieciom zagrożonym lub dotkniętym przemocą seksualną, fizyczną i psychiczną, ofiarom handlu kobietami, ofiarom przymusowej prostytucji, a także bezrobotnym mającym problemy wychowawcze, małżeńskie i finansowe. Siostra Małgorzata Chmielewska ze Wspólnoty „Chleb Życia”, prowadząca domy dla bezdomnych, dzieląca z nimi życie...

One są znane. Ale przecież są setki zakonnic prowadzących przedszkola, opiekujących się chorymi, jak mała siostra Jezusa Elżbieta – lekarka, która pracowała w krakowskim hospicjum. Rodziny, do których trafiała, mówiły mi: „Anioł do nas przyszedł”. Są też siostry na misjach. Bez ich obecności, pracy i miłości misje w ogóle nie byłyby możliwe.

Nie jestem naiwny. Znam np. książkę Marty Abramowicz „Zakonnice odchodzą po cichu”. Z pewnością opisane w książce historie są prawdziwe. Przecież w Polsce mamy ponad 20 tys. zakonnic. Siostra Borkowska pisze, że gdy kiedyś opracowywała przedsynodalne materiały nadesłane ze wszystkich klasztorów kontemplacyjnych, „wśród różnych sformułowań wśród różnych duchowości przewijał się stale i niezmiennie jeden motyw, mianowicie że jedyną podstawą do podjęcia życia mniszki jest osobista miłość, osobiste zauroczenie Chrystusem. To było dla wszystkich piszących tak oczywiste jak oddech”. Czy tak jest we wszystkich zakonach? Zawsze? Nie we wszystkich wspólnotach owo „osobiste zauroczenie Chrystusem” wytrzymało próbę czasu i konfrontację z ludzką słabością. Różnie bywa. Wśród 20 tysięcy...

Czytelniku, zanim coś powiesz na temat zakonnic, dobrze się zastanów. Wśród słuchających „siostrzyczek” może być Oślica, która przemówi... A z takimi nie ma żartów. ©P

KS. ADAM BONIECKI

**Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim
towarzyszące premierze książki**

„STREFA DOBREGO ZASIĘGU”

prowadzenie: Michał Olszewski

środa 4 grudnia, godz. 18

Małopolski Ogród Sztuki, ul. Rajska 12 w Krakowie

Wstęp wolny!

Przed spotkaniem będzie można kupić książki ks. Adama i wydawnictwa „Tygodnika Powszechnego”

ZAPRASZAJĄ:

TYGODNIK
POWSZECHNY

Teatr im. J. Nowakowskiego
w Krakowie

MOS
KRAKÓW

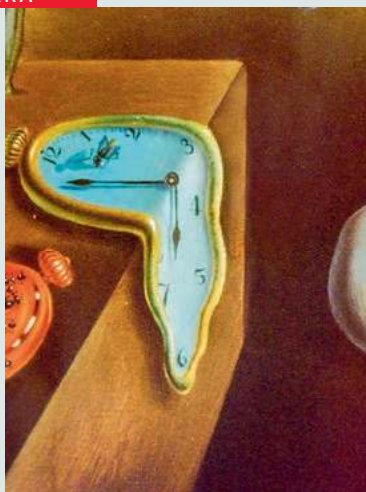
60 znak

**STREFA
DOBREGO
ZASIĘGU**

TEMAT TYGODNIKA

12 Cień sztucznej inteligencji

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Nie jest na razie tym, za co ją bierzemy. A przecenianie inteligencji wszystkich tych lodówek, samochodów i szczoteczek do zębów, do których już przywykliśmy, może się obrócić przeciwko nam.

**22 Trybunalskie zombie**

MARCIN MATCZAK
Może w tzw. reformie wymiaru sprawiedliwości chodzi tylko o to, żeby sądy stały się nam niepotrzebne.

**32 Módl się, pracuj i myśl**

JERZY SOSNOWSKI
Siostra Małgorzata Borkowska, która właśnie skończyła 80 lat, ma odpowiedź na klerykalizm i męską dominację w Kościele.

**44 Ofiary Erdoğan**

INGA ROGG Z BARDARASZ W PÓŁNOCNYM IRAKU
Prezydent Turcji zapowiadał utworzenie w Syrii „strefy bezpieczeństwa”. Osiągnął coś przeciwnego: pozostawieni przez Amerykanów Kurdowie tysiącami porzucili swoje domy.

**82 Zażyj tabaki**

DOROTA KOZIŃSKA
W Polsce pokutuje przeświadczenie, że wyprawa do opery jest równoznaczna z wycieczką do muzeum sztuki mieszczańskiej, gdzie zaserwują nam idiotyczny melodramat z równie kretyńską oprawą muzyczną. Obalamy stereotypy o operze.

**66 Czućcie przeciw prawdzie**

MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Polityka zbudowana na wartościach to ślepy zaułek – twierdzi Michał Paweł Markowski w swojej najnowszej książce.



- 6 W białych rękawiczkach**
Dotowana przez UE libijska straż przybrzeżna handluje ludźmi
MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

- 12 Cień sztucznej inteligencji**
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

- 20 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

- 22 Trybunalskie zombie**
MARCIN MATCZAK

- 26 Wsi niespokojna**
SYLWIA URBAŃSKA
o pustoszących polskich wsiach

- 29 Dom na krawędzi**
MARCIN CHODUŃ: *Farma Życia*
zbudowana przez rodziców dzieci z autyzmem może przestać istnieć

■ ■ WIARA

- 32 Módl się, pracuj i myśl**
JERZY SOSNOWSKI

- 36 Czas burzy**
KS. TOMAŚ HALÍK: *Do czego prowadzi katolicyzm bez chrześcijaństwa*

- 38 Droga Nadchodzącego**
PIOTR SIKORA *na Adwent*

■ ■ ŚWIAT

- 44 Ofiary Erdoğan**
INGA ROGG Z IRAKU

- 46 Evo, panu już dziękujemy**
DOMINIKA MATEJKO

MEDAL ŚW. JERZEGO A.D. 2019



BARTOSZ SIEDLIK DLA „TP”

86 Pedagogika dla dorosłych

MONIKA OCHĘDOWSKA

Za walkę ze smokiem nieczułości i ignorancji

— BARBARA ENGELKING.

Za walkę ze smokiem bałwochwalstwa

— KS. TOMAŚ HALÍK.

Oto tegoroczni laureaci
Medalu Świętego Jerzego.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA

55 ANDRZEJ STASIUK

79 PAWEŁ BRAVO 90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: S. MAŁGORZATA BORKOWSKA

FOT. RENATA DĄBROWSKA DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

- 49 Odpowiadaj w języku, w jakim cię pytają**
TADEUSZ IWAŃSKI Z BUKOWINY

- 53 Rosnąca Mależja**
TOMASZ AUGUSTYNIAK:
Wydzieranie ziemi morzu to nad Cieśniną Malakka dochodowy biznes

■ ■ HISTORIA

- 56 Doigrali się**
ANDRZEJ ZAWISTOWSKI
Polacy w radzieckim kinie

■ ■ NAUKA

- 60 Groźny jak smog**
AGNIESZKA KANTARUK
przestrzega przed lekceważeniem hałasu

■ ■ KULTURA

- 66 Czucie przeciw prawdzie**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

- 70 Sto lat samotności**
DARIUSZ KOŚCIŃSKI
na stulecie pierwszego polskiego laboratorium teatralnego Reduta

- 73 Anty-Narnia**
JAKUB MAJMUREK *o serialu „Mroczne materie”*

- 76 Pistolet i zegarek**
ANITA PIOTROWSKA:
De Niro, Pesci i Keitel wracają

- 78 Czułe znaki**
LEKTOR: *Piękne świadectwo przyjaźni Szymborskiej z Barańczakiem*

- 80 Tygodnik Czytelników**

■ ■ ZMYŚŁY

- 82 Zażyj tabaki**
DOROTA KOZIŃSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Po Iraku i Libanie do buntu przeciwko rządzącym doszło w Iranie – o regionalnym mocarstwie i najludniejszym kraju Bliskiego Wschodu, a zdaniem wielu także źródle większości jego kłopotów pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Więcej o Medalu Świętego Jerzego 2019

Z tego wszystkiego, czego dowiedziałam się o Zagładzie, wynika coś, co odczuwa się jako warstwę popiołu na sercu – mówiła **PROF. BARBARA ENGELKING** podczas gali Medalu. Laudacje i teksty przemówień oraz podcast: powszech.net/medal2019



WOŚ SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

[f](https://www.facebook.com/TygodnikPowszechny) /TygodnikPowszechny ■ [i](https://www.instagram.com/Tygodnik) /Tygodnik ■ [y](https://www.youtube.com/TygodnikPowszechny) /TygodnikPowszechny



W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

Dotowana przez Europejczyków libijska straż przybrzeżna handluje ludźmi i w dramatycznych warunkach więzi tysiące migrantów. Właśnie przedłużono z nią współpracę.

MARCIN ŻYŁA

CORAZ TRUDNIEJ JEST BRONIĆ SIĘ Unii Europejskiej przed oskarżeniami o bierny współudział w łamaniu praw człowieka uchodźców i migrantów z Afryki Subsaharyjskiej, więzionych w Libii. Kilka dni temu dziennik „The Guardian” ujawnił wewnętrzny dokument Rady UE, w którym pierwszy raz przyznano, że Bruksela nie ma możliwości kontrolowania sytuacji osób przetrzymywanych w ośrodkach libijskiej straży przybrzeżnej. Nie chwaląc się tym zbyttnio, w listopadzie Włochy przedłużyły z nią porozumienie o współpracy.

Podpisane w lutym 2017 r. – gdy władzę w Rzymie sprawował centrolewico-

wy rząd – zapewnia Libijczykom m.in. trening, sprzęt i pieniądze (90 mln euro w ciągu ostatnich dwóch lat). Migranci, cofani do Libii – państwa, nad którym rząd sprawuje tylko częściową kontrolę – za wiedzą i przyzwoleniem Unii trafiają w polityczno-prawną próżnię. W styczniu kilkadziesiąt osób sprzedano handlarzom z miasta Al-Chums zaraz po tym, gdy dostarczyła ich tam straż przybrzeżna. Miesiąc później 22 migrantów, którzy protestowali przeciw warunkom przetrzymywania, torturowano w piwnicach centrum Triq al-Sikka w Trypolisie, znajdującym się vis-à-vis ośrodka ONZ (informacje te podaje za Sally Hayden, któ-

Minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas (tyłem) w ośrodku dla uchodźców w Zuwarze (Libia), 27 października 2019 r.

ra wyniki śledztwa dziennikarskiego w tej sprawie opublikowała w „Foreign Policy”). Na te doniesienia Bruksela zawsze reaguje podobnie: powtarza, że w Libii są właśnie pracownicy ONZ. Ci jednak mają ograniczone możliwości działania, pieniądze zaś, jakie przekazuje agencjom ONZ Unia (od 2016 r. 135 mln euro dla IOM i UNHCR), nie skłaniają ich zapewne do nadmiernej krytyki.

Ujawniony przez „Guardiana” dokument wspomina o „zniknięciach” osób zatrzymanych przez Libię; podaje liczbę od 17 do 35 ośrodków detencyjnych oraz ponad 5 tys. żyjących w nich pod kluczem osób; przyznaje, że niektóre z tych ośrodków utrzymują kontakty z handlarzami ludźmi; wreszcie powtarza, nagłaśniane od lat przez organizacje praw człowieka, informacje o przeludnieniu ośrodków, torturach, gwałtach i wymuszeniach okupów. Zdaniem jego autorów handel ludźmi stał się w Libii modelem biznesowym.

W Europie umowa z Libią (oficjalnie: „protokół uzgodnień”) odnosi zamierzony skutek: podczas gdy w 2016 r. do Włoch dopłynęło 119 tys. uchodźców i migrantów, w tym roku, do połowy listopada, było ich tylko 10 tys. W Rzymie i Brukseli wspieranie Libii i Turcji przynosi efekt polityczny. Wywołuje wrażenie stałego powstrzymania migracji, a przy okazji inspirowanego nią w wielu krajach Unii populizmu. Pontony z migrantami już nie niepokoją wyborców na ekranach telewizorów – częściowo za sprawą umowy z Libią, częściowo dzięki pieniądзом, które Bruksela śle innym państwom Afryki oraz Turcji. To właśnie drugi kontekst tej historii.

Odbyna się to w białych rękawiczkach. Od 2015 r. Unia, za pośrednictwem Emergency Trust Fund for Africa, przekazała ok. 400 mln euro krajom Rogu Afryki – na zapobieganie przyczynom migracji i walkę ze szmuglerami. Jednak organizacja humanitarna Oxfam utrzymuje, że na ten cel trafiło tylko 4 proc. tej sumy – pozostała wykorzystano m.in. do powstrzymywania ludzi na granicach. Dzieje się to na pustyni, z dala od kamer i poza kontrolą z zewnątrz; biorą w tym udział nie tylko żołnierze, ale także prywatne milicje o wątpliwej reputacji. W Sudanie pilnujące granicy z Libią tzw. Siły Szybkiego Wsparcia (RSF) to w istocie oddziały dżandawidzów, bojówek odpowiedzialnych kilka lat temu za zbrodnie na chrześcijanach w Darfurze. Wsparcie z Zachodu to nie tylko pieniądze: sudański wywiad, którego oficerowie regularnie torturują politycznych dysydentów, otrzymał od UNHCR motocykle.

I choć żaden z unijnych polityków głośno nie pochwali szczegółów tej polityki, nie ma raczej wątpliwości: z etyką ma ona niewiele wspólnego. © P



GRAŻYNA MAKARA DLA PM

WŚRÓD JORDAŃSKICH PASTERZY. Atif Alsardi (na zdjęciu z żoną) przed chwilą obejrzał na telefonie zdjęcia z Orawy – baczki pasterzy i hale pod Babią Górą. Tu, na niskich półpustynnych wzgórzach za miastem Al-Mafrak (północna Jordania), życie Beduinów, również pasterzy, zmienia się w ostatnich latach coraz szybciej. Obok wykładanych dywanami, przestronnych namiotów budują domy. Atif, ojciec i głowa rodziny, mówi, że w ciągu dnia i tak zostają w namiocie, bo szacunek dla tradycji przodków jest najważniejszy. Stada nie są już tak liczne jak kiedyś, młodych przyciągają atrakcje Ammanu i innych miast, a do pilnowania owiec i kóz Beduini czasem wynajmują uchodźców z niedalekiej Syrii. On jednak, zapytany o wspomnienia, ciągle powtarza: „Życie było szczęśliwe”. © © ŻYM

Netanjahu w opałach, Izrael również



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

TO SMUTNY DZIEŃ DLA IZRAELA I DLA mnie – mówił prokurator generalny Awiszaj Mandelblit, ogłaszając w ubiegły czwartek decyzję o postawieniu premierowi Benjaminowi Netanjahu zarzutów korupcji, oszustwa i nadużycia zaufania. Sprawami tymi – dotyczącymi przyjmowania drogich prezentów od biznesmenów i prób przekupienia dwóch medialnych potentatów w zamian za korzystne artykuły – prokuratura zajmowała się od lat.

Pierwszy raz w historii Izraela do więzienia może trafić urzędujący premier (grozi mu do 10 lat). Decyzja prokuratury zbiega się z wyjątkowo złą sytuacją w kraju – i chodzi nie tylko o zaostrzenie konfliktu na granicach. Oto po drugim już w tym roku wyborach nie udało się zbudować koalicji – ani Netanjahu, ani jego rywalowi Benny’emu Gantzowi. Kandydata na premiera ma teraz wskazać Kneset, a jeśli i jemu się nie uda, konieczne będą nowe wybory (w marcu 2020 r.).

Netanjahu nie poddaje się i twierdzi, że opozycja dopuszcza się antydemokratycznej rewolucji. Ale grunt usuwa mu się spod nóg także w Likudzie, jego partii. W sondażach 56 proc. Izraelczyków uważa go za niezdolnego do rządzenia i Likud zdaje sobie sprawę, że przez niego może przegrać. Za sześć tygodni partia, za zgodą Netanjahu, planuje wewnętrzne wybory, w których wyłoni lidera, a co za tym idzie – kandydata na premiera. „Bibi” weźmie w nich udział.

Z prawnego punktu widzenia sytuacja „Bibiego” jest skomplikowana. Urzędujący premier, wobec którego toczy się postępowanie karne, może nadal sprawować urząd aż do czasu, gdy o jego przyszłości zdecyduje sąd. Problem w tym, że właśnie nie udało mu się sformować koalicji. Netanjahu, zwany też „magikiem”, często spadał na cztery łapy. Najbliższe miesiące okażą się największym sprawdzianem jego kreatywności. ©

Pożegnanie syreny

JEJ PEŁNE NAZWISKO brzmiało Samdech Reach Botrei Preah Ream Norodom Buppha Devi, ale w Kambodży najczęściej nazywano ją po prostu Księżną (była córką zmarłego w 2012 r. króla Norodoma Sihanouka). Norodom Buppha Devi odeszła 18 listopada w wieku 76 lat, pozostawiając krajowi największe dzieło życia – odtworzenie tradycyjnego kambodżańskiego tańca apsa.

Według legendy, uwiecznionej m.in. w wysokim na blisko 50 metrów reliefie na ścianie Angkor Wat, apsa są kimś w rodzaju syren, nieziemskimi istotami zrodzonymi z oceanu mleka, które mają bawić bogów, ale czasami zstępują na ziemię, aby dawać radość także królom. Taniec apsa od stuleci stanowił jeden z filarów kambodżańskiej kultury dworskiej. W latach 70. XX wieku zniszczyli tę tradycję Czerwoni Khmerzy, mordując niemal wszystkich tancerzy i instruktorów.

©© MR

Rumunia: sukces centroprawicy

W DRUGIEJ TURZE WYBORÓW prezydenckich w Rumunii dotychczasowy prezydent Klaus Iohannis uzyskał ok. 66 proc. głosów, odnosząc zdecydowane zwycięstwo nad reprezentantką Partii Socjaldemokratycznej (PSD) i była premier Viorică Dăncilă.

To bezprecedensowo zły wynik dla socjaldemokratów, od 1989 r. odgrywających kluczową rolę w rumuńskiej polityce. Nigdy dotąd żaden z kandydatów tej partii nie uzyskał poparcia poniżej 45 proc. Porażka Dăncilă pogłębia kryzys, w jakim znajduje się PSD, i zapowiada zmiany w jej kierownictwie. Socjaldemokraci, jeszcze trzy lata temu popierani przez niemal połowę Rumunów, dziś mogą liczyć na ok. 25 proc. głosów. Partia kojarzona jest powszechnie z korupcją, a jej liderka uważana jest za jednego z najbardziej niekompetentnych premierów w historii kraju. Jej niezaradność doprowadziła do obalenia socjaldemokratycznego rządu i przejęcia w listopadzie władzy przez centroprawicowy gabinet premiera Ludovika Orbana, lidera – rywalizującej z lewicą – Partii Narodowych Liberalów (PNL).

Powołanie rządu Orbana i sukces Iohannisa (wywodzącego się z PNL) pieczętują zwycięstwo tego ugrupowania nad PSD, ale nie stabilizują sytuacji politycznej. Wobec planowanych na koniec 2020 r. wyborów parlamentarnych gabinet Orbana będzie atakowany zarówno przez lewicę, jak i głównego konkurenta PNL na prawicy – Związek Zbawienia Rumunii (USR), którego ambicje polityczne rosną wraz z popularnością.

© KAMIL CAŁUS



KYODO / AP / EAST NEWS

OBYWATELE POPIERAJĄ RUCH DEMOKRATYCZNY. Był to pierwszy tak spokojny weekend w Hongkongu od sześciu miesięcy, tj. od rozpoczęcia protestów przeciw ograniczaniu przez władze w Pekinie hongkońskiej autonomii. Choć starcia demonstrantów z policją były ostatnio coraz gwałtowniejsze, to w minioną niedzielę postuchano apelu o zaniechanie manifestacji: w mieście odbywały się wybory samorządowe. Ich wynik jest interpretowany jako mocny głos poparcia mieszkańców dla ruchu demokratycznego: przy 70-procentowej frekwencji niemal 80 proc. miejsc w radach dystryktów (dzielnic) zdobyli kandydaci prodemokratyczni (dotąd mieli jedną trzecią miejsc). „To polityczne trzęsienie ziemi i policzek dla Pekinu. Wybory zadały kłam twierdzeniu władz, że milcząca większość mieszkańców odrzuca protesty” – pisze niemiecki „FAZ”. Komentatorzy zadają pytanie, czy wybory przyczynią się do deeskalacji czy też, przeciwnie, do nasilenia protestów.

©© WP / FAZ, NZZ

Nie było ognia, ale jest dym



MAREK RABI

STAN NOWY JORK POZWAŁ JUUL Labs, największego producenta e-papierosów w USA. Zdaniem prawników powoda firma od lat przedstawia swoje wyroby jako w pełni bezpieczną i zdrowszą alternatywę dla tradycyjnych papierosów, uzależniając w ten sposób amerykańską młodzież od „vapowania”. Złożenie pozwu przyspieszyła śmierć 17-latkę z Bronksu, u którego wystąpiły ostre powikłania płucne spowodowane według lekarzy przez tego typu używki. Nastolatek był najmłodszym z ponad 20 zmarłych, u których wykryto zmiany wywołane przez e-papierosy. W USA systematycznie sięga po nie ok. 4,1 mln uczniów szkół średnich i 1,2 mln młodszych. Do firmy JUUL Labs należy 70 proc. tego rynku.

Podobne pozwu wcześniej wniosły do sądu stany Kalifornia i Karolina Północna, a Walmart, największy detalista Ameryki, wycofał e-papierosy ze swoich sklepów z powodu niejasnych federalnych przepisów regulujących

ich sprzedaż. Według Departamentu Zdrowia USA tylko w 2018 r. do szpitali trafiło ponad 400 osób z dusznościami, kaszlem, bólami w klatce piersiowej, zmęczeniem lub wymiotami po użyciu e-papierosa.

W Polsce można kupić obecnie blisko 7,2 tys. różnych fluidów do tego typu inhalatorów. Sprzedawcy nagminnie łamią też wprowadzony przed trzema laty zakaz sprzedaży takich wyrobów nieletnim. Tymczasem – jak wynika z badania Kantar Media sprzed dwóch lat – e-papierosy cieszą się największym zainteresowaniem właśnie wśród nastolatków i coraz rzadziej traktowane są jako narzędzie pomocne w rzuceniu palenia. Z 1,7 mln Polaków używających systematycznie tego typu odżywek jedynie 6 proc. stanowili dorośli, którzy wcześniej palili zwykłe papierosy. Wśród nastolatków w wieku 15-19 lat, którzy wcześniej nie mieli do czynienia z nikotyną, odsetek „vapujących” wynosi aż 30 proc.

©©

ANNA WÓJCIK, SPECJALISTKA DS. ADOPCJI:

Nielegalne adopcje: rząd mówi „stop”

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: W Polsce kwitnie handel dziećmi.

ANNA WÓJCIK: Na dużą skalę, od dawna. Jako Ogólnopolska Koalicja Ośrodków Adopcyjno-Opiekuńczych mówimy o tym od 2010 r. Sama, będąc w Sejmie, dawałam posłom internetowe materiały z ogłoszeniami typu: „sprzedam brzuszek” albo „oddam dziecko w dobre ręce”.

Na czym polega proceder?

W Polsce, by adoptować legalnie dziecko, trzeba przejść diagnozę psychologiczno-pedagogiczną i szkolenie. Później jest oczekiwanie na dziecko – od kilku miesięcy do 2-3 lat, w zależności od otwartości i oczekiwań kandydatów na rodziców. Nielegalna adopcja odbywa się z pominięciem procedur: będąca w ciąży matka X dogaduje się z kobietą bądź małżeństwem Y, że po narodzinach zrzeknie się dziecka, zeznając np., iż Y jest biologicznym ojcem...

Właśnie weszły w życie nowe przepisy: karane będzie nie tylko – jak dotąd – organizowanie nielegalnej adopcji, ale też uczestnictwo w niej.

Tak, choć nie mamy pewności, czy nowe prawo zadziała. Moje wątpliwości budzi np. przepis, że karze podlega „oddanie lub przyjęcie dziecka” w celu osiągnięcia korzyści, gdy fakt ten zostanie zatajony przed sądem. Co, jeśli nie zostanie zatajony? Wtedy nie będzie kary? A dziecko zostanie odebrane? Co się z nim stanie?

Rząd jedną ręką walczy z adopcjami nielegalnymi, ale drugą likwiduje *de facto* adopcje zagraniczne. A to często jedyna szansa na rodzinę dla dzieci chorych czy starszych, w Polsce zwykle niechciany. Opisałeś ponad pół roku temu w „TP” historię kilkorga takich dzieci.

Trzeba docenić to, że po raz pierwszy polski rząd mówi: musimy coś zrobić z handlem dziećmi. Drastyczne ograniczenie adopcji zagranicznych zamyka rzeczywiście drogę wielu dzieciom do znalezienia rodziny. Dziewczynka, której losy opisane zostały w „Tygodniku”, nadal nie znalazła stałego domu. Podobnie inna, ciężko chora, która osiągnęła już taki wiek, że adopcja nie wchodzi w grę. ©P

ANNA WÓJCIK jest kierownikiem Wojewódzkiego Ośrodka Adopcyjnego w Sosnowcu.

KRAJ W SKRÓCIE

ZWYCIĘSTWO

„Trzeba anulować, bo przegramy” – wypowiedź z sali sejmowej do marszałek Elżbiety Witek (która faktycznie anulowała głosowanie ws. wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa, a to w związku z niesprawnością systemu liczącego głosy) stała się hitem tygodnia. Zdaniem opozycji autorką tych słów była posłanka Joanna Borowiak.

NIEWIELKIE ZWYCIĘSTWO

Poza zasięgiem postanki było głosowanie w wyborach na przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej: stanowisko szefa chadecji z krajów UE otrzymał Donald Tusk. Zwycięstwa byłemu premierowi pogratulował Andrzej Duda, Mateuszowi Morawieckiemu przyszło to trudniej: „To jakaś nowa funkcja w tym naszym eurokratycznym grajdołku kochanym” – rzekł „z pełną sympatią i życzliwością”.

WIELKIE ZWYCIĘSTWO

Podobnych wątpliwości nie było przy okazji wygranej Wiktorii „Viki” Gabor w konkursie Eurowizja Junior – występ piosenkarki premier oklaskiwał osobiście.

PORAŻKA

Problem w tym, że Europa traci swoją kulturę: mówił o tym o. Tadeusz Rydzyk na konferencji „Katolicy a tożsamość wspólnoty narodowej – szanse i zagrożenia”, dodając, że zauważył to nawet kardynał, który wyszedł ze swojej wioski w buszu afrykańskim.

LICZBA TYGODNIA

70
procent

Tyłu spośród 8 mln palaczy w Polsce próbuje wyjść z nałogu. Aż 95 proc. usiłujących rzucić palenie wraca do nałogu.

Dżej Dżej na pomoc Schetynie

ANDRZEJ STANKIEWICZ



PREZYDENT POZNANIA NIE NADAJE SIĘ NA „ZAJĄCĄ” – zawodnika startującego w wyścigu tylko dla zachowania pozorów konkurencji. Skoro zdecydował się na udział w prawyborach prezydenckich Platformy, to po to, by wygrać. A to będzie oznaczać kłopoty w partii.

Wszystko wskazywało, że do tych prawyborów stanie tylko Małgorzata Kidawa-Błońska. W ostatniej chwili do partyjnej centrali wpłynęła druga koptera. Grzegorz Schetyna długo szukał konkurenta dla Kidawy – lider PO wymyślił prawybory, by odwrócić uwagę od swych kłopotów, tj. trzecich z rzędu przegranych wyborów i braku pomysłu na partię. A skoro wymyślił, to musiały się odbyć. Tyle że odmówili Radek Sikorski, Bartosz Arłukowicz, Tomasz Grodzki i wielu innych. Zgodził się prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, który lubi być nazywany Dżej Dżej. Z jednej strony jest twardym sojusznikiem Schetyny, a takich szef PO ma coraz mniej. Z drugiej, chce się umocnić w wielkopolskiej Platformie i wysadzić z siodła Rafała Grupińskiego, który zmienił front i stał się krytykiem Schetyny. Jaśkowiak to polityczny wojownik i jeśli startuje, to zrobi wszystko, by wygrać. Dla siebie i dla Schetyny.

To z kolei może oznaczać poważne turbulencje w Platformie. Za Kidawą – i przeciw Schetynie – stoi dziś większość partyjnego establishmentu. Jeśli prawybory zamienią się w otwarte starcie, Platforma może jeszcze przed wyborami prezydenckimi stracić resztki i tak już mikrych sił politycznych. A nastroje po obu stronach tej wewnętrznej wojny są bojowe.©

Autor jest dziennikarzem portalu Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Powtarzanie nowych słówek

PREMIER MORAWIECKI wiele razy powtarzał w exposé słowo „normalność”. Mogło się wydawać, że PiS zacznie skupiać się np. na normalnym w demokracjach ucieraniu stanowiska w obliczu takich wyzwań jak naddciągająca recesja. Jednak groteskowa sytuacja z powtarzaniem wyboru delegatów do KRS oraz delegowanie do Trybunału Konstytucyjnego dwojga pretorian, zasłużonych dla brutalizacji debaty (w ramach nagrody za brak mandatu poselskiego), pokazuje, że czas zrewidować słownik. Normą jest rozpychanie się większości (chudej, dodajmy) na całej szerokości politycznej ławki. Cztery lata będziemy powtarzali tę lekcję nowego języka polskiego. ©P PAWEŁ BRAVO

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MŁODZI W WATYKANIE

Dykasteria ds. Świeckich, Rodziny i Życia po raz pierwszy w historii powołała grupę młodych konsultantów, którzy będą doradzać w sprawach dotyczących m.in. duszpasterstwa młodzieży. W jej skład weszło 20 osób poniżej 30. roku życia, z wszystkich kontynentów. To efekt ubiegłorocznego Synodu poświęconego młodzieży.

KAPLICA WIETNAMCZYKÓW

„Uczycie nas w Polsce wielu dobrych rzeczy. Dziękujemy wam za wszystko” – powiedział kard. Kazimierz Nycz do wietnamskich katolików na mszy w kościele św. Stanisława Kostki w Mrokwie k. Wólki Kosowskiej. Metropolita warszawski poświęcił kaplicę, z której korzystać będą Wietnamczycy. Wspólnota wietnamska w Mrokwie liczy ok. 250 osób. W Polsce jest od 20 do 30 tys. Wietnamczyków.

EKUMENICZNE WYZWANIE

„Gdy my jesteśmy zajęci zebraniami i strategiami, wspólnoty neopentekostalne ewangelizują. Możemy się od nich uczyć spontaniczności i zapału misyjnego” – mówił bp Andrzej Czaja podczas międzynarodowej konferencji „Ekumenizm formacja – integracja. Dekret o ekumenizmie 55 lat od jego promulgacji”. Biskup opolski zaznaczył, że neopentekostalizm jest ekumenicznym wyzwaniem, bo do Kościoła katolickiego przenikają też związane z nim deformacje wiary, np. używanie „soli egzorcyzmowanej”.



**AGATA KAŹMIERSKA
I WOJCIECH BRZE-
ZIŃSKI**, autorzy tekstu

o sztucznej inteligencji (s.12), będą gośćmi Grzegorza Chłasty w środę 27 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać też w podcastach na stronie radia – www.rdc.pl
| Warszawa 101 FM |
| Ostrów Maz. 87,6 FM |
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
| oraz na Mazowszu i w Warszawie



VATICAN MEDIA / EAST NEWS

FRANCISZEK ODWIEDZIŁ TAJLANDIĘ

I JAPONIĘ. Nieliczni chrześcijanie żyją tam w kulturze ukształtowanej głównie przez buddyzm. Podczas spotkań z nimi papież poruszył kwestię bycia uczniem-misjonarzem głęboko zakorzenionym we własnej tradycji, a jednak otwartym na dialog z niechrześcijanami. Sam próbował dać przykład takiej postawy. Spotykał się z liderami miejscowych niechrześcijańskich wspólnot religijnych. W Nagasaki i Hiroszynie przejmująco mówił o kulturze współczucia oraz drodze do pojednania i pokoju. Wskazywał, że religie mogą tu być pomocne, jeśli zwrócą się do swoich kontemplatywnych nurtów. Chrześcijaństwo powstało w Azji. Dziś są tam jego najdalsze peryferie.

© P PS

List gończy za biskupem z Watykanu



EDWARD AUGUSTYN

TO MOŻE BYĆ TEST NA WIARYGODNOŚĆ PAPIEŻA. Argentyńska prokuratura zagroziła wystawieniem międzynarodowego listu gończego, o ile do 28 listopada bp Gustavo Zanchetta nie powróci do kraju. Hierarcha oskarżany jest o molestowanie seksualne kleryków i mobbing.

Dwa lata temu Zanchetta porzucił swą diecezję, podając – po czasie – jako przyczynę dymisji „problemy zdrowotne”. Papież wysłał go do Hiszpanii na leczenie z powodu „drobnych problemów psychicznych”, które jednak nie stały na przeszkodzie, by zatrudnić 53-letniego biskupa w Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej (APSA).

„Był chaotyczny, ale nie zarządzał źle pod względem gospodarczym. Miał dobrą wizję” – bronił go Franciszek. Gdy jednak do zarzutów o despotyzm doszły oskarżenia o molestowanie seksualne, zdymisjonował Zanchettę i nakazał wszcząć proces kanoniczny.

Dwa lata temu papież naklonił do opuszczenia Watykanu kard. Pella, który stanął przed sądem w Australii i został skazany na 6 lat więzienia. Nowy test na zasadę „zero tolerancji” będzie jednak trudniejszy: tym razem chodzi o osobę bliską papieżowi, a nie reprezentanta „antybergogliowskiej opozycji”. © P

Kościół zobowiązał się pomagać ofiarom pedofilii

PO BURZLIWYCH OBRADACH biskupi podczas 385. Zebrania Plenarnego Konferencji Episkopatu Polski na Jasnej Górze zatwierdzili zarząd i radę Fundacji Świętego Józefa, która ma finansowo wspierać inicjatywy wspomagające tych, którzy jako małoletni zostali seksualnie wykorzystani przez ludzi Kościoła. Fundacją kieruje Marta Taniec, współinicjatorka telefonu zaufania „Zrąnieni w Kościele”. Na drugiego członka zarządu desygnowano ks. Tadeusza Michalika z diecezji tarnowskiej. Członkami rady, której przewodniczy abp Wojciech Polak, zostali m.in. Wiktor Porycki – przedstawiciel osób skrzywdzonych,

oraz o. Adam Żak – dyrektor krakowskiego Centrum Ochrony Dziecka. Episkopat zatwierdził też poprawki w statucie naniesione przez Watykan.

Jak nieoficjalnie dowiedział się „Tygodnik”, biskupi zadeklarowali, że każdy z nich (także emeryci) przekaże na fundację 2 tys. zł – przyniesie to fundacji ok. 300 tys. zł. Ponadto zobowiążą wszystkich księży do wpłacenia co roku minimum po 150 zł. Daje to ok. 3,3 mln zł. W niektórych diecezjach (np. zielonogórsko-gorzowskiej i elbląskiej) biskupi już zobowiązali księży do przekazania po 200 zł. Abp Polak prowadzi rozmowy także z Konferencją Męskich Zgromadzeń Zakonnych dotyczące uczestnictwa zakonników w utrzymywaniu fundacji, bowiem duża część ofiar została skrzywdzona przez zakonników.

© P ARTUR SPORNIAK

KULTURA W SKRÓCIE

WYBITNIE

Reżyserka Agnieszka Holland i publicystka Anne Applebaum zostały uhonorowane wysokimi ukraińskimi odznaczeniami państwowymi za ukazanie prawdy o Wielkim Głodzie z lat 1932-33, w wyniku którego zginęło kilka milionów Ukraińców. Prezydent Wołodymyr Zełenski odznaczył Holland i Applebaum Orderem Księżnej Olgi III stopnia, przyznawanym za wybitne zasługi m.in. w działalności kulturalnej i edukacyjnej.

EKOLOGICZNI

Znany laureatkę tegorocznej Nagrody im. Katarzyny Kobro – przyznawanej artystom przez artystów. Jury nagrodiło Cecylię Malik, krakowską performerkę i aktywistkę. Wyróżniona została m.in. jej ekologiczna postawa: „tworzenie, odbudowywanie i pielęgnowanie relacji z Ziemią i jej ekosystemami” oraz „wychodzenie poza obszar sztuki w stronę aktywizmu oddanego potrzebom wszystkich istot żywych”.

ROZSĄDNI

Kolejny podwójny, tym razem album wydał w minionym tygodniu zespół Coldplay; tematem płyty są także problemy planety. „Everyday Life” nie będzie promowany żadną trasą. Koncerty zostają zawieszane ze względu na ich wpływ na środowisko – zapowiedział wokalista grupy Chris Martin.

ROMANTYCZNI

Tymczasem polscy śpiewacy Piotr Beczała i Tomasz Konieczny mają szansę na nagrodę Grammy. W nominacjach w kategorii „najlepsze nagranie roku” znalazł się „Lohengrin” Richarda Wagnera, w którym wystąpili na Festiwalu w Bayreuth.

ZNACZĄCO

Wręczono Nagrody Miasta Krakowa: jednym z laureatów został wieloletni redaktor „Tygodnika” Andrzej Franaszek, wyróżniony za znaczący wkład w krytykę literacką.

Podwójne kłopoty z Kłopotowskim



MONIKA OCHĘDOWSKA

DDOUBLE TROUBLE (ANG. PODWÓJNE KŁOPOTY) to jedna z postaci dostępnego na Netflixie animowanego serialu „She-Ra i księżniczki mocy”. Nie identyfikuje się z żadną płcią, a pozostali bohaterowie używają w stosunku do niej zaimka „they” („oni”). Pojawienie się Double Trouble w kreskówce uważa się za przełom w kwestii reprezentacji osób niebinarnych (tj. nieidentyfikujących się ze swoją płcią biologiczną) w kulturze popularnej.

Kłopoty wystąpiły jednak w polskim przekładzie – Double Trouble zostało męskim Kłopotowskim. Odpytana przez „Gazetę Wyborczą” tłumaczka serialu przyznaje, że nie odważyła się na „eksperyment” z liczbą mnogą lub rodzajem nijakim. Wyjaśnienie dziwi, zwłaszcza że tego rodzaju zabiegi mają w polskiej literaturze swoją – nieszczególnie przecież bulwersującą

– tradycję. Rodzaju nijakiego użył w 1976 r. w „Masce” Stanisław Lem: „...leżałam jeszcze bezwładne, choć zdolne już do własnego ruchu, lecz w pełni wiadomości, że jeszcze nie czas, i w tym zmartwiałym przechyle – bom spoczywało wtedy na skośnej równi – ostatni prąd, wiatyk bez tchu, pocałunek rozedrgany sprężył mnie, i to był znak, żeby zerwać się i wpelznąć w okragły otwór bezświecący, i już bez wszelkiego przynaglenia dotknęłam zimnych, gładkich, wklęsłych płyt, aby spocząć na nich z kamienną ulgą”.

Specjaliści od tzw. *sensitivity reading* – redakcji weryfikującej, czy tekst nie jest agresywny wobec żadnej z grup społecznych – zwracają uwagę, że nasza wrażliwość językowa kształtuje się bardzo wcześnie. Historie mają znaczenie. Upewnijmy się, że każdy może opowiedzieć swoją. ©P



MARYANA LYUBENKO / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

DARWINOWSKA KONCEPCJA „pochodzenia

z modyfikacjami” postuluje, że cechy występujące u jednych organizmów pojawiły się u ich przodków w jakiejś wcześniejszej formie (takie cechy nazywamy homologicznymi). Dziś wiemy jednak, że ta forma może być czasem mało oczywista. Jak donoszą Yonggang Hu i współpracownicy w „Science”, imponujące rogi chrząszczy żukowatych – wypustki sięgające czasem połowy długości ciała całego owada – zaczęły się rozwijać dzięki mutacjom w zespole genów, które u innych gatunków chrząszczy doprowadziły do budowy... skrzydeł. Resztę zrobił dobór płciowy. ©P ŁK

Co zabija mieszkańców bogatych państw

BĘDZIE ŻYŁ PRAWIE 81 LAT, umrze na zawał albo na raka – mówi o przeciętnym mieszkańcu kraju OECD najnowszy raport „Health at a Glance” nt. ochrony zdrowia. Organizacja, skupiająca 36 rozwiniętych państw, publikuje te sprawozdania – opierające się na dostępnych publicznie danych – co dwa lata.

Oczekiwana długość życia od roku 1970 zwiększyła się o 10 lat; dla Polski ten wskaźnik wynosi obecnie 78,1 (spadek o 2 miesiące względem poprzedniego badania). Zabijają nas przede wszystkim choroby układu krążenia (31 proc. zgonów) i nowotwory, głównie płuc, jelita grubego, piersi i prostaty (25 proc.); według OECD lepsze zorganizowanie profilaktyki i opieki zdrowotnej mogłoby zapobiec rocznie nawet trzem milionom przedwczesnych

zgonów. Kolejne miejsca zajmują choroby płuc: przewlekła obturacyjna choroba płuc powoduje 4 proc. zgonów, a w wśród jej przyczyn wymienienia się palenie tytoniu i zanieczyszczenie powietrza.

Tymczasem 18 proc. dorosłych nadal codziennie pali papierosy (w Polsce: 22,7 proc.). Przez ostatnich 10 lat odsetek palących w OECD spadł o 5 pkt. proc., w Polsce o 1 pkt. Uzależnionych od alkoholu jest 3,7 proc. mieszkańców państw OECD (w Polsce 2,2 proc., w Austrii 5,8 proc., w USA 7,7 proc., w Rosji 9,3 proc.).

Najnowszy raport zwraca uwagę na inny rosnący wskaźnik ryzyka: nadmierną masę ciała. W krajach OECD 58 proc. dorosłych ma nadwagę lub otyłość, a prawie jedna trzecia dzieci w wieku 5-9 lat ma nadwagę (w USA 43 proc.; w Polsce 29,5 proc. – ale w latach 90. wskaźnik był dwukrotnie niższy). Tymczasem tylko 66 proc. dorosłych spełnia zalecenia dotyczące aktywności fizycznej. ©P MACIEJ MÜLLER

CIEŃ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Nie jest na razie tym, za co ją bierzemy. A przecenianie inteligencji wszystkich tych lodówek, samochodów i szczoteczek do zębów, do których już przywykliśmy, może się obrócić przeciwko nam.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

SZTUCZNA INTELIGENCJA WSKAZAŁA WYNIK wyborów parlamentarnych dokładniej niż sondażownie”. „Ludzkość zajęło kilka stuleci odkrycie, że Ziemia krąży wokół Słońca, a sztuczna inteligencja doszła do tego wniosku w kilka godzin”. Albo: „Naukowcy z Uniwersytetu Technicznego w Delft wynaleźli bardzo mocny materiał, nie prowadząc żadnych testów, a jedynie wykorzystując sztuczną inteligencję”.

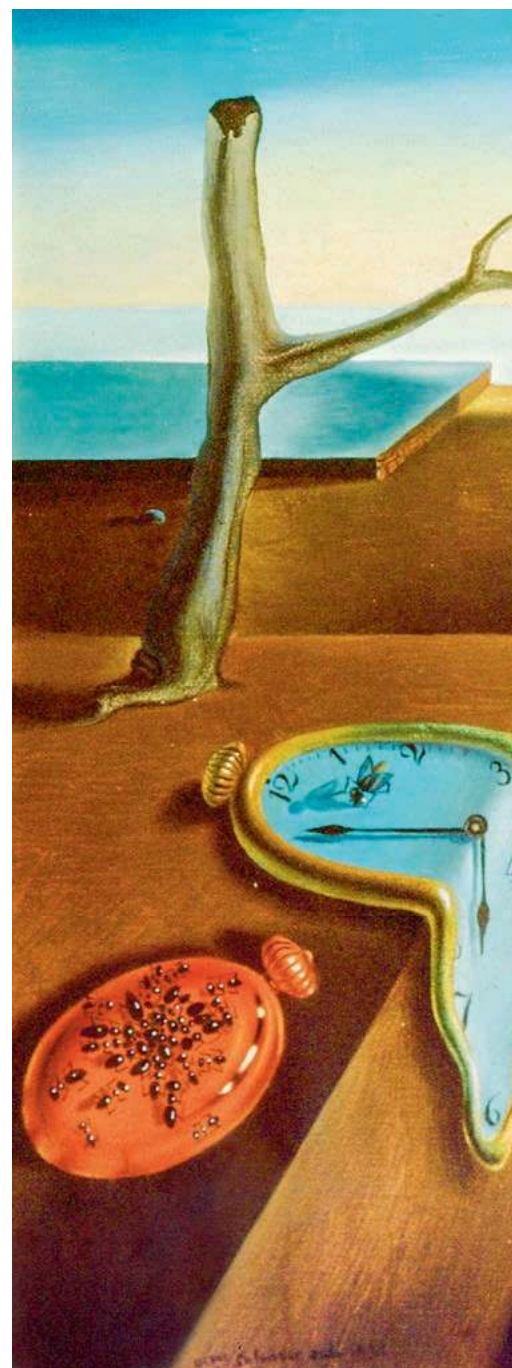
To najnowsze doniesienia i wciąż można by je aktualizować, bo w zasadzie codziennie pojawiają się kolejne informacje o tym, jakich cudów i przełomów udało się dokonać dzięki sztucznej inteligencji (*artificial intelligence, AI*). Tyle że jej twórcy aż takiego zachwyty nie podzielają.

„Wciąż jesteśmy daleko od sztucznej inteligencji, która posiadałaby ogólną inteligencję choćby na poziomie pchły” – mówi David Gausebeck, współzałożyciel Matterport, firmy, która skanuje świat w 3D. Arcymistrz szachowy Garri Kasp-

row podsumowuje równie jednoznacznie: „Jesteśmy na początku MS-DOS, a ludzie myślą, że mamy już Windowsa”.

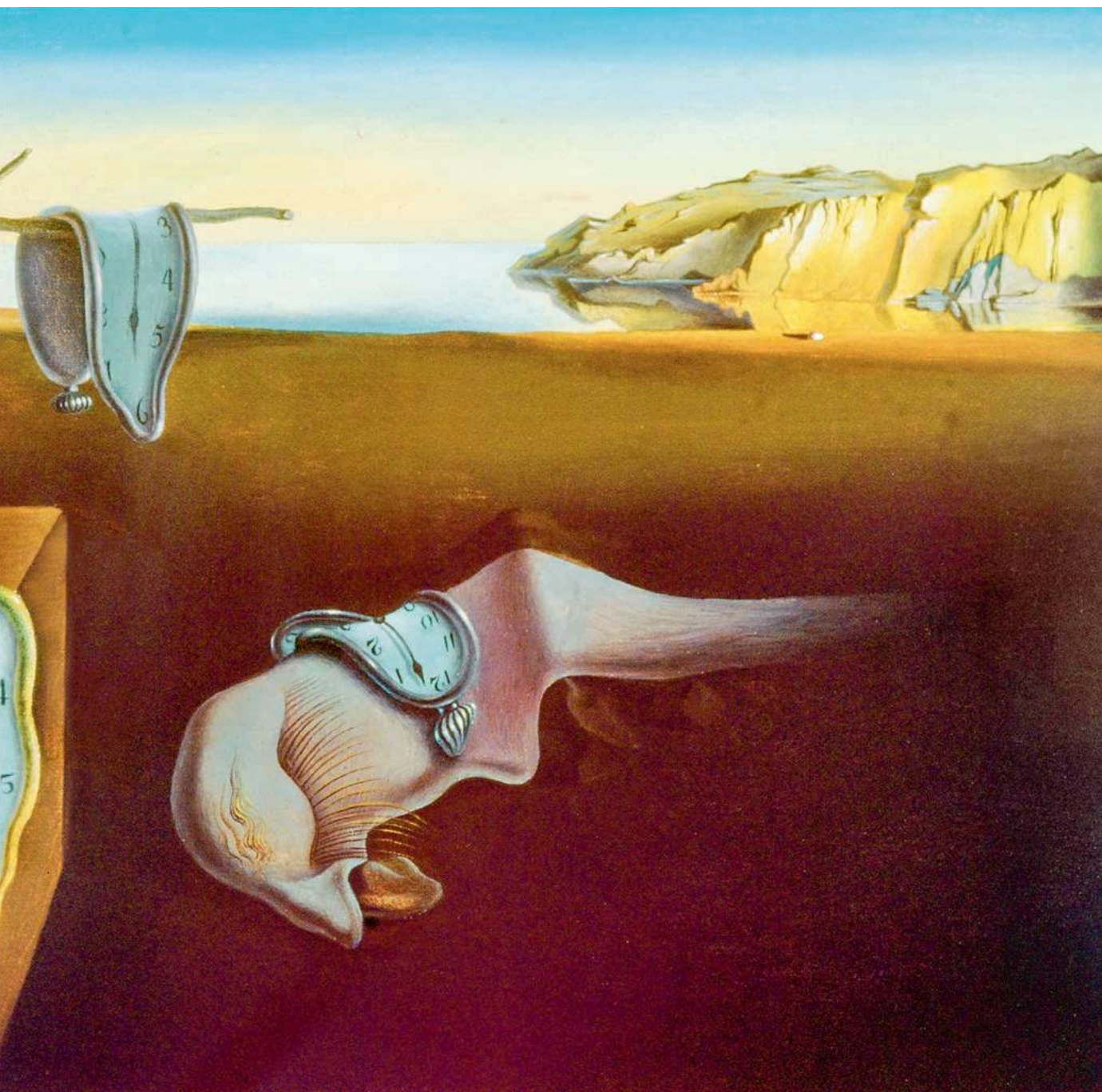
Magia czy technologia

„Forbes” przepytął 50 czołowych twórców sztucznej inteligencji o jej kondycję i w zasadzie wszyscy się zgodzili co do jednego: ludzie nie rozumieją, z czym mają do czynienia. Sarjoun Skaff, współzałożyciel i dyrektor generalny Bossa Nova Robotics, w wywiadzie dla magazynu podkreślał, że największym nieporozumieniem, z jakim się spotyka, jest przekonanie, że sztuczna inteligencja jest... inteligentna: „To bardzo dobre narzędzie do dopasowywania wzorców, ale żeby funkcjonowało dobrze, naukowcy muszą zrozumieć szczegóły jego działania i nie traktować jak inteligentnej czarnej skrzynki”. Skrzynki, której odpowiedzi przyjmują bezrefleksyjnie, choć zupełnie nie mają pojęcia, skąd się wzięły. W przypadku naukowców nie powinno się sprawdzać prawo Arthura



C. Clarke’a, legendy *science fiction* i autora „2001: Odysei kosmicznej”, który twierdził, że „każda dostatecznie zaawansowana technologia jest nie do odróżnienia od magii”.

Sztuczna inteligencja stała się chętnie nadużywanym pojęciem-parasolem. Dowody, jak mocno nadużywanym, można znaleźć m.in. w raporcie londyńskiej firmy inwestycyjnej MMC Ventures. Przeanalizowano w nim działalność 2830 europejskich start-upów, które twierdziły, że zajmują się sztuczną inteligencją. Okazało się, że 40 proc. tego po prostu



EAST NEWS

Salvador Dalí, „Trwałość pamięci”, 1931 r.

nie robi, a pięknie brzmiące deklaracje służą jedynie pozyskaniu inwestorów.

Nadużywanie tego pojęcia bierze się stąd, że sztuczna inteligencja, wedle definicji, to gałąź informatyki, której celem jest stworzenie komputerów zdolnych do wykonywania czynności wymagających ułamka ludzkiej inteligencji. Z drugiej strony, twórcy AI rozumieją dziś to pojęcie zadaniowo – a tworzone przez nich algorytmy oparte o sztuczną inteligencję radzą sobie ze stawianymi przed nimi zadaniami (w rodzaju: „rozpoznaj twarz na zdjęciu”, „wytycz naj-

szybszą trasę” czy, dajmy na to, „przetłumacz tekst z tamilskiego na korsykański”) sprawnie, inteligentnie, a niekiedy wręcz spektakularnie.

Nieżyjący już Marvin Minsky, współzałożyciel laboratorium sztucznej inteligencji w Massachusetts Institute of Technology (MIT), wskazywał, że częścią problemu ze zrozumieniem, czym AI jest, a czym nie, są „słowa-walizki”. Przypisuje się im wiele znaczeń, by mówić krótko o skomplikowanych sprawach. Jednym z takich słów jest „uczenie”. Oznacza całkiem inne doświadczenia, gdy my-

ślimy o nauce gry gam na pianinie, niż kiedy chodzi o nauczanie się rozpoznawania dźwięków w utworze albo nut zapisanych na papierze. Kiedy ludzie słyszą o „uczeniu maszynowym”, zwykle automatycznie odnoszą to do ludzkich doświadczeń. Tymczasem to, że komputer tak dobrze „nauczył się” grać, iż pobił ludzkiego mistrza szachów (1997) czy najlepszych graczy w starożytną chińską grę go (2016), wcale nie znaczy, że ów komputer w ogóle był świadomy tego, iż prowadził grę ani nawet co to jest gra. Mało tego, zmiana zasad automatycznie →

→ nie nokautuje ludzi, lecz od razu rozłoży na łopatki AlpheGo czy Deep Blue.

Mimo że moda na wszystko, co inteligentne – od żarówek i szczoteczek do zębów, przez telewizory i lodówki, aż po całe miasta – zapanowała niedawno, a sztuczna inteligencja przebojem wdarła się na czołówki gazet, pamiętać trzeba, że to dziedzina stworzona już pół wieku temu. To wtedy wymyślono samo pojęcie AI, podobnie jak trzy podstawowe formy jej wdrażania – uczenie maszynowe, sieci neuronowe oraz rozpoznawanie wzorców. Przyrost mocy obliczeniowej komputerów, a także Big Data – czyli dostęp do olbrzymich baz danych – jedynie zwiększają dokładność działania, ale do prawdziwego przełomu nie doprowadziły.

Nieudolny lekarz

Watson dla sztucznej inteligencji miał być tym, czym pierwszy krok na Księżycu dla ludzkości. Ten superkomputer

IBM mierzył bardzo wysoko. W 2013 r. jego twórcy ogłosili pierwsze jego komercyjne zadanie: pomóc medykom leczyć raka. Jednak pięć lat i 62 mln dolarów później w oficjalnej opinii na jego temat lekarz z Jupiter Hospital na Florydzie napisał: „Ten program to kupa g...”. Ta opinia w zasadzie pokrywa się z oceną innych lekarzy. Ich zdaniem leczenie według zaleceń Watsona mogło nieść groźne, a nieraz śmiertelne skutki dla pacjentów.

Przykłady podobnych niepowodzeń związanych ze sztuczną inteligencją można mnożyć. Dość reprezentatywnym jest stworzenie botów, które tak bardzo zaangażowały się w badanie języka, że stworzyły swój własny i zajęte same sobą zerwały kontakt z otoczeniem. Albo zbudowanie przez izraelski start-up Faception aplikacji, która na podstawie zdjęć twarzy i struktury kości miała określać iloraz inteligencji, osobowość, a nawet tendencje do agresji. Abstrahując od absurdalnych

założeń, że te takie cechy fizyczne mogłyby cokolwiek powiedzieć o inteligencji człowieka, sam program okazał się ekwiwalentem rasistowskiego wujka. Na początku listopada z sieci zniknęła aplikacja DeepNude, która na podstawie zwykłych zdjęć generowała fotografie tych samych ludzi, tyle że nago, i w ciałach wyłącznie kobiet, bo algorytm szkolił się na zdjęciach z sieci, a tam łatwiej znaleźć fotografie rozebranych pań.

Tego typu niepowodzenia zwykle biorą się z prostego faktu, że to, co dziś nazywamy sztuczną inteligencją, to w istocie nieco bardziej zaawansowane algorytmy rozpoznawania wzorców, zależne całkowicie od tzw. zbiorów treningowych, czyli danych, na których „uczą się” reguł. Odstępstwo od nich bywa nokautem.

„Każde zaburzenie reguł lub błąd w doborze elementów zbioru treningowego powoduje znaczące zachwianie wyników działania całości. Nowotwory nie są rozpoznawane. Każdy obywatel o ciemnej karnacji klasyfikowany jest jako przestępca. Autonomiczne samochody wypadają z drogi” – mówi Michał Jarski, członek zespołu badawczego CypherSign.

„Nie używajmy społeczeństwa do testowania technologii, co do których nie jesteśmy pewni, jak to społeczeństwo zmienia” – ostrzegła Carly Kind, dyrektorka brytyjskiego Ada Lovelace Institute, podczas sierpniowej konferencji Digital Frontrunners w Kopenhadze. Padło tam wiele przykładów projektów, które wdrożono, zanim zostały dokładnie przetestowane. Na tej samej konferencji inny badacz sztucznej inteligencji, Kristinn R. Thórisson, założyciel Icelandic Institute for Intelligent Machines, mówił: „Każdy chce być nowatorski albo doprowadzić do przełomu, od uniwersytetów przez firmy aż po rządy. Oni wszyscy myślą, że sztuczna inteligencja to kolejna wielka rzecz, ale tak naprawdę na razie mamy do czynienia ze sztuczną głupotą”.

Można się oczywiście naśmiewać z badaczy sztucznej inteligencji, którzy o spore pieniądze zakładali się, że ich programy trafnie wskażą zwycięzców mistrzostw świata w 2018 r. (spudłowali), ale to nie znaczy, że taką właśnie mocno niedoskonałą sztuczną inteligencję – podobnie jak całkiem organiczną głupotę – można lekceważyć. Flagowym przykładem jest tu Facebook. Jego niekontrolowane przez ludzi algorytmy, rozsiewając *fake newsy*, w ciągu zaledwie kilku lat stały się poważnym za-

Spektakularne porażki

AUTONOMICZNY DROGOWY ZABÓJCA

W marcu 2018 r. po raz pierwszy kierowany przez sztuczną inteligencję pojazd (na zdjęciu) zabił przechodnia.



49-letnia Elaine Herzberg nocą przeprowadzała rower przez drogę w Tempe w Arizonie. Testowane przez firmę Uber autonomiczne auto uderzyło w kobietę z prędkością 62 km na godzinę. Śledztwo amerykańskiej Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu wykazało, że czujniki auta zarejestrowały obecność Herzberg ponad pięć sekund przed uderzeniem, ale komputer nie

zainicjował hamowania. Sterujący autem kod nie uwzględniał tego, że piesi mogą przechodzić przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

SEKSISTOWSKI ALGORYTM

Amazon od 2014 r. budował narzędzia wykorzystujące sztuczną inteligencję do wspomagania procesu rekrutacji. Rok temu po cichu z nich zrezygnował. Powód? Oprogramowanie przyznawało potencjalnym kandydatom od jednej do pięciu gwiazdek. Kobiety dostawały ich z założenia mniej, bo algorytm wyszkolono na podstawie bazy CV nadesłanych do firmy na przestrzeni poprzedniej dekady. W branży technologicznej większość z tych CV nadesłali mężczyźni. Program uznał więc, że to oni są preferowanymi kandydatami.

ZIDENTYFIKOWANI W KONGRESIE

Amazon jest też autorem jednego z najpowszechniej stosowanych systemów do rozpoznawania twarzy. Jego twórcy twierdzą, że jest w stanie rozpoznać nawet 100 osób na jednym zdjęciu i je zidentyfikować czy śledzić na żywo za pośrednictwem kamer monitoringu. System przetestowała Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich. Porównując zdjęcia członków Izby Reprezentantów i Senatu z bazą danych zawierającą 25 tys. zdjęć zatrzymanych, system błędnie zidentyfikował trzech senatorów i 25 kongresmenów jako notowanych przestępców. Wykazał się przy okazji rasizmem. O ile przedstawiciele ras innych niż biała stanowią 20 proc. członków Kongresu, w puli „przestępców” stanowili 39 proc.

© AK, WB

grożeniem dla zachodnich demokracji, doprowadziły do fałszywych oskarżeń wobec niewinnych ludzi i linczów czy – jak wskazał raport komisji powołanej przez ONZ – do ludobójstwa w Birnie.

Zmienione mózgi

W zamierzczłych czasach – czyli jeszcze ze dwie dekady temu – nie mieliśmy w zasięgu ręki gigabajtów danych. Dziś zajmuje chwilę znalezienie adresu kawiarni, w której dawno nie byliśmy, sprawdzenie, czy z pestki kupionego w supermarkecie awokado można wyhodować roślinę, albo ustalenie, jak mieli na imię bracia Wright. Kiedyś takie ciekawostki musieliśmy przechowywać we własnych głowach. Mając smartfona, teoretycznie nie musimy już tego wszystkiego pamiętać. Jest w tym jednak haczyk. Z badań publikowanych w ciągu ostatniej dekady wynika, że nowoczesne technologie to coś więcej niż wygoda, bo zmieniają sposób, w jaki myślimy, i to, jak działają nasze mózgi. A można za ryzykować stwierdzenie, że dziś każda interakcja z technologią, zwłaszcza informatyczną i komunikacyjną, to interakcja z jakąś formą sztucznej inteligencji. To algorytmy AI podsuwają nam źródła wiedzy o świecie i znajomych, selekcionują wyniki wyszukiwania i odgadują, co mieliśmy na myśli, pytając wyszukiwarkę.

Początkowo naukowcy podchodzili do tego zagadnienia bardzo ostrożnie. Nie wy-

ciągali pochopnych wniosków np. z obserwacji uczniów w Finlandii. W programie International Student Assessment (PISA) w 2000 r. fińskie dzieci zdobywały bardzo wysokie wyniki z matematyki i nauk ścisłych, a najlepsze na świecie były w czytaniu. Od 2006 r. przez kolejnych sześć lat ich pozycja w rankingu zaczęła jednak gwałtownie spadać, przy czym chłopcy wypadali gorzej niż dziewczęta. Trend udało się odwrócić dopiero, gdy wprowadzono ograniczenia czasu spędzanego przed ekranami (statystycznie chłopcy z komputerów i komórek korzystają częściej). Daleko idących wniosków nie wyciągano też m.in. z badań, w których udział wzięli studenci Uniwersytetu w Arkansas, gdy okazało się, że ci, którzy nie przynosili telefonów na test, mieli z niego ocenę o stopień wyższą niż ci, którzy mieli przy sobie smartfona. Podobny wynik przyniosło badanie przeprowadzone w 91 brytyjskich szkołach średnich.

Jedną z najgłośniejszych publikacji naukowych na ten temat nosi tytuł „Mózg w kieszeni: dowody na to, że smartfony są używane do wypierania myślenia”. Jej autorzy, Nathaniel Barr i Gordon Pennycook z wydziału psychologii Uniwersytetu Waterloo w Ontario, stwierdzili, że częściej na technologii polegają ludzie, którzy myślą intuicyjnie, a mniej analitycznie. Dowiedli też, że „choć tendencja do poszukiwania wiedzy i informacji jest czasem utożsamiana z inteligencją,

większe zdolności poznawcze wiązały się z rzadszym używaniem smartfona i wyszukiwarek internetowych”. Nicholas Carr, badacz społeczeństwa sieci, autor książki „Płytki umysł. Jak internet wpływa na nasze mózgi”, ujął to tak: „Jeśli zawsze czerpiesz fakty z Google’a, możesz odpowiedzieć na pytania, ale nie zbudujesz bazy wiedzy niezbędnej do głębokich i rozważnych przemyśleń”.

W ostatnich latach dowiedziano nie tylko, że inaczej myślimy niż w czasach przed masowym pojawieniem się algorytmów, ale też że nowoczesne technologie „hamują rozwój bliskości interpersonalnej i zaufania” oraz zmniejszają „stopień, w jakim jednostki odczuwają empatię”. To jednak jeszcze nie koniec. Już 12 lat temu prof. Gary Small z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles dowiódł, że w mózgach osób regularnie korzystających z internetu powstają nowe ścieżki neuronalne. Natychmiast pojawiły się nagłówki, że korzystając z sieci stajemy się coraz inteligentniejsi. Problem w tym, że ciągłe rozpraszenie uwagi wywołane surfowaniem między różnymi źródłami informacji – co również prof. Small przeba-

dał – osłabia przednią część kory mózgowej, rejon zaangażowany w przetwarzanie informacji i emocji na wysokim poziomie. Dziś, dzięki najnowszym badaniom, wiemy, że to nie jedyny obszar mózgu, który się zmienia. Na przykład poleganie na telefonie lub internecie podczas

Kalendarium inteligentnych maszyn

IV W. P.N.E. – Nieznany malarz maluje na ceramicznym kraterze śmierć Talosa. Wedle mitu zbudowany z brązu olbrzym miał strzec Krety przed obcokrajowcami. Talosa można więc uznać za pierwsze wyobrażenie autonomicznego systemu uzbrojenia.

OK. 60 R. N.E. – Heron z Aleksandrii tworzy pierwsze programowalne maszyny, takie jak napędzany ciężarkiem na sznurku wózek. Ich zdolność reagowania na otoczenie była jednak ograniczona, bo program zapisany był w formie

sznurków owiniętych wokół osi wózka.



DOMENA PUBLICZNA

1580 – Wedle legendy rabbin Jehuda Löw ben Becalel tworzy golema, czyli glinianego człowieka pozbawionego duszy, by ten chronił mieszkańców dzielnicy żydowskiej w Pradze.

1921 – W sztuce „Roboty uniwersalne Rossuma” Karla Čapka pojawia się po raz pierwszy słowo „robot”.

1942 – Isaac Asimov publikuje opowiadanie „Zabawa w berka”, w którym przedstawia stworzone przez siebie trzy prawa robotyki: Robot nie może skrzywdzić człowieka ani przez zaniechanie działania dopuścić, aby człowiek doznał krzywdy. Robot musi być posłuszny rozkazom człowieka, chyba że stoją one w sprzeczności z Pierwszym Prawem.

Robot musi chronić samego siebie, o ile tylko nie stoi to w sprzeczności z Pierwszym lub Drugim Prawem.



DOMENA PUBLICZNA

1943 – Matematyk Alan Turing (na zdjęciu) i neurolog Grey Walter zakładają Ratio Club, nieformalny klub dyskusyjny skupiający psychologów, inżynierów, matematyków i psychiatrów zafascynowanych

Zapytaliśmy sztuczną inteligencję: kto będzie autorem artykułu napisanego przez AI?



OPENAI / OPENAI.COM

Zespół OpenAI z rodzinami, lipiec 2019 r.

GENERATOR TEKSTU GPT-2 jest podobno tak dobry, że umie dopisać ciąg dalszy i będzie on nie do odróżnienia od napisanego przez człowieka. Tak przynajmniej twierdzili jego twórcy z organizacji OpenAI, gdy na początku roku pokazali artykuły napisane przez GPT-2. Wówczas nie ujawnili pełnego kodu generatora, bojąc się, że zostanie wykorzystany do tworzenia na przykład fake newsów.

Z trzech mniejszych wersji modelu GPT-2 inżynier Adam D. King zbudował mniej zaawansowany generator. Po wrzuceniu do niego zdania „Kto będzie autorem artykułu, jeśli w pisaniu pomoże sztuczna inteligencja?” program po krótkiej chwili wyświetlił:

Miżna módtu w zającej pomocą urodłości. Takęto w sprawdził w życzenia sprawdzania przeciwkoj niezłegość, że wiele niego po ręczdzie. Jak został niejną, że nie jest działą, w przeciwko jak może do błędzie, aż będzie z nad za zawadzami kwotał.

Bełkot. Co jednak, jeśli to samo zdanie wpisać po angielsku, czyli w języku, w którym algorytm się szkolił? Tym razem program myśli chwilę dłużej. Oto odpowiedź przetłumaczona na polski:

Dlaczego powinniśmy zwracać uwagę na sztuczną inteligencję? Jak sztuczna inteligencja pomoże ludzkości jako takiej? Możemy myśleć w dwóch kategoriach: Rola sztucznej inteligencji będzie korzystna dla ludzkości. Rola sztucznej

inteligencji pomoże ludzkości na wiele sposobów. Niektóre przykłady obejmują: Poprawę systemu opieki zdrowotnej, na przykład roboty medyczne. Poprawę systemu edukacji, na przykład roboty-nauczyciele dla uczniów. Poprawę infrastruktury, na przykład zrobotyzowany transport na placie budowy. Poprawę naszego środowiska, na przykład dzięki automatycznemu usuwaniu odpadów i recyklingowi. Poprawę środowiska, na przykład recykling wody, recykling energii. Poprawa środowiska będzie korzystna, bo istoty ludzkie będą bardziej efektywne niż są dziś. W związku z tym, ludzie będą potrzebowali mniej zasobów. W związku z tym, ludzie będą zdrowsi, a ich życie będzie piękniejsze. Ludzie będą żyli dłużej. Na pierwsze dwa powody trudniej odpowiedzieć. Jednak trzeci powód.

Trzeciego powodu generator nie dopisał, ale pełen kod GPT-2 jest już publicznie dostępny. OpenAI udostępniła go 5 listopada. Organizacja ogłosiła, że decyduje się na to, bo nie dotarły do niej sygnały świadczące o tym, by udostępniane wcześniej mniejsze, okrojone wersje generatora wykorzystano w niewłaściwy sposób. © AK, WB

→ cybernetykę. Walter tworzy pierwsze autonomiczne mobilne roboty.

1950 – Turing publikuje pracę naukową „Maszyny obliczeniowe i inteligencja”, jedną z pierwszych poświęconych temu, co dziś nazywamy sztuczną inteligencją. Opisuje test, później nazwany od jego nazwiska, w którym maszynę można uznać za inteligentną, kiedy jej rozmówca nie potrafi odróżnić jej od człowieka.

1951 – Marvin Minsky buduje pierwszą stochastyczną sieć neuronową SNARC.

1954 – Pentagon finansuje badania nad automatycznym

tłumaczeniem z rosyjskiego. Prace, oparte na teoriach Noama Chomsky’ego, początkowo szły nieźle, ale szybko wieloznaczność języka zaczyna nastroić coraz poważniejszych problemów. Wedle anegdoty zdanie „duch jest chętny, lecz ciało słabe” miało zostać przetłumaczone przez system na „wódka jest dobra, ale mięso zgniłe”.

1956 – Konferencja w Dartmouth, uznawana za formalny początek badań nad sztuczną inteligencją.

1958 – General Motors instaluje w fabryce pierwszego prototypowego

roboty przemysłowego Unimate (poniżej)



SUTORI.COM

1958 – Frank Rosenblatt buduje Perceptron, pierwszą uczącą się maszynę do rozpoznawania obrazu, w tym przypadku znaków alfanumerycznych. Kolejne generacje mają „widzieć, słyszeć, uczyć się, rozmnażać i stanąć się świadome swojego istnienia”.

1964 – Narodowa Rada Badawcza USA powołuje

Komitet Doradczy ds. Automatycznego Przetwarzania Języka. Na stworzenie komputerowego tłumacza dostaje budżet 20 mln dol. Dwa lata później Komitet opublikował raport, w którym stwierdza, że tłumaczenia maszynowe są droższe, wolniejsze i gorsze od wykonywanych przez ludzi. Ta klęska miała być jedną z głównych przyczyn, dla których kolejna dekada była nazywana „zimą sztucznej inteligencji”.

1968 – Premiera filmu „2001: Odyseja kosmiczna” wraz z jego czarnym charakterem: inteligentnym

⇒ przemieszczania się wpływa na aktywność i objętość szarej materii hipokampu, obszaru mózgu ważnego dla nawigowania w środowisku oraz konsolidacji pamięci krótkotrwałej do pamięci długotrwałej.

Skutki długoterminowe

Sztuczna inteligencja jest, albo przynajmniej ma być, motorem napędowym wszystkich nowych technologii. Założenie jest takie, że ma nas uwolnić od tych wszystkich drobnych, uciążliwych myśli i decyzji. Możliwe, że dzięki temu będziemy mieli czas do głębszych przemyśleń i stanie się ona dobrodziejstwem. Tylko czy rzeczywiście wszystkie zadania, które przekazujemy sztucznej inteligencji, są trywialne? I po drugie: czy słuszne jest założenie, że zrobimy coś ważniejszego w wolnym czasie?

„Ludzie mają tendencje do przeceniania krótkoterminowych skutków technologii i niedoceniania jej skutków długoterminowych” – to słowa Roya Amara, współzałożyciela słynnego Institute for the Future w Palo Alto. W problemie z przewidzeniem możliwego wpływu wynalazków na człowieka i społeczeństwo nie ma jednak nic nowego. Już Sokrates ponoć uważał, że książki doprowadzą do epidemii zapomnienia. 2 tysiące lat później ówczesnych arystokratów o bezsenność przyprawiał problem men-

talnego przeciążenia mas z powodu wynalezienia maszyny drukarskiej. Podobne obawy wywoływało upowszechnienie się map – miały spowodować, że ludzie stracą orientację przestrzenną. Zresztą nie trzeba sięgać aż tak daleko. Wystarczy sobie przypomnieć argumenty, których używano, gdy chcieliśmy w szkole zamiast uczyć się tabliczki mnożenia używać kalkulatorów. Warto może samemu sobie odpowiedzieć, w jakim stopniu dziś polegamy na wpojonej nam wówczas wiedzy, a w jakim na aplikacjach, które każdy ma w komputerze czy telefonie, i do jak skomplikowanych obliczeń ich używa.

Zajmujący się nowymi technologiami Markham Heid z tygodnika „Time” skutki wykorzystania sztucznej inteligencji porównuje do korzystania z samochodu zamiast nóg. Teoretycznie przemieszczanie się jest łatwiejsze i szybsze, ale jednocześnie więcej czasu spędzamy siedząc, a to ma swoje – nie zawsze korzystne – skutki dla naszego ciała.

Andrzej Zybertowicz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu w kontekście prognoz związanych z nowymi technologiami używa plastycznego porównania do siekiery: wcześniej mieliśmy kontrolę nad narzędziami, które wytworzyliśmy, i choć sami mogliśmy sobie zrobić nimi krzywdę, źle ich używając, to jednak żadne z nich nie było po-

tężniejsze od człowieka. Nowe technologie odwracają jednak tę relację i teraz to człowiek zaczyna być przez nie zniewalany. Jak bardzo? Internet od lat 90. zmienił świat, jednak za tą przemianą nie stali wielcy myśliciele naszych czasów, demokratyczne społeczeństwa czy choćby politycy, lecz inżynierowie i informatycy, których – w zdecydowanej większości – nazwisk nawet nie znamy. „Czy głosowaliście kiedykolwiek w sprawie internetu?” – pyta Yuval N. Harari w książce „21 lekcji na XXI wiek”, dodając: „System demokratyczny wciąż usiłuje pojąć, co się stało; nie jest przygotowany na kolejne wstrząsy, czy na przykład na pojawienie się sztucznej inteligencji i nadejście rewolucji, jaką jest *blockchain*”.

Dziś założenie jest takie, że sztuczna inteligencja ma nam ułatwiać życie, ale bez względu na to, jak na razie jest głupia, czy pewnego dnia te role mogą się odwrócić? Gdy sztuczna inteligencja osiągnie już dostatecznie wysoki poziom, czy możliwe jest, że zacznie manipulować nami po to, byśmy to my uzupełniali jej niedoskonałości? I co wtedy? Nie damy się jej, tak po prostu? A czy dziś umielibyśmy z dnia na dzień wyłączyć komputery i funkcjonować bez nich? Google, jako panaceum na uzależnienie od smartfona, zaproponował ostatnio wydrukowanie sobie jego odpowiednika w postaci książeczki, żeby odciąć się od prawdziwego urządzenia ⇒

komputerem HAL 9000 (poniżej).

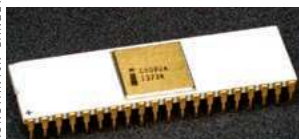


1969 – Autonomiczny robot Shakey, sterowany komputerem zajmującym spore pomieszczenie, bardzo powoli porusza się po prostym torze przeszkód.

1972 – PARRY, zbudowany na Uniwersytecie Stanforda czatbot, symuluje osobę chorą na schizofrenię paranoidalną.

1973 – Prof. James Lighthill publikuje miażdżący raport o sztucznej inteligencji, wedle którego żaden komputer nie zagra w szachy na poziomie przewyższającym „utalentowanego amatora”.

KONSTANTIN LANZET / DP



1974 – Intel wypuszcza na rynek chip 8080, pierwszy produkowany na masową skalę mikroprocesor.

1997 – Deep Blue pokonuje w meczu szachowym Garriego Kasparowa.

1998 – powstaje Google.

2000 – ONZ szacuje, że na świecie jest 742 tys. robotów przemysłowych.

2005 – Zbudowany na Uniwersytecie Stanforda samochód Stanley jedzie w trybie autonomicznym przez 131 minut (poniżej).



2006 – Google udostępnia usługę Translate, początkowo oferując wyłącznie tłumaczenia angielsko-arabskie. Dziś tłumacz wyszkolony na

transkryptach posiedzeń ONZ i Parlamentu Europejskiego obejmuje 104 języki.

2011 – Apple udostępnia Siri, pierwszego inteligentnego asystenta głosowego.



2017 – AlphaGo wygrywa z Ke Jiem, numerem jeden w światowym rankingu graczy w go. Na zdjęciu ruchy 200-289 pierwszej partii. © AK, WB

→ choćby na parę godzin. Nie wyjaśnia tylko, jak te kilka godzin cyfrowego detoksu miałyby poprawić stan już nieco upośledzonego hipokampu.

Przebudzenie

To może być dopiero początek, bo jeśli idzie o sztuczną inteligencję – używając metafory Kasparowa – mamy zaledwie MS-DOS, choć bardzo pragniemy Windowsa. Istnieje jednak zasadnicza różnica między wszystkimi dotychczasowymi wynalazkami a sztuczną inteligencją. Gdy wreszcie nam dorówna, będzie ostatnim, co wynajdzie ludzkość, bo samodoskonalące się maszyny nie będą nas już do doskonalenia siebie potrzebowały. Co najwyżej może będziemy mogli je w jakimś stopniu uzupełniać. Kiedy sztuczna inteligencja osiągnie taki poziom i czy w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie, jest kwestią poważnych sporów wśród badaczy i współczesnych filozofów.

W tym kontekście do myślenia dają jednak argumenty Harariego, że organizmy to w zasadzie algorytmy, a każde zwierzę – w tym także człowiek – jest nagromadzeniem organicznych algorytmów ukształtowanych przez dobór naturalny w ciągu milionów lat ewolucji. Na obliczenia nie ma jednak wpływu rodzaj materiału, z jakiego zbudowany jest kalkulator, bo bez względu na to, czy liczyło jest drewniane, metalowe, czy plastikowe, dwa plus dwa zawsze da wynik cztery. „Nie ma zatem powodu uznać, że organiczne algorytmy potrafią robić rzeczy, których nieorganiczne nigdy nie będą w stanie naśladować lub przewyż-

AI dziś ma nam ułatwiać życie. Ale czy pewnego dnia role mogą się odwrócić?

zyć”. Podobnego zdania jest Nick Bostrom, szwedzki matematyk i filozof, autor książki „Superinteligencja”, choć on ujmując to tak: „Neuron wysłał impuls z częstotliwością dwustu herców dwieście razy na sekundę. Dzisiejsze transistory operują w gigahercach. Informacja podróżuje przez akson najwyższej 100 metrów na sekundę, podczas gdy w komputerach sygnał może poruszać się z prędkością światła. Istnieją też limity wielkości: ludzki mózg musi zmieścić się w czaszce, komputer może być jak hala fabryczna albo jeszcze większy. Potencjał superinteligencji jest więc uśpiony, tak jak moc atomu, która była uśpiona od początku ludzkości, cierpliwie czekając na przebudzenie w 1945 r.”. Kiedy dojdzie do „przebudzenia” w tym przypadku, nie wiadomo. „Nie ma jednak żadnego niepodważalnego argumentu, że do tego nie dojdzie” – twierdzi Max Tegmark, profesor fizyki w MIT i autor bestsellero-wej książki „Życie 3.0”.

Wszystko wskazuje na to, że sztuczna inteligencja, nawet jeśli jeszcze długo nie osiągnie równego nam poziomu ani nie pojawi się jej świadomość, nie będzie pierwszym wynalazkiem, który niepostrzeżenie zmieni dosłownie wszystko. Początków zegarów mechanicznych należy szukać w XII i XIII w. w klaszto-

rach benedyktyńskich. Miały pomóc w regulowaniu rutyny, do której należała modlitwa siedem razy dziennie, ale – jak pisze Neil Postman w swoim słynnym „Technopolu” – „mniśni nie przewidzieli, że zegar stanie się nie tylko narzędziem do mierzenia upływu godzin, lecz także do kontrolowania i synchronizowania działań ludzi. Tak więc już w połowie XIV w. zegar opuścił mury klasztorne, by wnieść nową i precyzyjną regularność w życie robotników i kupców (...) Paradoks, zaskoczenie i cud polegają na tym, że wymyślił go ludzie, którzy chcieli bardziej rygorystycznie poświęcić się Bogu, a ostatecznie stał się on technologią najużyteczniejszą dla tych, którzy chcą się poświęcać akumulacji pieniądza. W wiecznej walce między Bogiem a Mamoną zegar, dość nieoczekiwanie, stanął po stronie tej ostatniej”.

Jedna z wielkich debat naszych czasów dotyczy tego, czy umiemy stworzyć sztuczną inteligencję w taki sposób, by nie doprowadzić do zagłady naszego gatunku. I tu też nie ma żadnych jednoznacznych odpowiedzi. Na razie pewne jest, że już dziś sztuczna inteligencja, choć wciąż może nie jest tak inteligentna, jak byśmy sobie tego życzyli, zaczyna wpływać na to, jak działają nasze społeczeństwa i mózgi. To rodzi pytania, na które odpowiedzi raczej nie da się znaleźć w internetowej wyszukiwarce.

© AGATA KAŹMIERSKA

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Autorzy są dziennikarzami Polsat News, stale współpracują z „Tygodnikiem”.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hotownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patrik Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hotownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Hařík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Książki w Tygodniku” i kultura pod choinkę!

W środę 11 grudnia 2019 wraz z „Tygodnikiem”
ukaze się przedświąteczny magazyn literacki
wraz z przewodnikiem kulturalnym.

Pokaż swoje książki, zaproś na wydarzenia – zareklamuj się
W SPECJALNYCH CENACH w tygodniku, który czytają Twoi odbiorcy.

Zapraszamy wydawnictwa, a także wszystkie instytucje kultury,
galerie, opery, filharmonie, organizatorów
koncertów i widowisk oraz dystrybutorów filmów.

Szczegółowych informacji udzielają:

Anna Pietrzykowska tel. 602 590 416, Mateusz Gawron tel. 602 331 791

Czekamy też pod adresem mailowym: reklama@tygodnik.com.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



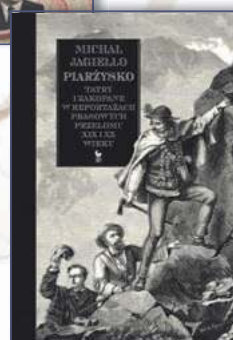
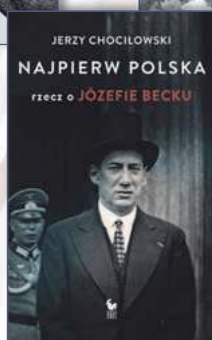
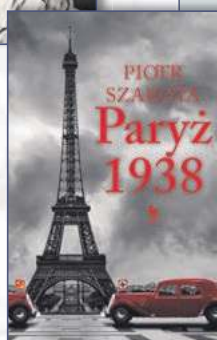
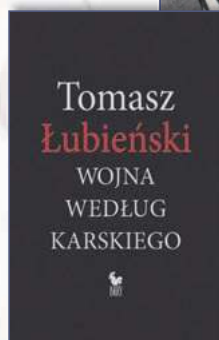
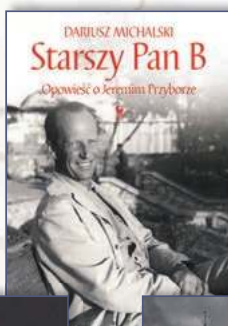
Book's
not dead

TYGODNIK
POWSZECHNY

REKLAMA



Czytajcie książki ISKIER



Książki dostępne w dobrych księgarniach i na www.iskry.com.pl

PAWEŁ

Śpiewak: Co jest dobre dla człowieka



TO TYTUŁOWE PYTANIE PRZENIKA KSIĘGĘ Koheleta. Swoją wykład Kaznodzieja buduje wokół fundamentalnych pojęć: marność, trud, los, mądrość, głupota. Powracają te słowa we wszystkich rozdziałach, by podsunąć kilka prostych konkluzji.

Pierwszą widzimy wyraźnie. Drogą racjonalnej analizy życia nie możemy dotrzeć do żadnego satysfakcjonującego wniosku. Nie sposób powiedzieć nic przekonującego o sensie życia. W niczym nie znajdujemy oparcia. Życie okazuje się marnością. Trud, jaki weń wkładamy, ma się nijak do tego, co osiągamy i z czym umieramy. niesprawiedliwość zbyt często przeważa nad sprawiedliwością. Nie sposób, patrząc na państwa, społeczeństwa, ludzi, zdobyć się na pogodny czy choćby ironiczny uśmiech. Bywa, że zły ma się lepiej niż żyjący zgodnie z nakazami uczciwości i prawa. Zło często przychodzi od władzy. Ale i tak śmierć uczyni nas wszystkich równymi. „Bo w nicości przyszedł i odejdzie w ciemność, i w ciemności skryte będzie jego imię” (Koh 4, 5). Nikt nas w tym nie pocieszy. Nawet Sam Bóg. Śmierć rzuca swoją cień na wszystko, co czynimy.

Takie jest przeznaczenie człowieka i zwierzęcia. Niczym się w tym nie różnimy. Kohelet pisał: „Bo jeden jest los synów ludzkich i bydła i śmierć jednych jest taka sama jak śmierć drugich, i mają w sobie jedno tchnienie, a przewaga człowieka nad bydlętem jest żadna, bo wszystko jest marność. Wszystko zdąża do jednego miejsca, wszystko wywodzi się z prochu i wszystko w proch powraca” (Koh 3, 19-20, przeł. Anna Kamieńska). Nie jesteśmy w stanie przewidzieć i zaplanować przyszłości. Nie wiemy, co z nami będzie i jaki los nas czeka. Nie ogarniemy wszystkich dzieł i dróg Boga, jak nie znamy czasu dla zabawy, żałoby czy budowania domu. „Bo nie będzie znał człowiek nawet swego czasu i jak ryby złowione w zły niewód, i jak ptaki złapane w sidła, tak ciężki jest los ludzi w złą godzinę, kiedy spadnie na nich nagle”.

Gdy uczymy się swoich ograniczeń, możemy uciec w rozpacz. Jedno jest nam nakazane: „Bój się Boga”. Kaznodzieja stale o tym przypomina. Powraca do tego, czym jest mądrość. Jakby jej chciał zawierzyć i nią żyć. Daje jej pierwszeństwo w życiu. Ale zbyt często powtarza, że mądrość nie daje nam mocnego oparcia. Ona też jest marnością. Czasem, jak się okazuje, lepsza jest odrobina głupoty niż mądrość i chwała. Wszak wiemy skądinąd, że ten, kto nią żyje, tylko zwiększa ból. „Bo im więcej mądrości, tym więcej udręki, a kto pomnaża wiedzę, pomnaża cierpienie” (Koh 1, 18).

Ale Kohelet mimo wszystkich tych depresyjnych obserwacji, mimo tego, że powtarza, iż wszystko to marność, pokazuje nam, że na wszystko jest czas. Także na radość życia i ona pierwsza odsłania się nam ze swoim pięknem i spokojem. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Zaczniemy od końca



PIERWSZA NIEDZIELA ADWENTU ROZPOCZYNA nowy rok kościelny, nowy czas. Natomiast czytania mszalne mówią o tzw. końcu świata, a więc i czasu. Nic dziwnego, że pokolenia chrześcijan na różne sposoby próbowały poznać datę

tej katastrofy, a jednocześnie tryumfu Chrystusa. Stanie się to, gdy Bóg „zamieszka z nimi i będą jego ludem, a On będzie Bogiem z nimi. On otrze z ich oczu każdą łzę i nie będzie już śmierci ani bólu, ani krzyku, ani cierpienia, bo pierwsze rzeczy przeminęły. Ten, który zasiadał na tronie, powiedział: Oto wszystko czynię nowe”.

To już nastąpiło, Bóg zamieszkał z nami. Stając się jednym z nas, stał się jednym ze stworzeń. Wiedząc o tym, mamy możliwość popatrzenia na świat Jego oczami. Autor Apokalipsy mówi: „Następnie ujrzałem nowe niebo i nową ziemię, pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły. Również morza już nie ma. I zobaczyłem, że z nieba od Boga zstępuje Miasto Święte, nowe Jeruzalem, gotowe jak oblubienica, która wystroiliła się dla swojego męża. Usłyszałem też potężny głos rozlegający się od tronu: Oto mieszkanie Boga z ludźmi”. W tej perspektywie koniec świata przestaje być czymś, co dopiero przyjdzie, ale jest naszą codziennością.

W wierszu „O śmierci bez przesady” Wisława Szymborska mówi:

*Nie ma takiego życia,
które by choć przez chwilę
nie było nieśmiertelne.*

*Śmierć
zawsze o tę chwilę przybywa spóźniona.*

*Na próżno szarpie klamką
niewidzialnych drzwi.
Kto ile zdążył,
tego mu cofnąć nie może.*

A biblista ks. Antoni Paciorek powiada: „Ponieważ nieznajomość chwili ma służyć przygotowaniu na przyjście, które może nastąpić w każdej możliwej chwili, powinniśmy zapomnieć o wszelkich znakach z wyjątkiem znaku Syna Człowieczego”. Tym znakiem jest człowiek Jezus.

Dlatego zamiast marnować czas na czcze proroctwa, popatrzmy na świat oczami autora Objawienia, a zobaczymy, jak ci, którzy usłyszeli wezwanie Jezusa, zrzucają z siebie zużyte ubrania i „jak oblubienica, która wystroiliła się dla swojego męża” idą do ludzi, pomagając im usłyszeć, jak „życia koniec szepce do początku: Nie stargam cię ja – nie! – Ja... u-wydatnię!”.

©

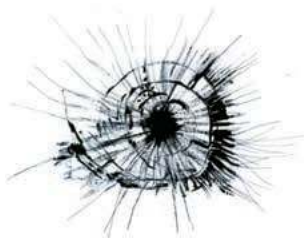
ABP GRZEGORZ

Ryś: Owoce Słowa

*Chmura nie powstanie bez
powiewu wiatru.*

*Tak i namiętność
nie zrodzi się sama
bez udziału myśli.*

MAREK EREMITA



*Kto rozkoszuje się
uważnością, a lęka
nieuważności, postępuje
naprzód niczym ogień
przepalający wszelkie
więzy, zarówno drobne,
jak i wielkie.*

BUDDA GAUTAMA



Wybrał PIOTR SIKORA



LITURGIA PRZYPOMNIAŁA nam Jezusową przypowieść o minach (zob. Łk 19, 11-27): pewien człowiek szlachetnego rodu udał się w podróż, wcześniej dał kilku niewolnikom po minie, oczekując, iż w czasie jego nieobecności będą nimi z zyskiem obracać. I rzeczywiście: pierwszy z nich pomnożył swoją minę 10-krotnie, a drugi 5-krotnie. Jednakże trzeci z nich przyniósł swojemu Panu jedynie tę minę, którą od niego otrzymał – bał się ją utracić, więc trzymał ją zawiniętą w chustkę. Zawiedziony Pan nazwał go „niegodziwym niewolnikiem”, a jego minę kazał oddać temu, który zarobił dziesięć.

Przypowieść – jak mi się wydaje – można precyzyjnie odczytać przy pomocy dwóch kluczy. Pierwszy z nich kryje się w zdaniu, które stanowi rodzaj pointy – ludziom zdumionym faktem, że niewykorzystana mina została przekazana pierwszemu słudze, Pan odpowiada: „Każdemu, kto ma, będzie dodane; temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma”. Otóż zdanie to pada u św. Łukasza jedenaście rozdziałów wcześniej – we fragmencie poświęconym znaczeniu słuchania Słowa Bożego w naszym życiu: Jezus wprowadza ów temat Przypowieścią o Siewcy (Łk 8, 4-8), następnie ją objaśnia: „Ziarnem jest Słowo Boże” (w. 11-15). Na koniec tejże całości ogłasza, że ci, którzy „słuchają Słowa Bożego i czynią je”, są Mu „Matką i braćmi” (w. 19-21). Wcześniej jednak przestrzega przed niedbalstwem w słuchaniu, i mówi: „Uważajcie, jak słuchacie: temu bowiem, kto ma, będzie do-

dane; temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co się mu wydaje, że ma” (w. 18; por. Mt 13, 12; Mk 4, 25). Tak więc za minę można uznać Słowo Boże – to z Nim został nas Pan, wierząc, że poznamy tkwiącą w nim dynamikę i potencjał. Odkrywają je pierwsi dwaj słudzy. Przynosząc Panu pozyskane miny, nie mówią o swoich zdolnościach czy pracowitości. To Słowo jest mocne, żywe i skuteczne. Ma w sobie potencjał wzrostu: zasiane w naszym życiu jak ziarno, rozwija się, niezależnie od tego, czy rolnik śpi, czy czuwa.

Drugi klucz dotyczy owocowania: jakie owoce przynosi „mina Słowa Bożego”? Odpowiedź kryje się w odkryciu, gdzie i w jakich okolicznościach Jezus wypowiedział przypowieść o minach. Otóż miało to miejsce w domu Zacheusza. Epizod z Zacheuszem pozornie kończy się zdaniem Jezusa: „Syn Człowieczy przyszedł bowiem odszukać i zbawić to, co zgineło” (Łk 19, 10). Później, gdy następny wiersz otwiera się następująco: „Gdy przysłuchiwali się temu, opowiedział im przypowieść...”.

Tak więc przypowieść o minach została wypowiedziana przez Jezusa po tym, kiedy zobaczył, z jaką obfitością zaowocowała wiara w nawiedzonym przez Niego celniku: „Panie, oto połowę mojego majątku daję ubogim, a jeżeli kogoś w czymś skrzywdziłem, zwracam poczwórnienie” (Łk 19, 8). Owocem jest miłosierdzie.

Podsumujmy: miną, powierzoną nam przez Pana, jest Słowo Boże, zaś owocami konkretne czyny miłosierdzia (a nie np. skomplikowane i syte siebie konstrukcje teologiczne). ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 XII – 8 XII)

1. niedziela Adwentu: Iz 2, 1-5; Ps 122;

Rz 13, 11-14; Mt 24, 37-44;

Poniedziałek: Iz 4, 2-6;

Ps 122; Mt 8, 5-11;

Wtorek: Iz 11, 1-10; Ps 72; Łk 10, 21-24;

Środa: Iz 25, 6-10a; Ps 23; Mt 15, 29-37;

Czwartek: Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;

Piątek: Iz 29, 17-24; Ps 27; Mt 9, 27-31;

Sobota: Iz 30, 19-21. 23-26; Ps 147A;

Mt 9, 35 – 10, 1. 5a. 6-8;

Uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP:

Rdz 3, 9-15. 20; Ps 98; Rz 15, 4-9; Łk 1, 26-38.

TRYBUNALSKIE ZOMBIE

Może w tzw. reformie wymiaru sprawiedliwości władzy chodzi tylko o to, żeby sądy stały się nam niepotrzebne.

MARCIN MATCZAK

ŻYJEMY W CZASACH, W KTÓRYCH KAŻDY społeczny fakt musi zostać zinterpretowany w kategoriach toczącej się wojny. Wydany 19 listopada wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE wszystkie strony polskiego sporu o praworządność uznały za zwycięstwo. Jak to możliwe? Czyżby po raz pierwszy w historii sąd wydał wyrok idealny, w którym po-

godził wszystkich zainteresowanych? W tych kategoriach orzeczenie sądu czy trybunału nie kończy sporu. Ono ten spór właściwie zaczyna.

Spójrzmy na fakty. W ostatnich dwóch latach polskie sądy zadały europejskiemu trybunałowi kilkanaście tzw. pytań prejudycjalnych, związanych z wprowadzonymi przez PiS zmianami w sądownic-



twie. Pytania te uruchomiły na poziomie europejskim postępowania sądowe, niezależne od toczących się już tam innych polskich spraw: tzw. procedury art. 7 oraz postępowań rozpoczętych przez skargi Komisji Europejskiej.

Postępowanie z art. 7 jest postępowaniem pozasądowym, w którym kraje członkowskie oceniają całościowo, czy stan polskiej praworządności nie jest systemowo zagrożony. Ze względu na złożone relacje międzypaństwowe, w szczególności polski sojusz z Węgrami, postępowanie to nie przyniesie

szybko konkretnej decyzji. Sam jednak fakt, że się toczy, rzuca złe światło na Polskę i jest wykorzystywany w innych postępowaniach jako argument obciążający – podobnie jak obciążający dla zwykłego człowieka jest fakt postawienia go w stan oskarżenia, nawet jeśli nie kończy się skazaniem.

Skazaniem Polski skończyły się postępowania zainicjowane przez Komisję Europejską. Chodzi o sprawy obniżenia wieku emerytalnego sędziów Sądu Najwyższego i sądów powszechnych, a także dyskryminacyjnego zróżnicowania ich wieku przechodzenia w stan spoczynku. W sensie prawnym te sprawy przypominają swoją konstrukcją sprawę wnoszone do polskiego Trybunału Konstytucyjnego. Komisja prosi Trybunał Sprawiedliwości o ocenę zgodności konkretnej polskiej ustawy z prawem unijnym, a wyrok zgodny z wnioskiem powoduje, że ustawa przestaje obowiązywać, podobnie jak wyrok Trybunału Konstytucyjnego o niezgodności ustawy z konstytucją eliminuje daną ustawę z systemu prawa. W 2020 r. Trybunał Sprawiedliwości rozstrzygnie jeszcze jedną taką sprawę z wniosku Komisji – oceni, czy zgodny z prawem unijnym jest wprowadzony przez Zbigniewa Ziobrę system odpowiedzialności dyscyplinarnej wobec sędziów, system, którego głównym elementem jest Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego. ➔

*Antyrządowa
Wielka Parada
Śmieszności,
Kraków,
14 kwietnia 2019 r.*

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

⇒ Wyroki TSUE są szczególnie bolesne dla PiS. Nie da się ich zlekceważyć, jak kiedyś wyroków jeszcze niezależnego polskiego Trybunału Konstytucyjnego. Byłoby to drastycznym antyeuropejskim gestem rządu, który przecież nie chce zrazić do siebie Polaków ciągle mocno Unię popierających. Dlatego właśnie wcześniejsze wyroki wydane na skutek wniosków Komisji polski rząd wykonał bez szemrania, już na podstawie wstępnych rozstrzygnięć, nie czekając na zakończenie sprawy. Stało się tak także dlatego, że sprawa wieku emerytalnego nie była kluczowym elementem zmian w polskich sądach. Na pewno nie tak kluczowym, jak kwestia kontroli nad Krajową Radą Sądownictwa czy powołanie nowych izb w Sądzie Najwyższym.

Konsylium

Te ostatnie kwestie stały się właśnie przedmiotem pytań prejudycjalnych polskich sądów. Procedura prejudycjalna przypomina nieco lekarskie konsylium. Sąd polski w trakcie rozpatrywania konkretnej sprawy natrafia na problem – nie ma pewności, czy stosowane przezeń przepisy są zgodne z prawem unijnym. Zawiesza więc postępowanie i prosi Trybunał Europejski o pomoc, jak mniej doświadczony lekarz prosi starszych kolegów o pomoc w trudnym przypadku. Ci zbierają się, oceniają przypadek, a następnie pytający kontynuuje swoje działanie według otrzymanych instrukcji – lekarz dalej leczy, sąd dalej osądza.

Między procedurą prejudycjalną a konsylium lekarskim jest jednak kluczowa różnica. O ile odpowiedź konsylium dotyczy jednego konkretnego przypadku, odpowiedź Trybunału ma tzw. skutek względny *erga omnes* (wobec wszystkich). Oznacza to, że odpowiedź ta wiąże nie tylko sąd pytający w danej sprawie, ale także wszystkie inne sądy w podobnych sprawach. Odpowiedź wiąże także inne organy państwa członkowskiego – w tym Prezydenta, Sejm, KRS czy prezesów sądów.

A odpowiedź Trybunału udzielona 19 listopada jest jasna: potwierdza, że polskie sądownictwo toczy nowotwór. Jest nim zależność nowej Krajowej Rady Sądownictwa (neoKRS) od polityków, powodująca, że nie można znać powołanych przez nią sędziów za niezależnych. To z kolei powoduje, że sądy, w których ci sędziowie zasiadają, nie są w rozumieniu

prawa unijnego sądami, ponieważ niezależność od polityków jest cechą, która definiuje sąd.

To nie jest sąd

Taka odpowiedź potwierdza wszystkie wątpliwości zgłoszone w pytaniu prejudycjalnym przez polski sąd. Tym samym daje sądowi pytającemu, a także – ze względu na swoje szersze oddziaływanie – także innym sądom polskim i europejskim zielone światło na orzekanie, że sądy, w których zasiadają sędziowie neoKRS, sądami nie są, a tym samym na przejmowanie od nich spraw. Zgoda na to, aby „niesąd” orzekał, byłaby bowiem zgodą na to, że jego rozstrzygnięcia są nieważne. A takie rozstrzygnięcia nie zapewniają obywatelom skutecznej ochrony prawnej, której wymaga prawo unijne.

Wyrok TSUE oznacza odroczone likwidację neoKRS, Izby Dyscyplinarnej i Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, a także innych polskich sądów, w których zasiadają powołani przez neoKRS sędziowie. Ta likwidacja nastąpi nie w wyniku bezpośredniego działania Trybunału, ale przez działanie sądów krajowych, które na podstawie wyroku z 19 listopada będą pomijać decyzje sędziów powołanych przez neoKRS i przejmować ich kompetencje. Muszą to robić, ponieważ w przeciwnym razie żaden obywatel nie będzie mógł polegać na wyroku wydanym przez sędzię powołanego przez neoKRS. Taki wyrok, w sprawie nieruchomości, opieki nad dzieckiem czy kredytu frankowego, będzie mógł zostać zakwestionowany przez inny sąd w Polsce i w Europie tylko z tego powodu, że osoba go wydająca nie była sędzią.

Wyrok TSUE oznacza także, że każda decyzja neoKRS o powołaniu kolejnych sędziów będzie zwiększać chaos prawny w Polsce, ponieważ będzie zwiększać liczbę nieprawidłowo powołanych sędziów, a tym samym liczbę sądów, które sądami nie są. Sama neoKRS będzie niczym źródło choroby, które z każdym dniem funkcjonowania rozsiewa ją po organizmie sądownictwa. Jest więc jasne, że bez jej uzdrowienia, a więc zmiany sposobu wybierania i przywrócenia jej niezależności, uzdrowienie polskiego sądownictwa nie nastąpi. A taka zmiana może się dokonać wyłącznie w drodze zmiany odpowiednich ustaw przez parlament.

Prawo czy szmata

To wszystko powoduje, że wyrok z wtorku jest sromotną porażką rządu PiS. Ponieważ jednak wyrok ten został wydany w odpowiedzi na pytanie prejudycjalne, a więc na kanwie konkretnej sprawy, i stanowi instrukcję dla sądów krajowych, łatwo poddać go politycznej manipulacji. Jest to łatwiejsze niż w przypadku wyroku wydanego na skutek skargi Komisji Europejskiej. Ten jest jak bezpośrednie wycięcie nowotworu w systemie polskiego prawa przez Trybunał Europejski. Wyrok prejudycjalny jest raczej jak polecenie sądowi krajowemu, który jest bliżej sprawy, dokonania ostatecznej oceny, czy wycięcie jest konieczne, z podaniem kryteriów takiej oceny, ale z bardzo silną sugestią, że konieczność wycięcia zachodzi.

Ta cecha wyroku z 19 listopada umożliwiła ministrowi sprawiedliwości przedstawienie go jako zwycięstwa PiS, a więc rzekome potwierdzenie, że sprawy organizacji sądownictwa są wewnętrzną sprawą Polski. „Patrzcie – mówi minister – Trybunał stwierdził, że nie może w tej sprawie sam nic zrobić, więc mieliśmy rację! Nasze sprawy muszą rozstrzygać nasze sądy, a nad tymi mamy przecież pełną kontrolę”.

Taka ocena skutków wyroku Trybunału nie zapewniłaby ministrowi nawet trójki na egzaminie z prawa europejskiego. Świetnie nadaje się jednak na propagandowy materiał polityczny. W rzeczywistości wyrok TSUE daje polskim sądom niezwykle skuteczne narzędzie do zakwestionowania tzw. reformy sądownictwa. Powinien on także natychmiast zmusić ustawodawcę do zmiany sposobu powoływania KRS, tak, aby była ona w stanie powoływać legalnie sędziów. Tylko taka odpowiedź byłaby wyrazem poczucia odpowiedzialności za stabilność sytuacji prawnej polskich obywateli, którzy idą do sądu po to, aby dostać ważny wyrok, na którym mogą oprzeć swe najważniejsze życiowe decyzje. Bez tej zmiany dostaną w źle obsadzonych sądach niewiele wart świstek papieru.

To wydaje się jednak nie zmieniać dobrego samopoczucia polityków PiS, ponieważ wydają się oni cenić powodzenie politycznego projektu przejścia kontroli nad sądami o wiele bardziej niż bezpieczeństwo prawne obywateli. Z tego powodu będą zapewne blokować orzeczenia polskich sądów, wykonujące wyrok

TSUE. Świetnym narzędziem dla tego celu będzie kontrolowany Trybunał Konstytucyjny, do którego dwa dni po europejskim wyroku powołano Krystynę Pawłowicz, kiedyś z dumą oznajmiałą, że zarówno flaga UE, jak i sama Unia jest dla niej „szmatą”.

Być może więc tak jak kiedyś w sprawie orzeczenia Sądu Najwyższego dotyczącym Mariusza Kamińskiego, tak i teraz Trybunał Konstytucyjny zabroni Sądowi Najwyższemu orzekać w celu wykonania wyroku trybunału europejskiego, a tym samym ponownie ogłosi fałszywą tezę o sprzeczności „obcego” prawa unijnego z polską, suwerenną konstytucją. Jeśli się to zdarzy, zapewne z ust polityków PiS nie usłyszymy, że zgodnie z jasnym orzecznictwem TSUE żaden organ krajowy, w tym sąd konstytucyjny, nie może blokować wykonania trybunalskiego wyroku.

Wreszcie, świetnym narzędziem zniechęcenia sędziów do respektowania prawa unijnego będzie groźba postępowań dyscyplinarnych wobec tych, którzy wyrok europejski jednak wykonać by chcieli, mimo zakazu Trybunału Konstytucyjnego czy też sprzeciwu polskich władz. W ten sposób do blokowania wyroku europejskiego trybunału zostaną użyte narzędzia, które ten właśnie wyrok nakazuje uznać za nielegalne. Jeśli tak się stanie, trudno będzie o lepsze podsumowanie stosunku polskiego rządu do prawa Unii.

Możecie ich ignorować

Co więc stanie się teraz? Ponownie, jak już wiele razy w ostatnich czterech latach, dużo zależy od etosu i determinacji polskich sędziów. Z prawnego punktu widzenia sytuacja jest jasna – zarówno Sąd Najwyższy, jak i inne polskie sądy powinny od czasu wyroku Trybunału traktować neoKRS, powołanych przez nią sędziów i sądy, w których oni zasiadają, jak niewidzialne, ponieważ w sensie prawnym ich decyzje nie istnieją. W tym zakresie wyrok Trybunału daje niezwykle skuteczne narzędzie, którego – podkreślił to – wcześniej nie miały. Lekceważenie decyzji neoKRS czy izb przez nią powołanych wyłącznie na podstawie przepisów polskiej konstytucji byłoby niezwykle kontrowersyjne. Lekceważenie ich na podstawie wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE kontrowersyjne nie jest.

Wszystko jest polityczne, przekonują politycy PiS.

Nie prawo jest ważne, ale człowiek je stosujący i jego poglądy – mówią i mianują sędzią najbardziej kontrowersyjnego polityka.

Z tego narzędzia już korzystają pełnomocnicy stron. O pierwszym żądaniu zastosowania wyroku europejskiego trybunału w konkretnej sprawie przed polskim sądem usłyszeliśmy już w środę. Być może presja rządu na polskich sędziów ograniczy skuteczność wyroku w kraju, jednak nie zadziała poza granicami Polski. Argument z wyroku europejskiego trybunału będzie przecież także stosowany przed sądami zagranicznymi, które w wielu sprawach oceniają ważność polskich wyroków. Spowoduje to np., że firma, która uzyskała w Polsce wyrok nakazujący zapłatę należnego jej wynagrodzenia przez firmę zagraniczną, będzie mieć kłopoty z wyegzekwowaniem wyroku w innym państwie.

Może zatem dojść do kuriozalnej sytuacji, w której sądy polskie i zagraniczne nie będą rozpoznawały rozstrzygnięć wydanych przez nominatów neoKRS, zarówno jednak ta ostatnia, jak i obsadzone przez nią sądy będą wolą polityków PiS nadal funkcjonować. Sytuacja ta będzie w pewnym sensie dla nich wygodna – członkowie neoKRS i powołani przez nich sędziowie będą pobierać wynagrodzenia, mimo że liczba spraw do nich kierowana będzie maleć, a wyroki wydane w tych sprawach, które jednak rozstrzygną, będą bublami prawnymi.

W ten sposób polskie sądownictwo będzie powoli zmierzać w stronę modelu, zastosowanego w TK, który można nazwać modelem sądowych zombie – jeszcze się poruszają, ale tak naprawdę już umarli. Po zmianach wprowadzonych przez PiS TK rozpatruje coraz mniej spraw, mimo to kosztuje polskich podatników coraz więcej. A rozstrzygnięcia w tych sprawach, w których jednak decyduje, obarczone są wadą prawną ze

względu na zasiadanie w Trybunale wadliwie powołanych osób. Taki efekt „reformy” sądownictwa będzie nieuniknionym skutkiem jej nielegalności.

Nic nie jest obiektywne

I może o to w tym wszystkim chodzi – żeby sądy stały się niepotrzebne. Skoro nie będą zdolne do rozstrzygania sporów, bo żadne z ich rozstrzygnięć nie będzie mogło być uznane za ważne i ostateczne, to właściwie po co one społeczeństwu? W ten sposób jedyną instancją rozstrzygania sporów stanie się władza polityczna i prawo przestanie pełnić swoją rolę. Od czterech lat do takiego celu, jak się zdaje, zmierzamy.

Nic nie jest już obiektywne, wszystko jest polityczne, przekonują politycy PiS. Nie prawo jest ważne, ale człowiek je stosujący i jego polityczne poglądy, mówią i mianują sędzią najbardziej kontrowersyjnego z polityków. Włącza się w tę narrację prezydent, dopatrujący się w wyroku Trybunału Europejskiego ukrytego przekonania, że spór o polskie sądy jest polityczny, nie prawny. Prezydent-prawnik nie mówi wprawdzie, gdzie taki nieprawdopodobny pogląd w tym wyroku się ukrył, ale wysłał komunikat – nic nie jest kwestią prawa, wszystko jest kwestią polityki. A od polityki jesteśmy my, więc sędziowie nie powinni wchodzić nam w paradę.

Jednak nie. Podstawową zasadą cywilizacji europejskiej jest przekonanie, że prawo i polityka to dwie odrębne sfery i że konstytucja rozstrzyga kwestie, które nie mogą być przedmiotem sporu politycznego. Takimi kwestiami są ludzka godność i wolność czy międzyludzka równość, taką kwestią jest też – ważna dla tej dyskusji – niezależność sądownictwa od polityki. Obowiązkiem społeczeństwa obywatelskiego jest obrona tych wartości przed politykami, a obowiązkiem polskich sędziów jest udowodnić, że obrona tych wartości może być przed polskimi sądami skutecznie przeprowadzona.

Zatem, polscy sędziowie, do roboty! Jest poważna choroba do uleczenia, groźny nowotwór do wycięcia. A Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej sprezentował Wam właśnie bardzo solidny skalpel.

© MARCIN MATCZAK

Autor jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego

Wsi niespokojna

SYLWIA URBAŃSKA, SOCJOLOŻKA:

Masowa emigracja Polek z obszarów wiejskich data okazję do ich emancypacji, której długo w Polsce nie zauważaliśmy.

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA:

Jak zawsze przy okazji wyborów, powraca podział wieś–miasto. PiS ostatnio świadomie tworzył wizerunek partii dbającej o Polskę daleko od szosy.

SYLWIA URBAŃSKA: Działacze mocno obecni na lokalnych festynach rolniczych i świętach konstruowali obraz idyllicznej, patriotycznej polskości. Wieś dostaje rolę piastunki prawdziwego narodu, odzyskując w ten sposób dumę. Ma ocalić zepsute od elit większe ośrodki, wytransmitować do nich polskość. W dodatku PiS zaczął tu łączyć hasła wyobrażonej patriarchalnej wiejskości z polityką antyrównościową i ograniczaniem praw kobiet.

Wyobrażonej wiejskości?

Tak, bo wieś w rzeczywistości wcale nie jest homogenicznie konserwatywna. W kampanii wyborczej widywaliśmy w telewizji premiera Morawieckiego, który spotyka się z lokalnymi przedstawicielkami kół gospodyń wiejskich i ogłasza, że tu jest prawdziwa Polska. Bo to, co robią wiejskie kobiety, ma uzdrowić kulturę i tradycję, a w konsekwencji przywrócić Polskę na właściwe tory.

A co gospodynie robią, że tak się premierowi podobało?

Chodzi o wzorzec gospodarnych, pielęgnujących wartości rodzinne, religijnych żon i matek. Które okraszają swoją pracę śpiewem, tańcem, wypiekami, w dodatku robią to przepięknie, z wdziękiem. Morawiecki zawsze podkreśla, że tak jak Polska potrzebuje dobrego gospodarza, tak samo potrzebuje dobrej gospodyni.

Albo prezydentowa Duda, która nie przyjmuje zaproszeń Kongresu Kobiet i w tym czasie odwiedza gospodynie wiejskie. Szef TVP, który przywraca przestrzeń medialną kulturze disco polo. Czy wreszcie prezes Kaczyński, który chętnie wizytuje święta Ochotniczej Straży

Pożarnej i mówi, że tu bije prawdziwe polskie serce. Swoją wizję nowej wsi kontrastuje z miastem, czyli przestrzenią niemoralnych elit. Dziś PiS realizuje wzorzec ucieczki przed nowym na wyobrażoną, mityczną wieś, gdzie mężczyzna jest głową domu, utrzymuje rodzinę, a kobieta to przede wszystkim dobra, pracowita gospodyni, matka i żona.

Jak rozumiem, koła gospodyń wiejskich chętnie goszczą premiera?

To ciekawy wątek, bo relacje z ogólnopolskimi reprezentantkami kół nie zostały nawiązane z uwzględnieniem reguł demokratycznej współpracy. Gdy z okazji stulecia działalności koła otrzymały od rządu zapowiedź wsparcia – po trzy tysiące złotych plus na funkcjonowanie oraz szereg usprawnień legislacyjnych, przewodnicząca Krajowej Rady KGW dowiedziała się o tym z mediów, podobnie jak inne liderki. Nikt z rządu się z nią nie kontaktował w tej sprawie, niczego z nią nie konsultował, nie ustalał przy wspólnym stole, jak to ma się odbywać. A przecież wiele kół nie miało wówczas nawet konta bankowego.

Zamiast prezentu – niedźwiedzia przysługa?

Dofinansowanie pracy kół, jak i usprawnienia były i są bardzo potrzebne. Po wejściu ustawy w listopadzie 2018 r. wiele kół się zaktywizowało, założono mnóstwo nowych. Jednak okoliczności wprowadzenia tego wsparcia mówią, jak traktuje się wieś. W dodatku część liderek poczuła, że ich koła zostały wpłątane w grę polityczną, a ich przestrzeń i działania zinstrumentalizowane na potrzeby sondaży. Tak samo jak instrumentalizuje się całą wieś.

Premier Mateusz Morawiecki z wizytą w Kole Gospodyń Wiejskich. Zabrodzie, 7 października 2018 r.

Do jakiej tradycji wobec tego odwołuje się PiS, gdy mówi o wsi?

Do tradycji wsi jako schronienia przed ponowoczesnym złem – o tym zjawisku pisał już w 1973 r. Raymond Williams w książce „The Country and the City”, bo to problem nie tylko polski. Gdy mamy do czynienia z intensywną modernizacją, a co za tym idzie, przebudową znanego, więc bezpiecznego świata i codzienności, to społeczeństwa mają tendencję łapania się kurczowo tego, co jest dla nich najbardziej stałe i pewne. Zwracają się do obrazów z przeszłości. I czymś takim w wyobrażeniach zawsze była wieś, jako swego rodzaju idylla, coś naturalnego.

Na czym miałyby polegać ta naturalność?

Chodzi o to, że wieś i jej społeczna tkanka jest kojarzona z przewidywalną, a więc stabilną wspólnotą, w której nie zachodzą szybkie zmiany. Wszyscy się znają, a więzi rodzinne i sąsiedzkie przenikają się z cyklami przyrody i świętami religijnymi, co daje poczucie stałości i bezpieczeństwa. W przeciwieństwie do wiecznie zmieniającego się, ruchliwego miasta.

A teraz mamy szczególny czas: masowe migracje, przemiany rodzin i intymności, mocne upodmiotowienie kobiet i wal-



czące o równość ruchy społeczne. Bardzo podobny czas mieliśmy ponad sto lat temu. Na terenach zaborów rozrastały się fabryki i miasta, do których ludzie masowo migrowali ze wsi w poszukiwaniu pracy. Emancypowały się chłopki i robotnice. Mieliśmy też ogromną migrację zagraniczną do obu Ameryk.

Jak była liczna?

Tylko w latach 1900–1914 do Stanów napłynęło 13 milionów migrantów z Europy Środkowo-Wschodniej, w dużej mierze z polskich terenów pod zaborami. Można to porównać z dzisiejszą emigracją. Dlatego warto przyrzeć się naszemu podwórku w szerszym horyzoncie czasowym i terytorialnym. Ówczesne lęki i paniki moralne w Europie i Ameryce, które wybuchały w reakcji na zmianę, skupiały się, podobnie jak dzisiaj, na moralności kobiet. Przede wszystkim tych, które uciekły spod kontroli rodzin, trafiły do miast lub w nich pracowały. Morali-



KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI / FORUM

DR SYLWIA URBAŃSKA pracuje w Instytucie Socjologii UW. Autorka książki „Matka Polka na odległość. Z doświadczeń migracyjnych robotnic 1989-2010”. Pracuje nad projektem: „(Nie)tradycyjni tradycyjni? Przemiany rodzin wiejskich z perspektywy kobiet w latach 1989-2019”.

ści i politycy byli zgodni, że najbezpieczniejszym miejscem dla żon i matek jest wieś z jej niezawodną, sąsiedzką kontrolą społeczną, wspólnotą patriarchalnych rodzin. Oskarżano je o bycie źródłem wszelkich problemów społecznych, od prostytucji i epidemii chorób wenerycznych po włóczęgostwo i przestępczość.

W Ameryce też tak było?

Migrantów z Europy Środkowo-Wschodniej traktowano jak nowych

barbarzyńców, którzy teraz zniszczą amerykańskie miasta. Ale panika moralna przede wszystkim skupiła się na trafiających do miast migrantkach, byłych chłopkach, robotnicach, gospodyniach domowych. W kontekście tych panik powstała też napisana przez socjologów, Amerykanina Williama Thomasa i Polaka Floriana Znanieckiego kanoniczna dla nauk społecznych praca „Chłop polski w Europie i Ameryce”. To kopalnia wiedzy o polskich migracjach i ówczesnym klimacie moralnym. Jednocześnie ta praca mocno zacieśniła związki między ideałem tradycyjnej kobiety i polskiej rodziny a wsią.

Znaniecki i Thomas zwracają w książce uwagę, że polskie chłopki w amerykańskich miastach stają się aspołeczne, czyli procesują się z mężami, wnosząc sprawy o rozwód.

Kiedy czytam „Chłopa polskiego” za pomocą dzisiejszych narzędzi, to między zdaniem odczytuję go jako fascynującą pracę o odkryciu przez chłopki polskie rozwodu, do którego w Polsce faktycznie nie miały prawa do lat 50. XX wieku. A także o odkryciu obywatelskich praw socjalnych. Dopiero przyjeżdżając do Ameryki i otrzymując dostęp do pomocy społecznej, uczyły się, że mogą się rozwieść w sytuacji, gdy mąż je opuścił albo nie spełniał swojej roli, że dostaną od



MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

→ towarzystw pomocowych alimenty na dzieci, więc masowo z tej opcji korzystały. Tymczasem Thomas i Znaniecki nie opisują tych praktyk jako pewnej wartości czy procesu stawiania się obywatelkami prawa, ale w kategorii dezorganizacji. Definiują chłopki jako osoby realizujące swoje działania - tam na emigracji, gdzie znalazły się poza kontrolą ojca, plebana i społeczności - w oparciu o temperament, a więc instynkty płciowe i impulsy emocjonalne.

Dziś mamy to samo. Na przykład paniki moralne wokół eurosierot, gdzie uwaga skupia się na sprawczy- niach i wyrodnych matkach, które za pracę wyjeżdżały do innych krajów.

Panika wokół eurosierot pojawiła się w 2008 r., kiedy odkryto, że Polacy, ale przede wszystkim Polki, które mają przecież obowiązek reprodukcji narodu i opieki nad nim, wyjeżdżają za granicę, by zarabiać na rodzinę. Znowu wybuchły obawy, że wyjeżdżające i pozbawione kontroli Polki wpadną poza granicami w przestrzeń ryzyka moralnego. Zupełnie pominięto sytuację ekonomiczną, która sprawiła, że musiały jechać za pracę. I że przebieg transformacji po 1989 r. wrzucił je w rolę menadżerek przetrwania.

To one przejęły na siebie główny ciężar przejścia przez kryzys?

W okresie transformacji wieś prze- trwała dzięki migracjom sezonowym oraz migracjom kobiet za granicę. Moja książka „Matka Polka na odległość” (wy- dana w 2015 r.) opowiadała o kobietach na emigracji, z których większość pocho- dziła ze wsi lub małych miasteczek. To one doświadczyły trudnej emancypacji, wpisanej w migrację, opłaconej ogrom- nym kosztem, przede wszystkim bra- kiem bliskiego kontaktu z dziećmi. Ale była to emancypacja, której długo w Pol- sce nie chcieliśmy rozpoznać. Woleliśmy mówić o eurosierotach, czyli o dzieciach, które zostały w kraju, nazywano je eko- nomicznymi ofiarami. Nad matkami nie pochylał się nikt, chyba że w kontekście oskarżenia o porzucenie dzieci. A tym- czasem te kobiety, które trudna sytuacja ekonomiczna rodziny, czasem przymus ze strony męża czy teściów albo potrzeba ucieczki przed przemocą domową wypy- chały za granicę, w nową rzeczywistość doświadczały wolności. Także wolności wyboru. Niektóre z nich zdecydowały się

Wolimy mówić
o eurosierotach, czyli
o dzieciach emigrantek.
**Nad matkami nie pochylał
się nikt.** A one doświadczyły
emancypacji, której długo
nie chcieliśmy rozpoznać.

na przykład na życie w związkach part- nerskich. Paniki moralne wokół eurosie- roctwa to jeden aspekt, są też inne.

Jakie?

W międzyczasie mieliśmy wiele od- słon walki wokół konwencji antyprze- mocowej, słowa prezydenta Dudy, żeby podpisanej w końcu przez Polskę kon- wencji nie przestrzegać. Uznano kon- wencję za zamach na suwerenność pol- skiej rodziny, i na tej fali prezentowano idylliczną jej wizję. Potem pojawiły się paniki antymigracyjne i tu też na nowo zdefiniowano terytorialny, polski wzo- rzec rodziny. A skoro polska rodzina jest przypisana do tego terytorium, to wpro- wadzono ograniczenia zagranicznej adopcji polskich dzieci. Tej jesieni mieli- śmy powrót do znanego schematu, tylko w nowym wyborczym kontekście.

Czy są w obiegu inne schematy, alternatywne do tego?

No właśnie, mamy dziesiątki wyobra- żeń na temat wsi w sferze publicznej. Ja- kiś czas temu historyk literatury Przemysław Czapliński powiedział, że od lat 90. w temacie wsi zapadła „hałaśliwa cisza”. Chodziło mu o to, że wyczerpała się lite- ratura poświęcona wsi, a zaczął ogromny transformacyjny hejt, który ma dziś mil- lion odsłon. Wspomnę choćby patolo- giczny obraz wsi pokazany w filmie do- kumentalnym „Arizona” z 1997 r. Dziś wieś jest oskarżana o popieranie PiS, a jej mieszkańcy nazywani chamami i cebu- lakami. Jednocześnie w tym czasie poza nielicznymi katedrami naukowymi wsią właściwie się nie zajmowano.

Spędziła Pani sporo czasu, badając polską wieś. To czego o niej nie wiemy?

Na przykład tego, że za mało rozpozna- jemy ją jako przestrzeń emancypacji ko- biet, przestrzeń ich upodmiotowienia – co ma swoją kolejną odsłonę po 1989 r. ze wzrostem po 2004. Można też śmiało mówić o zmianie rozkładu terytorialnego rozwodów. Gdy na początku lat 90. ich wskaźnik na wsi wynosił 8 proc. w skali kraju, to po 2004 r. co piąty rozwód roz- grywa się właśnie tam. Dużo się wyda- rzyło przez te dwie dekady.

Wieś znowu jest modna dzięki aspiracjom miejskiej klasy średniej.

Po pierwsze wieś się dezagraruje, bo coraz mniej, obecnie około 13 proc. jej mieszkańców, zajmuje się rolnictwem. Po drugie wieś się gentryfikuje, bo coraz chętniej zamieszkuje tam klasa średnia. A po trzecie wieś się różnicuje etnicznie, bo płynie tam ogromny strumień migran- tów, głównie pracowników sezonowych. Gdy spojrzymy, kto zbiera pieczarki, pra- cuje w sadach, kto wykonuje prace fi- zyczne, zobaczymy imigrantów. Jak po- kazuje w swojej najnowszej książce Ilona Matysiak, na wieś coraz chętniej też wy- prowadzają się młodzi, wykształceni lu- dzie, którzy szukają tam lepszej jakości życia. Mamy większą migrację z miast do wsi niż na odwrót. Mówi się też o zjawi- sku tzw. repezantyzacji.

Co to znaczy?

W sytuacji niepewności ekonomicznej niektórzy wolą wyprowadzić się na wieś i być tzw. pracującymi biednymi, ale na swoich zasadach. Choć jednocześnie wie- dzą, że trudniej się tam utrzymać, że do- świadczą wykluczenia energetycznego, komunikacyjnego, edukacyjnego czy słabego dostępu do służby zdrowia, także większego bezrobocia.

Podsumowując: wieś, o której mówią politycy prawicy, nie istnieje?

PiS ma mocny elektorat na wsi, ale nie widzi jej zróżnicowania i procesów eman- cypacji. Nie rozumie, że część wiejskich kobiet wykroczyła poza konserwatywne ramy, jakie chce im się narzucić. Dlatego ta hałaśliwa cisza wokół wsi zasługuje na pokazywanie sprzecznych, niejedno- znacznych procesów, które w tej chwili na niej zachodzą.

© Rozmawiała

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA



Alina Perzanowska, prezeska Fundacji Wspólnota Nadziei, ze swoim synem Michałem, podopiecznym Fundacji

Dom na krawędzi

MARCIN CHODUŃ

Podkrakowska Farma Życia zbudowana przez rodziców dzieci z autyzmem może wkrótce upaść. Jej już dorosłym mieszkańcom pozostanie pobyt na oddziale zamkniętym do końca życia.

NA ZBOCZU WZNIESIENIA SZEROKA łąka, przy płocie owce. Cicho jak w bieszczadzkiej głuszy, choć Więckowice, podkrakowska wieś, są oddalone od miasta ledwie o kilkanaście kilometrów.

Czy można się więc dziwić, że Alina Perzanowska, energiczna 70-latką, prezes Fundacji Wspólnota Nadziei, zachwyciła się tym miejscem? – Gdy przyjechałam po raz pierwszy, od razu wiedziałam, że tu powstanie ośrodek dla naszych dzieci – wspomina z uśmiechem. Z takim, jaki zobaczyć można jedynie u ludzi, którzy w cierpieniu odnaleźli drogę swojego życia.

Nie będzie ukrywać: miała osobistą motywację. Michał. Wcześniak z patologicznej ciąży. Więc słabszy już na wejściu w życie. – Syn od początku nietypowo się rozwijał. Mechanicznie bawił się zabawkami, godzinami potrafił wpatrywać się w zegar. A jednocześnie miał niebywałe zdolności arytmetyczne. Gdy do mojego męża, filozofa matematyki, przyjechał kiedyś kolega z Japonii i przywiózł grę po-

legającą na określaniu wielkości liczb, to nasz pięcioletni Michał okazał się lepszy od dwóch uznanych naukowców.

Nie do bloku

Fachowo tego rodzaju problemy określa się terminem „zaburzenia ze spektrum autyzmu”. Słowo „autos” pochodzi z greki i oznacza „sam”. W pełni oddaje istotę tych zaburzeń – osoby nimi dotknięte żyją we własnej rzeczywistości, w normalnym świecie trudno im się odnaleźć. A często w ogóle nie jest to możliwe.

Alina zaczyna działać („Nie należałam nigdy do najważniejszych ludzi, ale okoliczności – ten ból i strach – to sprawiły”). Tworzy komitet społeczny ds. organizacji ośrodka dla dzieci autystycznych. Następnie wspólnie z kilkoma innymi rodzicami dzieci podobnych do Michała zakłada w 1991 r. w Krakowie oddział Krajowego Towarzystwa Autyzmu. I zostaje jego prezeską.

Wkrótce oddział staje się jednym z najprężniejszych w kraju. Jego dziełem jest

ośrodek terapeutyczno-szkolny. Placówka organizuje też turnusy rehabilitacyjne, tworzy punkt konsultacyjno-terapeutyczny, wydaje czasopismo i organizuje konferencje.

Jednak dzieci dorastają i zaczynają trafiać do szpitala psychiatrycznego. – Mieszkaliśmy na dziesiątym piętrze w bloku i nie mogłam mojego Michała z tego szpitala wypisać – wspomina pani Alina. – Byłoby to zbyt niebezpieczne dla niego i dla mnie.

Rodzice Michała, Alina i Jerzy, postanawiają powołać dla dorastających dzieci drugą organizację i stworzyć dla nich ośrodek, w którym mogłyby stale przebywać. Zaczynają walkę o Farmę Życia.

Zrzutka

Skąd wziąć pieniądze? Kilkoro rodziców przychodzi pewnego dnia do Aliny: „Alinko, my ci ufamy i będziemy składać co miesiąc 150 złotych na budowę. Zajmiesz się tym?”. – No i tym zaufaniem po prostu mnie załatwili – śmieje się dziś prezes Fundacji.

W roku 1996 Alina przyjeżdża do Więckowic. Powstaje plan: 5 budynków, w których mają się mieścić wspólnoty mieszkaniowe i centrum rehabilitacyjne. Pierwszy budynek powstaje w 2005 r., drugi – w 2011. Na kolejne zabraknie już środków – mimo iż rodzice podopiecznych ostatecznie wpłacili na rzecz inwestycji po 100 tys. zł (taką górną granicę sobie wyznaczili), a pani Alina i jej mąż z otrzymanego nieoczekiwanie spadku – o wiele więcej.

Wraz z pierwszymi mieszkańcami, którzy oprócz autyzmu są jeszcze mocno niepełnosprawni intelektualnie, do ośrodka wprowadza się też na dobrą sprawę Alina – przez dziewięć lat śpi na kanapie w swoim gabinecie.

Złość to komunikat

– O, tu właśnie mieszkają nasi panowie – Piotr Bochonko, kierownik placówki, zaprasza do pierwszego budynku. – Wszyscy tak zwani nisko lub gorzej funkcjonujący. Czyli niekomunikujący się werbalnie.

Na piętrze pracownia sztuki użytkowej i sala rehabilitacyjna. Na parterze pokoje podopiecznych i salon, a w nim sofa, stół, telewizor. – Tu chłopaki spędzają większą część dnia, pokoje służą tylko jako sypialnie – tłumaczy Piotr.

W pierwszym mieszka Adaś. W ścianach widać podłużne dziury. Opiekunowie utworzyli z nich motyw skał →

→ w dużym naściennym malowidle, przedstawiającym góry. Adaś, który ma 36 lat, wydrapał te dziury, bo uwielbia wpatrywać się w unoszący się w powietrzu pył, powstały z sypiącego się tynku.

Pokój Łukasza. Wszędzie leżą misie. Bo Łukasz, trzydziestoosmioletek, bardzo lubi misie. Pokój Krzysia. Na półkach puzzle. Krzyś potrafi je układać całymi godzinami. Przy podłodze zerwane listwy – no cóż, Krzyś czasami je wyrывa. Na przykład jak nie może znaleźć jakiegoś puzzla.

Alina Perzanowska: – Stany agresji i autogresji u osób z autyzmem pojawiają się w stanach niepokoju. Ludzie zwykle myślą o nich jak o potworach, którzy chcą zrobić coś złego. Ale złość to komunikat, że na przykład boli brzuch albo głowa.

Serca z papieru

Drugi budynek. Trzy moduły mieszkalne. W jednym mieszkają Bożena, Agnieszka i Krysia. W dwóch pozostałych – Ania i Michał (syn pani Aliny). – Tutejsi mieszkańcy nieco lepiej funkcjonują od chłopaków z drugiego budynku. Dużo czasu spędzają w swoich pokojach. Dlatego są one większe; są w nich też bardziej domowe meble, książki, telewizory.

Czy Krysia pokaże swój pokój? Potakuje głową. W jej pokoju pełno balonów. I dmuchane koło ratunkowe. Po co koło? Bo Krysia wybiera się wkrótce nad morze. Pokój Michała. Wszystkie półki opisane. – Michał jako jedyny potrafi czytać, podpisuje się i zna się na zegarze – tłumaczy pan Piotr. – W każdym budynku do południa jest dwóch opiekunów, po południu dochodzi trzeci. W nocy w każdym budynku jest jeden opiekun.

Opiekunów jednak coraz częściej brakuje. Wielu odchodzi po pewnym czasie, nie wytrzymuje charakteru pracy. Coraz częściej powodem odejść są jednak po prostu pieniądze.

Alina Perzanowska: – Formalny miesięczny koszt utrzymania mieszkańca wynosi 6280 złotych. Tylko do takiej wysokości, choć i tak jest ona relatywnie wysoka w porównaniu do innych DPS-ów, możemy liczyć na dofinansowanie krakowskiego MOPS-u. Jednak przy zatrudnieniu w proporcji jeden opiekun na dwóch podopiecznych, a w nocy jeden na pięciu, to nie wystarczy. A przecież zdarzają się sytuacje, gdy ze względów bezpieczeństwa wymagana jest praca w systemie jeden opiekun na jednego podopiecznego.

Na Farmie Życia znajdują się dwie podstawowe struktury: Małopolski Dom Pomocy Społecznej (MDPS), w którym opieką otoczeni są stali mieszkańcy. Druga to Dzielne Centrum Aktywności, które dzięki grantom z Państwowego Funduszu Osób Niepełnosprawnych realizuje dwu-, trzyletnie zadania rehabilitacyjne dla uczestników dojeżdżających z Krakowa i okolic. W zależności od projektu jest ich 30-40 osób.

– Nie mamy nic przeciwko temu, że z tego, co myśmy zbudowali z własnych pieniędzy, korzystają też inni – mówi pani Alina. – Wiemy, że mamy swoją misję.

W związku z niewystarczającym dofinansowaniem kierownictwo ośrodka jest w stanie płacić opiekunom pensje na poziomie najniższej płacy krajowej; najbardziej doświadczeni opiekunowie zarabiają maksymalnie 2800 zł brutto. A jest to tylko personel opiekuńczy, nie kadra specjalistyczna. Ośrodka nie stać na zatrudnienie choćby jednego etatowego terapeuty czy pielęgniarki na pełen etat.

Farma stale odnotowuje deficyt, z roku na rok coraz wyższy, bo rosną płace i ceny usług. Kierownictwo ośrodka robi, co może, żeby zdobyć dodatkowe środki: organizuje koncerty, kiermasze. I bez przerwy pożycza pieniądze – u rodziców i innych życzliwych ludzi. Dodatkową niepewność powoduje kwestia dofinansowania z krakowskiego MOPS-u. Fundacja podpisuje z nim umowę co roku.

Alina: – Coraz trudniej nam zatrzymać pracowników. Niektórzy odchodzą do innych pobliskich DPS-ów, gdzie otrzymują lepsze pensje i więcej dodatków socjalnych. Niedługo w okolicy mają też powstać dwa sklepy, gdzie na kasie będzie się podobno zarabiać 4000 złotych. Jeśli nie uzyskamy odpowiedniego finansowania, grozi nam katastrofa.

– Żeby Farma mogła przetrwać – tłumaczy – potrzebne są zmiany systemowe. Zabiegamy o nie wraz z innymi bratnimi organizacjami skupionymi w Porozumieniu Autyzm-Polska od lat. Od ponad 20 lat próbujemy w kwestii autyzmu i rozwiązań systemowych współpracować z każdą kolejną Parlamentarną Grupą ds. Autyzmu. Za jej pośrednictwem chcemy doprowadzić do umieszczenia w ustawie o pomocy społecznej zapisu o odrębnych domach dla nisko funkcjonujących, niesamodzielnych osób z autyzmem i w ślad za tym uzyskać odpowiednie środki finansowe.

Kilka lat temu do Grupy należało ponad 30 posłów, w ostatnich latach liczba ta zmniejszyła się do dziewięciu. Na ostatnie spotkanie przyszło trzech, po kilku minutach dwóch wyszło. Na ostatni piknik organizowany na Farmie jechali politycy z Warszawy. Ale ostatecznie nie dojechali: zatrzymali się przy proteście w sprawie drzew w centrum Krakowa. Było tam więcej kamer.

To nie Rain Man

Jak to jest być rodzicem autystycznej osoby? Alina nie chce już o tym mówić. To, jak Michał uderzał w napięciu w szyby, przecinał sobie żyły, był agresywny także wobec niej – te wspomnienia są zbyt bolesne.

Danucie, mamie Adasia, też ciężko wspominać przeszłość. To walenie głową w podłogę aż do krwi. To wyrzucanie rzeczy przez okno. Krótki sen w nocy – najczęściej dwu-, trzygodzinny. Lepiej już te wspomnienia zostawić.

Ojciec Krysi: – Od lat żyjemy na takim poziomie stresu, że byle bzdura potrafi nas skrajnie zdenerwować. Ja z tego powodu piętnaście lat temu sam trafiłem na miesiąc do szpitala psychiatrycznego.

Mama drugiego Michała: – W domu był bardzo agresywny. Atakował głównie brata. Tak się mówi: agresja. Ale to nic nie znaczy, to trzeba przeżyć.

Mama Krysi: – Powstał taki stereotyp, między innymi dzięki filmowi „Rainman”, że autysta to ktoś o nadzwyczajnych zdolnościach. To jest nieporozumienie kompletne. Bo prawda bywa dramatyczna i tragiczna.

Ojciec Krysi: – Niepełnosprawność to eufemizm – nasze dzieci są upośledzone. Ten dom jest niezbędny. Ktoś powie, że to luksusy, bo każdy ma swój pokój. Ale oni w jednym pokoju by się zatłukli.

Rodzice podopiecznych Farmy Życia, wszyscy emeryci, wiedzą jedno: jeśli ośrodek przestanie istnieć, ich dzieci trafią na oddział zamknięty. I zostaną tam już do końca życia.

Mama Agnieszki: – Żyjemy jak na krawędzi. Ja modłę się już tylko o jedno: żeby moje dziecko umarło przede mną.

© MARCIN CHODUŃ

■ Funkcjonowanie Farmy Życia można wesprzeć darowizną na rzecz Fundacji Wspólnota Nadziei. Nr konta: **35 1600 1013 0002 0011 6204 9001**

ANNA

Dziewit-Meller: Gadu gadu



PO LEKTURZE ŚWIETNEJ KSIĄŻKI GASTONA Dorrena „Babel. W dwadzieścia języków dookoła świata”, w której autor – lingwista i poliglota – z humorem i erudycją analizuje dwadzieścia głównych języków świata, zaczęłam sobie przypominać własne

sne wieloletnie zmagania z nauką języków obcych.

Kiedy zaczynałam edukację w roku 1988, większość szkół podstawowych w okolicy miała w ofercie wciąż jedynie mowę Tołstoja, Gogola i Ałły Pugaczowej. Moi rodzice jednak się uparli, że posłā mnie do szkoły poza tzw. rejonem, gdzie prócz rosyjskiego właśnie wprowadzali angielski. To naprawdę był wielki szpas w Siemianowicach Śląskich Anno Domini 1988.

Moja nauka angielskiego, rozpoczęta jeszcze w PRL-u lekcjami u pani magister Powāłki („English is fun!”), trwa jednak po dziś dzień. Zdradziecki język ten – choć przyjemny w początkowym okresie nauki – im dalej w las, tym mniej jest miłym Lasem Stumilowym, a coraz bardziej lasem Birnam. By mi nie uwiādl, jak niećwiczone mięśnie, od kilku lat spotykam się więc co tydzień z sympatycznym Walińczykiem Philem, który cierpliwie poprawia moją złą wymowę i utrwalone przez lata błędy gramatyczne. Jak pisze Gaston Dorren: „Sam fakt, że tak wielu ludzi uczy się angielskiego, naprawdę nie oznacza, że przychodzi im to łatwo! To ciężka robota, która nigdy się nie kończy”. *Indeed*. Dość rzec, że Polacy mieszkający w Wielkiej Brytanii często niesłusznie bywają odbierani jako okropni grubianie, a to wszystko dlatego, że meandry językowej etykiety angielskiego bywają dla nas zupełnie nieczytelne. Znów sięgając po Dorrena: „W wielu językach możesz po prostu zapytać kogoś, co by chciał, a po angielsku musisz się dowiadywać »czego by sobie życzył« albo co »by wolał«, co »możesz podać«, czy »możesz im jakoś pomóc« (...). Jeśli przy barze rzucisz prosto z mostu »Piwo chcę«, to tak jakbyś do francuskiego kelnera zwrócił się per ty”.

A skoro o francuskich kelnerach mowa – w mojej edukacji przyszła później pora na francuski. W liceum chodziłam do klasy eksperymentalnej, gdzie francuski był główny i najważniejszy i nic nie mogło nas od niego odrywać. Mój dziadek – lingwista amator – ze wszystkich języków świata považał najbardziej ten od Moliera i tukał nam latami do głów, że kulturalny człowiek bez francuskiego po prostu nie przetrwa we wrogim świecie. *Pardon* dziadku, aleś się srogo pomylił.

Czytając o początkach idei francuskiego językowego nacjonalizmu, jaki zaproponował w dobie rewolucji Bertrand Barère, głoszący pochwałę sprzężenia między państwem, narodem i językiem („W wolnym narodzie język musi być dla wszystkich jeden i ten sam!”), nie mogłam przestać myśleć o kolejnym języku, w którym się komunikuję, czyli języku śląskim. Za nazywanie „godki” gwarą trzeba mnie oficjalnie

przepraszać, najlepiej z kwiatami. Ignorancja ma przecież na Boga jakieś swoje granice, lektura zaś cytowanych przez Dorrena sloganów z plakatów kierowanych do Bretończyków opornych na urok francuszczyzny, brzmiących np. „Mówienie po bretońsku, tudzież spluwanie na podłogę zabronione” albo „Mówcie po francusku, bądźcie schludni!” (*Parlez français, soyez propres!*), jako żywo przypominają mi stosunek nauczycieli do dzieci pochodzących ze śląskich domów, przynoszących do szkoły język rodziców i dziadków, rugowany i karczowany metodą zawstydzania i umniejszania. Języki różne, czasy odległe, a metody jakie zbieżne! *Mon Dieu!*

Potem zaś nadeszła u mnie era języka tureckiego, którym się zachwyciłam, jeżdżąc często do Stambułu. Znalazłam w Polsce nauczycielkę – wówczas skromną studentkę turkologii, dziś bojowniczą działaczkę Obywateli RP, i przez kilka lat z jej bezcenną pomocą usiłowałam zgłębić tajniki tej przedziwnej mowy. Turecki – wbrew stanowisku wielu naukowców, jak pisze Dorren, chcących wierzyć, że „nauka opisuje to, jakie rzeczy są, a nie jakie być powinny”, i twierdzących, że ingerencje w suwerenność języka muszą być z góry skazane na porażkę – jest przecież efektem interwencji językowej państwa. W latach 20. XX wieku chciało przekształcić się z wieloetnicznego, wielojęzycznego organizmu w nowoczesną republikę. Turecki pokonał mnie jednak, jak Erdoğan puczystów, choć – jak mieszkańcy Stambułu – nie mówię, że się poddałam na zawsze.

Nelson Mandela zapytany, dlaczego nauczył się afrikaans, języka apartheidu, rzekł, że jeśli przemówisz do kogoś w jego własnym języku, twoje słowa trafią prosto do jego serca.

I niby tłumaczenia Google’a mają być wkrótce tak dobre, że na nic nam to wkuwanie słówek i odmiana czasownika przez wszystkie przypadki, ale przecież nauka języka to coś znacznie więcej niż zdobywanie narzędzi do komunikacji. To klucz do zrozumienia innych kultur. Gaston Dorren mi świadkiem. ©

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 14.11.2019 r. w Le Puy-Sainte-Réparate we Francji
zmarła

ś.†p.

**Felicja z Chełkowskich
Caty**

ur. 10.12.1928 r. w Dzierżanowie w Wielkopolsce,
córkā Szczęsnego i Krystyny z Urbanowskich.

Kochana Żona, Siostra i Ciocia,
cudowny, życzliwy człowiek oddany
rodzinie i potrzebującym,
uczestniczka Powstania Warszawskiego.

Pozostanie na zawsze w naszych sercach i pamięci.

Pograżeni w smutku

MĄŻ I BRACIA Z RODZINAMI

MÓDL SIĘ, PRACUJ I MYŚL

Kobietą Roku ogłosiliśmy ją już raz, i zdania nie zmieniamy. Siostra Małgorzata Borkowska, która właśnie skończyła 80 lat, ma odpowiedź na klerykalizm i męską dominację w Kościele.

JERZY SOSNOWSKI

OPOWIADA SIOSTRA MAŁGORZATA Borkowska: „Pojechałam kiedyś do Krakowa i poszłam do dominikanek na Gródku, prosić o wgląd w ich archiwum. (...) Więc siedziałam w archiwum, pracowałam pilnie, a po południu postanowiłam pójść razem z nimi na nieszpory. Chór mają w kościele na emporze, a na balustradzie jest drewniana krata mniej więcej metrowej wysokości. Weszłam, ukłękłam, i żeby się łatwiej podnieść, oparłam się tylko dwoma palcami o tę kratę... i krata (...) poleciała. Z tyłu pędzi jakaś nowicjuszka z wyciągniętymi rękami, ratować, nie wiem, kratę czy mój łeb; a za mną stoi przeorysza i tak się śmieje, że się ruszyć nie może. No już przedtem jej zdążyłam powiedzieć, jak to w klasztorze przemyskim rozwalłam tapczan, a w Staniątkach pulpit mszalny” (z książki „Porozmawiajmy jak Borkowska z Borkowskim”, współautor Igor Borkowski).

Albo inna opowieść: „Parę lat temu nasz proboszcz opowiadał, że był 2 lutego w którejś pobliskiej parafii do pomocy w spowiadaniu; było tam także kilku innych księży z okolicy, m.in. zmarłych wstaniec (*Congregatio Resurrectionis*, CR) z Krokowej. No więc siedzieli w konfesjonalech, a tamtejszy proboszcz mówił kazanie i usiłował wyjaśnić ludziom, co to jest życie zakonne. A że niewiele o nim wiedział, wybrał sobie jako wyróżnik te skróty po nazwisku, i powiada:

»Popatrzcie, tu jest ksiądz z Krokowej, on także ma z tyłu dwie literki...«. Nasz proboszcz mało z konfesjonale nie wypadł, bo sobie pomyślał, jak niewygodnie musi być siedzieć na dwóch tylko literkach” (z książki Małgorzaty Borkowskiej „Oślica Balaama”).

Dodajmy, że Autorka, jak sama mówi, nazywana jest przez współmniszki Niedźwiedziem, a zapytana o ich reakcję na książkę „Oślica Balaama”, odpowiada, że jedyne, co je zdziwiło, to zaskakujący wybryk ewolucji, na mocy którego z Niedźwiedzia mogła powstać Oślica.

Więc cóż, zakonnica z poczuciem humoru? Mijane na ulicach nie wyglądają zazwyczaj na osoby skłonne do żartów, ale każdy, kto się z pewną ich liczbą zetknął choć odrobinę bliżej, dobrze wie, że to się zdarza. Sam pamiętam taką oto scenę z czasów, gdy studiując byłam (jeszcze) ministrantem: odbywał się akurat dzień chorych, z pomocą zmotoryzowanego kuzyna pana kościelnego zwieźliśmy staruszków do kościoła, oni po spowiedzi i mszy usiedli do wspólnego posiłku, a my w kilka osób czekaliśmy w korytarzu, żeby, kiedy skończą, rozwiązać ich z powrotem. Była tam m.in. młoda zakonnica, ksiądz, który opiekował się ministrantami, no i ja. Rozmawiamy, a wtem zakonnica, zerkając ironicznie na księdza, powiada do mnie: „Ach, muszę pana bardzo przeprosić. Bo pomyślałam o panu coś brzydkiego. Proszę mi wybaczyć: są-

dziłam, że jest pan księdzem”. Nawiasem mówiąc, „Oślica Balaama” s. Borkowskiej rzuciła mi na ten ryzykowny żarcik nowe światło – o czym później.

Więc owszem: istnieją zakonnice z poczuciem humoru, tak jak i istnieją zakonniki, które go nie mają. Znając zakonnika, który prowadząc rekolekcje wielkopostne (!) tak rozbijał kościół dominikanów na Freta swoimi żartami, że śmiech zebranych słyhać było chyba nad Wisłą (uważałem, że przesadził: zamierzałem się pomartwić moimi grzechami, a on je wyśmiał) – i znając innego, skłonnego do melancholii, nie mam powodu się dziwić, że kobiety w habitach też są rozmaite.

Osoba, o której dzisiaj piszę, ofiarowuje jednak ludziom coś więcej niż śmiech i uśmiech (choć to, przynajmniej, niemało).

Kobieta i mądrość

Niech teraz będzie lista: św. Hildegarda z Bingen, św. Klara z Asyżu, św. Teresa z Avila, św. Bernadeta Soubirous, św. Teresa od Dziesiątka Jezus, matka Róża Czacka, bł. Marta Robin, Stanisława Grabska, s. Alma Skrzydlewska, Halina Bortnowska, Józefa Hennelowa, Rosemary Radford Ruether, s. Barbara Chyrowicz, s. Małgorzata Chmielewska, Elżbieta Adamiak...

Piętnaście nazwisk, wybranych może nie na chybił trafił, ale ze świadomością, że powinno ich być więcej. Piętnaście katoliczek, które zapewne nie zawsze by →



→ się wzajemnie rozumiały (np. nie sądzę, by pisma mistyczne św. Teresy z Avila były czytelne dla Bernadetty Soubirous), a w wielu kwestiach by się spierały (jak być może, bo przecież nie sposób tego sprawdzić, św. Klara z amerykańską teologią feministyczną Rosemary Reuther). Mistyczki, artystki, działaczki społeczne, publicystki, filozofki, teolożki, zakonnice i osoby świeckie. Kobiety osobowości – wpływające bądź to na cały Kościół katolicki, bądź na swoje bezpośrednie otoczenie. O istnieniu każdej z nich niby wiemy – a przecież ich nazwiska wymienione jedno po drugim wywołują wrażenie niejakej dziwności. W odróżnieniu od takiego na przykład ciągu: św. Franciszek z Asyżu, św. Jan od Krzyża, św. Ignacy Loyola, ks. Władysław Kornilowicz, Yves Congar... Ach, no tak, to byłaby przecież oczywista historia naszego Kościoła.

Gdyż, jakkolwiek sprawy posuwają się (wolno) we właściwym kierunku, nasze wyobrażenie o Kościele jest wciąż zmaskulinizowane. Co zresztą dziś, gdy mamy do czynienia z kryzysem naszej wspólnoty religijnej, przydaje kobiecym głosom wiarygodności. Ich wielowiekowe marginalizowanie sprawia, że brzmią dzisiaj świeżo, jakby spoza obszaru, na którym udało nam się zafiksować.

Tak właśnie rozumiem znaczenie s. Małgorzaty Borkowskiej, benedyktynki z Żarnowca, która w 2018 r. opublikowała – bodaj jako pięćdziesiątą swoją książkę! – prowokacyjną broszurę „Oślica Balaama. Apel do duchownych panów”.

S. Borkowska w kolejnej publikacji, zatytułowanej „Ryk oślicy”, stanowiącej ripostę na głosy – głównie internetowe – które wzbudziła tamta, pisze co prawda: „Pierwsze wrażenia Internautów dotyczyły w dużej mierze rzeczy najmniej ważnej, mianowicie mojej osoby”. A jednak o tej „rzeczy najmniej ważnej” właśnie trzeba parę słów powiedzieć, nie tylko z okazji minionej niedawno osiemdziesiątej rocznicy urodzin.

Anna Borkowska urodziła się 10 listopada 1939 r. w Warszawie. Ma dwoje rodzeństwa. Po powstaniu los rzucił jej rodzinę najpierw do Nakła, a potem do Czechowic. Maturę zdała w Bydgoszczy, filologię polską (a także filozofię) studiowała na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie zetknęła się m.in. z Henrykiem Elzenbergiem (filozofem), Konra-

Tu chodzi nie tyle o spór progresizmu z tradycjonalizmem, ile o... **gender.**

dem Górskim (filologiem) oraz jego bratem Karolem (historykiem). O swoim powołaniu mówi enigmatycznie, zwracając się tylko – w cytowanej wyżej książce „Porozmawiamy jak Borkowska z Borkowskim” – że rozważała swoją decyzję „w tajemnicy przed rodziną, która padłaby trupem, gdyby usłyszała, że myślę o wyborze życia zakonnego (i mało zresztą nie padła, gdy już usłyszała)”. Przedtem zaczęła jeszcze studia teologiczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, kontynuowane już w nowicjacie. Do zakonu wstąpiła w wieku 25 lat, przyjmując imię Małgorzata; sześć lat później, to jest w 1970 r., złożyła śluby wieczyste. Od 1964 r. mieszka w opactwie benedyktynek w Żarnowcu (z pięcioletnią przerwą na pobyt w Staniątkach, gdzie była mistrzynią nowicjatu).

Opowieść s. Małgorzaty Borkowskiej o tym, jak została historykiem – a w 1997 r. otrzymała prestiżową nagrodę KLIO za pracę „Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII-XVIII wieku” – świadczy o jej dystansie do samej siebie. Twierdzi ona mianowicie, że gdy jej ówczesna przełożona, matka Edyta zobaczyła, jak młoda mniszka zamiata krużganek, stwierdziła „Misiu, sprzątać to ty się nie nauczysz, zajmij się jakimś pisaniem”. *Se non è vero, è ben trovato* – niemniej dziś jest ona niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie historii monastycyzmu. Poza pracami historycznymi zajmuje się tłumaczeniami i powieściopisarstwem (opublikowała kilka utworów w konwencji *fantasy*). Współpracuje z kwartalnikiem „Więź” i miesięcznikiem „Znak”.

Więc: wykształcona, wszechstronnie utalentowana i mądra kobieta (jako się rzekło: z poczuciem humoru), która znalazła swoje miejsce w zakonie kontemplacyjnym. Portret robi się nieco wyraźniejszy, ale to wciąż mało.

Kiedy powiedzieć: dosyć!

W naszym Kościele trwa (nie wiem, czy od stuleci, ale na pewno, jak daleko jestem w stanie sam sięgnąć pamięcią) swoista solidarność cechowa. Nawet nie-

dawno pewien wielkiej szlachetności biskup, bombardowany pytaniami o to, co robią niektórzy inni polscy biskupi, odpowiedział rozmówcom (byłem wśród nich): „Państwo pozwolą, że nie będę recenzował moich braci w biskupstwie”. Duchowny o innych duchownych może powiedzieć coś przykrego w cztery oczy; w sytuacji publicznej ewentualnie da do zrozumienia, że coś mu się nie podoba, najczęściej jednak w taki sposób, żeby słuchacze nie byli pewni, czy dobrze go zrozumieli. Zjawisko to dotyczy tak hierarchów, jak tzw. szeregowych księży. Ostatnio napięcia we wspólnotie katolickiej, nie tylko w Polsce zresztą, zrobiły się tak wielkie, że zasada ta bywa naruszana, jednak zwykle przez, tak to nazwijmy, harcowników, by nie powiedzieć desperatów, którzy zaczęli zachowywać się tak, jakby przestali liczyć się z konsekwencjami. Jest to w każdym razie wciąż mniejszość, niezbyt szybko rosnąca mimo sytuacji, w której kryzys Kościoła każe bić na trwogę.

Zakonnice w naszych wewnątrzkatolickich sporach do tej pory raczej milczały, co nie zwracało uwagi, gdyż do milczenia zakonnic, a szerzej: kobiet w Kościele, przywykliśmy od dawna. Chyba dlatego pewną sensacją okazała się w ubiegłym roku „Oślica Balaama” s. Borkowskiej, tekst, który zresztą – w opisanym kontekście to nie dziwi – przeleżał w komputerze Autorki kilkanaście lat. Rozumiem, że s. Borkowska przez ponad pół wieku słuchała cierpliwie kazań odwiedzających Żarnowiec księży, aż w końcu powiedziała: dosyć! Zwłaszcza, gdy zapewne jej samej odśłonił się w końcu fakt, że w tym statystycznie nieznaczącym przecież zbiorze opowieści widać problemy szersze niż kwestia pogardliwej postawy księży wobec zakonnic. A mianowicie również: stosunek księży do tego, w jaki sposób głoszą i komentują Słowo Boże, do ich słuchaczy (w habitach czy nie), do teologii i wreszcie do Boga samego.

„Oślica Balaama” nie jest książeczką napastliwą. Jej ironiczny, a chwilami zgryźliwy ton ustępuje po niewielu stronach zatroskaniu. Zaczyna się od sarkastycznej opowieści o kleryku, który swojej cioci, przebywającej od 40 lat w zakonie, podarował książkę o modlitwie z dedykacją: „Kochanej cioci... aby ta piękna książka pomogła zrozumieć wartość modlitwy”; kończy się na dramatycznych pytaniami

o rozumne miejsce etyki seksualnej w nauczaniu oraz o świadomość ekumeniczną (lub raczej – jej brak).

Temat szczególnie bolesny dla katolika wierzącego w Jezusa Chrystusa, a nie w Jarosława Kaczyńskiego, czyli temat upolitycznienia kazań, zajmuje w tej broszurze mało miejsca. „Oślica Balaama” nie jest głosem w sporze katolików pro-rządowych z katolikami antyrządowymi. Jest raczej domaganiem się, aby homilia, będąca formalnie częścią Liturgii Słowa, była głoszona ze świadomością, że tym właśnie jest, i z wynikającą stąd odpowiedzialnością.

Ale ten dystans do politycznego sporu w łonie Kościoła katolickiego w Polsce nie stanowi manewru taktycznego. Jest raczej przejawem czegoś, co w osobie s. Małgorzaty uderza mnie najbardziej.

By wszystko miało swoje miejsce

Wkrótce po „Oślicy Balaama” ukazała się jej druga część, „Ryk oślicy” – autorski komentarz do sporu (niepobawionego konsternacji), który wywołała pierwsza publikacja. S. Małgorzata Borkowska wkłada tam program pozytywny: mówi o potrzebie przemyślenia formacji kleryków, o tym, jak rozumie życie konsekrowane, o milczeniu Boga i o sensie kontemplacji.

Czytając tę książkę, podobnie jak słuchając wystąpień s. Borkowskiej, dostępnych w internecie, a wreszcie czytając wywiad rzekę „Porozmawiajmy jak Borkowska z Borkowskim”, złapałem się na dziwnym wrażeniu, które w pierwszej chwili wziąłem za poczucie obcości. Gdyż na moim prywatnym i niewątpliwie jedynie hobbystycznym zainteresowaniu teologią odcisnęła się niezatartym piętnem lektura „Schyłku chrześcijaństwa tomistycznego” Tischnera, gdy Autorka jest wyraźnie pod wpływem innej szkoły (dominującej zresztą wciąż w Kościele): myślenia wywodzącego się od Arystotelesa, przechodzącego w chrześcijaństwie w tomizm, w Polsce XX wieku zabarwionego jeszcze tradycją szkoły lwowsko-warszawskiej. Wyrażna rezerwa do teologicznych nowin, zaufanie do dogmatyki i tradycyjnej teologii moralnej, niechęć do katechizacji opartej na tematach „egzystencjalnych” – wszystko to przeniosło w moich oczach s. Borkowską w krąg ludzi, których nie sposób nie szanować, których jednak drogą podą-

zać nie umiem (co zapewne jest grzecznym wyrażeniem tego, że w istocie: nie chcę).

Ale to moje pierwsze wrażenie ustąpiło zaraz miejsca innemu, którego się teraz trzymam. Stała mi bowiem przed oczami wyłożona wyżej lista kobiet, ważnych w dziejach Kościoła powszechnego czy polskiego – i uświadomiłem sobie, że chodzi nie tyle o spór neoaugustynizmu z neotomizmem, ani tym mniej progresizmu z tradycjonalizmem, ile o... gender.

Nie, nie zamierzam się teraz drażnić z ludźmi, którzy uwierzyli, że Gender to potwór, który nas zje. Mam na myśli jedynie zdroworozsądkowe spostrzeżenie, że istnieje kulturowa specyfika typów zaangażowania, właściwych (przeważnie, nie bez wyjątków) dla obu płci. Rysowanie i przestrzeganie linii podziału, konflikt, system rozpoznawania swoich i obcych, i tak dalej, łączą się z historycznym zaangażowaniem mężczyzn w walkę. Otóż owszem, oglądane w tym kontekście stanowisko s. Borkowskiej to raczej tradycja św. Tomasza niż św. Augustyna, raczej Gilson niż, powiedzmy, Rahner, raczej dogmatyka katolicka niż refleksja nad doświadczeniem egzystencji. Tylko że – nawet jeśli się nie myślę, obsadzając Autorkę „Sześciu prawd wiary i ich skutków” w tej serii opozycji, to sam zdaję sobie sprawę, że umyka mi najistotniejszy przekaz płynący z jej działalności pisarskiej.

Ten zaś to wezwanie do zanurzenia naszego życia z powrotem w Bogu, który siłą rzeczy przekracza granice i rozróżnienia. To domaganie się od chrześcijanina życia po chrześcijańsku, co niekoniecznie ma oznaczać wzięcie udziału w kolejnej konfrontacji, ale musi – praktykowanie wskazań, wyłożonych jasno na przykład w regule św. Benedykta (choć ten, przyznajmy, akurat do śmiechu, tak ważnego dla s. Borkowskiej, miał stosunek niechętny). Więc nasłuchiwanie

– innych ludzi i znaków, które może nie od ludzi pochodzą. Więc łagodzenie napięć między ludźmi. Więc zrozumienie dla odmienności innych. Asceza, rozumiana nie jako zadawanie gwałtu potrzebom ciała, ale konsekwentne trzymanie się raz podjętego wyboru określonego dobra (co oznacza odmówienie sobie innych dóbr). I przede wszystkim: praktykowanie pracy jako uczestnictwa w boskim dziele stworzenia.

W świecie patriarchalnym, opartym na konfrontacji i konkurencji, to przypomnienie, że istnieje jeszcze pokój i współpraca, może się wydawać eskapizmem (tak, ten epitet pojawia się niekiedy w kontekście klasztorów kontemplacyjnych!). Ale słuchanie czy też czytanie s. Małgorzaty Borkowskiej przenosi nas do świata, do którego – jak mi się zdaje – kulturowo prostszy dostęp mają kobiety. Oto jej i ich mądrość: zanim się zacietrzewimy w sporze o wyższości jednego stanowiska nad drugim, przypomnijmy sobie, że istnieje rzetelne wykonywanie tego, co jest do zrobienia, życzliwe potraktowanie bliźniego niezależnie od jego preferencji wyborczych, światopoglądowych czy jeszcze jakichś innych; znalezienie takiego rytmu dnia, miesiąca i roku, żeby na wszystko przychodziła pora we właściwym momencie; i tak dalej. Św. Augustyn czy św. Tomasz – rzecz ciekawa, ale tak czy tak starodawny tekst trzeba opracować i wydać, obiad zrobić, pomodlić się, porozmawiać i przespacerować siedem godzin. A kiedy to wszystko będzie mieć swój czas i miejsce, wtedy dopiero się okaże, które spory toczyliśmy z sensem, a które tylko po to, żeby nie zająć się czymś innym, na co nie mieliśmy ochoty.

I właśnie za tę dobrą nowinę uporządkowanego życia – siostrze Małgorzacie Borkowskiej podziękowanie. *Ad multos annos!*

© JERZY SOSNOWSKI

POŻEGNANIE

Marcie Boguckiej

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Mamy

SKŁADAJĄ PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA”

Czas burzy

TOMÁŠ HALÍK

Populistom i nacjonalistom energii dodaje to, co przychodzi z zewnątrz, z historii Kościoła – „katolicyzm bez chrześcijaństwa”.

DRODZY PRZYJACIELE z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”, jest dla mnie zaszczytem, że zostałem przez was włączony do grona laureatów Medalu Świętego Jerzego. W ten sposób w minionych latach okazaliście szacunek i honor wielu osobistościom, przede wszystkim tym, którzy mężnie sprzeciwiali się złu w czasach komunistycznej dyktatury.

HISTORIA ZŁA, NIESTETY, nie zakończyła się przed trzydziestu laty upadkiem komunizmu. Największym złem nie jest to, które do nas przychodzi z zewnątrz, prawdziwym złem jest to, które sami czynimy, z którym współpracujemy, któremu ustępujemy, przed którym milczymy. „Człowieka nieczystym nie czyni to, co do niego wchodzi z zewnątrz, ale to, co z niego wychodzi” – uczył Jezus Chrystus. Chrześcijańska duchowość krzyża uczy nas takiej postawy, aby to, co przychodzi z zewnątrz – cierpienie – przemienić. Dużo trudniejszym jest jednak rozpoznać i przezwyciężyć zło, które jest w nas samych. Czeski chrześcijański poeta i długoletni więzień komunizmu Jan Zahradniček napisał: „Mój przyjacielu, mój bracie, (...) ten, kto pójdzie i pomaluje świat obrzydliwą barwą nienawiści, umoczy tak samo serce nasze, jak i swoje”.

Usłyszeliśmy, że w miejsce terroru komunistycznego przychodzi dyktatura homoseksualizmu, który jest zarazą naszych czasów. Obawiam się, że takie twierdzenie porównuje nieporównywalne. Niebezpieczne zło, które wstępuje do uwolnionej przestrzeni po ideologii komunistycznej, to raczej populizm, nacjonalizm i ksenofobia. To jest prawdziwa zabójcza zaraza nie tylko postkomunistycznego świata, to jest prawdziwe zagrożenie dla wolności i demokracji, to jest poważne zagrożenie dla wielkiego projektu Zjednoczonej Europy, Europy od Atlantyku aż do Uralu.

MY, CHRZEŚCIJANIE, musimy w poważny sposób stawiać sobie pytanie, czy przeciwko temu smokowi – złu walczymy z dostateczną odwagą i mądrością. W naszym katolickim dziedzictwie jest coś takiego, co właśnie temu niebezpiecznemu złu dodaje pożywienia, siły i energii. Coś, co populistom i nacjonalistom pozwala nadużywać chrześcijańskich symboli i retoryki. Coś, co i pasterzy Kościoła oślepia na tyle, że zamiast prorockiej odwagi protestu przeciw demagogom, raczej dają się zwabić do współpracy z nimi, chociaż przez to ryzykują utratę

moralnego autorytetu Kościoła i w sposób oczywisty młodą generację wyrzucają z Kościoła czy od Kościoła odpychają.

Kiedy widziałem na warszawskich ulicach tłumy wykrzykujące antysemickie hasła i zarazem śpiewające: „My chcemy Boga”, musiałem sobie postawić pytanie, jakiego boga ci ludzie chcą. Bez wątpienia nie był to Bóg, którego Jezus z Nazaretu nazywał swym Ojcem.

To, co dodaje energii populistom i nacjonalistom, jest tym, co przychodzi z zewnątrz, z historii Kościoła – nazwałbym to „katolicyzm bez chrześcijaństwa”. Katolicyzm jako system autorytarnego, zdrętwiałego myślenia i postępowania. W którym nie ma żadnej przestrzeni dla wolności Ewangelii. Dla Jezusowej miłości miłosiernej i solidarności z ludźmi żyjącymi na marginesie. Ten katolicyzm jest zupełną odwrotnością prawdziwej katolicyzacji, wspaniałomyślnej, prawdziwie ekumenicznej otwartości i gościnności. Jeśli w naszych szeregach i we wnętrzu naszych serc naprawdę nie uporządkujemy owej pokusy tego zła – wystrzegajmy się, aby nie demonizować tych drugich. Jezus nazywał duchową pychę właścicieli prawdy „kwasem faryzeuszy”, a papież Franciszek nazywa to klerykalizmem.

DZISIEJSZA SYTUACJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO uderzająco przypomina stan tuż przed wielką schizmą zachodnią. W naszych czasach wiarygodnością Kościoła zachwiała fala odkrywająca seksualne nadużycia, a także psychologiczne i duchowe manipulacje ze strony kleru. Ukazało się zło w wielkim wymiarze, o którym nikt nie miał dostatecznego wyobrażenia. Wydaje mi się, że przypadki nadużycia zaczynają odgrywać taką samą rolę, jaką odegrał skandal handlu odpustami w średniowieczu. Także wtedy wielu uświadomiło sobie głębsze korzenie owego skandalu, to znaczy połączenie Kościoła ze światem władzy i bogactwa oraz oddalenie się od Chrystusowej Ewangelii. Ponieważ autorytety kościelne tamtej doby nie rozpoznały w odpowiednim czasie konieczności reformy, doszło do schizmy, która tragicznie zaszkodziła wiarygodności obu gałęzi chrześcijaństwa. Stało się to jedną z przyczyn sekularyzacji Europy.

Dzisiaj Kościół dzieli się na tych, którzy wspólnie z papieżem Franciszkiem widzą klucz do rozwiązania w tym, aby starać się przekroczyć postawę klerykalizmu, i na tych, którzy powagę tego starania bagatelizują. A w przypadkach nadużyć seksualnych chcą widzieć tylko upadki jednostek i boją się zmian strukturalnych. Wydaje im się, że współczesna burza przeminie i powrócimy do stanu, który był przed nią. To jest wielka i niebezpieczna iluzja. Bezcynność i odwracanie uwagi od wewnętrznych przejawów (jak jesteśmy tego świadkami na przykład w historycznej kampanii przeciwko teorii gender) może prowadzić nie tylko do schizmy wewnątrz Kościoła, lecz także do utraty wiarygodności samego chrześcijaństwa.

ALE I OBÓZ TYCH, którzy nawołują do reformy, musi uświadomić sobie pewne niebezpieczeństwo, które spoczywa w pokusie oczekiwania rozwiązania tylko w reformach struktur kościelnych. Te reformy są

KS. PROF. TOMÁŠ HALÍK jest filozofem, teologiem i socjologiem. Po ukończeniu studiów w komunistycznej Czechosłowacji odmówiono mu prawa do pracy naukowej – został terapeutą środowiskowym osób uzależnionych. W 1978 r. tajnie wyświęcony na księdza, do 1989 r. jedna z najważniejszych postaci podziemnego Kościoła w Czechach, później m.in. doradca prezydenta Václava Havla, wykładowca Oksfordu, Cambridge i Uniwersytetu Karola, duszpasterz akademicki. Laureat Nagrody Templetona. Autor kilkudziesięciu książek, tłumaczonych także na język polski, m.in. „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe”, „Przemówić do Zacheusza” i „Nocy spowiednika” oraz „Cierpliwości wobec Boga. Spotkania wiary z niewiarą”.



JACEK TARAN DLA „TP”

Ks. Tomáš Halík w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, 22 listopada 2019 r.

oczywiście konieczne, lecz – jak często podkreśla papież Franciszek – mogą przynieść dobre owoce tylko wtedy, kiedy będą to owoce głębokiej duchowej reformy, ważnej troski o duchowe rozeznanie, kontemplatywne odczytywanie znaków czasu. I kiedy będzie miało miejsce kreatywne, nowe i głębsze zrozumienie Jezusowej i Pawłowej Ewangelii wolności, która staje przed nami jako wezwanie naszej doby.

W czasie niebezpiecznej infekcji, choroby populizmu i nacjonalizmu, które są fałszywą odpowiedzią na strach płynący ze skomplikowanego i nieoczywistego świata dzisiejszego, Kościół ma być – znowu cytując papieża Franciszka – „szpitalem polowym”. Dobry szpital proponuje służby diagnostyki, profilaktyki, terapii i rehabilitacji. Do tego wysiłku mielibyśmy wspólnie

dołączyć wszystkie charyzmaty, które dał nam Pan. Doba terażniejsza jest naprawdę czasem ważnym.

Dziękuję wszystkim współpracownikom „Tygodnika Powszechnego” – tym dzisiejszym, na czele z księdzem Adamem, i tym, którzy nas poprzedzili – za długie dziesięciolecia służby Kościołowi i społeczeństwu, i to nie tylko w Polsce. Z lektury „Tygodnika Powszechnego” czerpię stale cenną inspirację.

Rozumiem to wyróżnienie, które mnie dziś spotkało, jako dalszą zachętę i zobowiązanie do kontynuowania tej oto drogi. ©

Przetł. TOMASZ DOSTATNI OP

■ Powyższy tekst wygłoszony został 23 listopada w Krakowie podczas uroczystości wręczenia Medalu Świętego Jerzego.

Droga Nadchodzącego

PIOTR SIKORA

Nowy rok liturgiczny zaczyna się kolejnym Adwentem. Cykliczność i nowość naznacza napięciem czas przeżywany religijnie.

NIE JESTEŚMY SAMI W TYM SPRZECZNYM w sobie, paradoksalnym doświadczeniu. Podobne napięcie można odnaleźć w tekstach biblijnych. Powstały w odmiennych okolicznościach i w różnych czasach, ale przecież zgromadzone są w jeden kanon, tj. zbiór, którego rozmaite fragmenty obdarzone są tym samym autorytetem drogowskazu mającego w zrozumiały (a więc spójny) sposób wskazać nam kierunek drogi życia.

Nowość i powtórzenia

Oto prorok Izajasz głosi w imieniu JHWH: „Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. Oto Ja dokonuję rzeczy nowej: pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznajecie? Otworzę też drogę na pustyni, ścieżyny na pustkowiu” (Iz 43, 18-19). Izajasz to prorok nie tylko nowości, ale przede wszystkim mesjańskiego oczekiwania. Można powiedzieć, że z chrześcijańskiej perspektywy jego księga jest najbardziej adwentową księgą Pierwszego Testamentu.

Jakkolwiek by nam, chrześcijanom rozpoczynającym Adwent, nie pasowało przesłanie Izajasza, musimy zmierzyć się także z innym, równie natchnionym i aktualnym głosem – tajemniczego mędrca, zwanego Koheletem lub Eklezjastem. A pisze on tak: „To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie: więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem. Jeśli jest coś, o czym by się rzekło: »Patrz, to coś nowego« – to już to było w czasach, które były przed nami” (Koh 1, 9-10).

Napisałem wyżej: „zmierzyć się”, jak gdyby słowa Koheleta nie pasowały do doświadczenia Adwentu, jakby były przeszkodą na drodze celebracji właśnie rozpoczynającego się liturgicznego okresu. Ale – w gruncie rzeczy – czyż zdanie Eklezjastesa nie oddaje lepiej, głębiej, bardziej

adekwatnie naszego adwentowego religijnego doświadczenia?

Jeśli bowiem ktoś czyta te słowa, zna czy to, że nie pierwszy raz przeżywa przełom jesieni i zimy i – poza neofitami ochrzczonymi w tym roku – że to nie pierwszy jego Adwent. Świętujemy, można powiedzieć, oczekiwanie na paruzję Pana – coś, co rozsądzi naszą żmudną egzystencję. Co roku jednak w bardzo podobny sposób rozpoczynamy owo oczekiwanie. I czy nie podobnie mamy z nawróceniem: wciąż te same błędy i grzechy? A z Eucharystią – czy jest inaczej? Najwyższy – twierdzą dokumenty Kościoła – szczyt spotkania z absolutnym Bogiem, który, choć powtarzany co niedzielę, niewiele w codzienności zmienia?

Przewodnik z przeszłości

Próbując zrozumieć tę sytuację i – pomimo wrażenia frustrującej powtarzalności – wejść w misterium Adwentu, warto za przewodnika wziąć postać Jana Chrzciciela. W narracjach ewangelicznych, które są zasadniczym źródłem sensu tego okresu, pełni on rolę kluczową.

Historycznie trudno jest dokładnie powiedzieć, kim Jan był. Przekaz Łukasza, zgodnie z którym to starszy kuzyn Jezusa, wzbudza wśród badaczy wiele wątpliwości co do swej historycznej wartości. Z większą dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, że pochodził z rodu kapłańskiego, że żył wiele lat na pustyni oraz że wystąpił po pewnym czasie z prorockim przesłaniem i zgromadził wokół siebie grono uczniów.

Uczniowie Jana musieli przetrwać śmierć swojego mistrza jako bardziej lub mniej zwarta grupa – wielu biblistów widzi w napisanych wiele lat po śmierci Jezusa ewangelicach ślady sporów, które jeszcze wtedy chrześcijanie toczyli z uczniami Chrzciciela. Dostrze-



gają je choćby w tym, że teksty później napisanych ewangelii (Mateusza, Łukasza i Jana) dużo wyraźniej podkreślają niższość Jana wobec Jezusa, niż czyni to najstarsza z ewangelii kanonicznych – Marka. Albo w uwadze wtórczej w prolog Czwartej Ewangelii – „Nie był on światłem, lecz [posłanym], aby zaświadczyć o świetle” (J 1, 8) – fakt, iż była potrzebna, świadczy o tym, że w czasie, gdy tekst był redagowany, żyli jeszcze ludzie, dla których nie było to oczywiste.



Hieronim Bosch „Święty Jan Chrzciel na pustyni”, ok. 1489 r. Muzeum Lazaro Galdiano w Madrycie

Jeśli możemy dziś rozpoznać się w historii Jana Chrzciela, podobnie jak on rozpoznał się w słowach Izajasza

– to znaczy, że **to, co z nami jest dzisiaj, już kiedyś z kim innym się stało.**

Choć Jan jest ledwo widoczny w polu widzenia historii, ważne jest dla nas jego religijne, symboliczne znaczenie. Ewangelie przedstawiają go bowiem jako kogoś, kto doskonale wpisuje się w Izajaszowe proroctwo o nadchodzącej właśnie Bożej nowości.

Kwestię religijnej tożsamości Chrzciela w najbardziej rozbudowany sposób rozważa Ewangelia Jana (a dana tam odpowiedź nie jest sprzeczna z danymi zapisanymi w ewangelich synoptycznych): „Takie jest świadectwo Jana. Gdy Żydzi wysłali do niego z Jerozolimy kapłanów i lewitów zapytaniem: »Kto ty jesteś?«, on wyznał, a nie zaprzeczył, oświadczając: »Ja nie jestem Mesjaszem«. Zapytali go: »Cóż zatem? Czy jesteś Eliaszem?«. Odrzekł: »Nie jestem«. »Czy ty jesteś prorokiem?«. Odparł: »Nie!«. Powiedzieli mu więc: »Kim jesteś, abyśmy mogli dać odpowiedź tym, którzy nas wysłali? Co mówisz sam o sobie?«. Odpowiedział: »Jam głos wołającego na pustyni: Prostujcie drogę Pańską, jak powiedział prorok Izajasz«” (J 1, 19-23).

Jan przywołał tu niemal dosłownie proroctwo zapisane w księdze syna Amosa: „Głos się rozlega: »Drogę dla Pana przygotujcie na pustyni, wyrównajcie na pustkowiu gościńce naszemu Bogu! Niech się podniosą wszystkie doliny, a wszystkie góry i wzgórza obniżą; równiną niechaj się staną urwiska, a strome zbocza niziną gładką. Wtedy się chwala Pańska objawi, razem ją wszelkie ciała zobaczą, bo usta Pańskie to powiedziały«” (Iz 40, 3-5).

Warto w tym miejscu jednak zauważyć, że Izajasz nie mówił dosłownie o Janie Chrzcielu. Głos, o którym nauczał, miał zabrznieć ludziom, do których przemawiał – kilkanaście lat przed narodzinami Jana. Tak więc fakt, że Jan rozpoznał się w opisie Izajasza zwiastującym nowe nadejście Boga, pokazuje, iż to, co z perspektywy Chrzciela dzieje się teraz, już kiedyś się stało, w czasach – jak mówił Kohelet – które były przed nim.

Podobnie – cóż to dla nas dziś znaczy, że traktujemy Jana Chrzciela jako przewodnika w naszej inicjacji w Adwent Anno Domini 2019? Przemawiał on wszak owe mniej więcej dwa tysiące lat temu do ludzi wówczas żyjących, nie mając pojęcia ani o naszym istnieniu, ani o tym, że kiedyś grupa religijna zwana chrześcijanami będzie celebrować specjalny czas, zwany Adwentem. Jeśli za-

tem możemy dziś rozpoznać się jakoś w historii Jana Chrzciela – na podobnej nieco zasadzie, na jakiej on rozpoznał się w słowach Izajasza – to znaczy, że to, co z nami jest dzisiaj, już kiedyś z kim innym się stało.

Żyjemy w kulturze – tj. w czasoprzestrzeni uporządkowanej przez symboliczne wyrażone wzorce. Życie moje, twoje, tych, co są wokół, i tych, co byli kiedyś, odtwarza te same wzory. Dlatego możemy się porozumieć, dlatego możemy korzystać z doświadczenia pokoleń. Także w pojedynczej egzystencji osoby przewijają się co rusz te same ornamenty. Tylko dlatego możliwa jest nauka, nabywanie życiowego doświadczenia.

Pustynia

Jaki wzór ujawnił się w historii Jana Chrzciela? Pustynia, do jedzenia szarańcza i leśny miód. Proste ubranie z sierści wielbłąda. Czy można coś podobnego odnaleźć w naszym życiu – najczęściej zbyt pełnym rzeczy, bodźców, spraw, wysoko przetworzonej żywności i tekstylnych ubrań?

Ewangelia mówi jednak, że do Jana ludzie przychodzili. Zrzucali ubranie i zanurzali się w wodach pustynnej rzeki, Jordanu, wyznając przy tym swe grzechy. Historia Jana jako wzoru Adwentu mówi nam zatem nie o całkowitym, lecz czasowym opuszczeniu codziennego mętliku i zgiełku. Nie chodzi jednak przy tym o relaks i spokój. Pustynia to raczej niebezpieczne, nieprzyjazne miejsce, w którym przeżycie jednego dnia nie gwarantuje przeżycia dnia następnego.

Wyjście na pustynię to opuszczenie z trudem, pracowicie i przez lata zbudowanych zabezpieczeń w postaci materialnych zapasów, społecznej pozycji, wyrobionych nawyków, „dojść” i ścieżek postępowania. W przypadku większości z nas trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób można by zrobić coś takiego „na chwilę”. Zapewne nie można. Można jednak ćwiczyć nabieranie dystansu – a dobrą okazją do owej *askesis* jest każda porażka, utrata, konieczność zmiany, rozpoczęcia czegoś od nowa. Czasami to nie my idziemy na pustynię – to pustynia wdziera się w przestrzeń naszego ustabilizowanego, cywilizowanego życia.

Spotkanie z Chrzcielim na pustyni brzegu Jordanu jest także konfrontacją ze swoją ciemną stroną: zanurzyć się →

→ w rzece można było jedynie wyznając swoje grzechy. Tekst ewangelii nie mówi, kto słuchał tamtych spowiedzi. I w naszym przypadku pozostaje to kwestią otwartą. Najważniejsze jest, i często sprawia największą trudność – osobiste rozpoznanie zła w sobie, przyznanie się do niego przed samym sobą.

Wolność od egzystencjalnych zabezpieczeń oraz stanięcie twarzą w twarz ze swoją ciemną stroną idą ze sobą w parze. Łączy je prostota. Warunkiem pierwszego jest bowiem umiejętność rozeznania, co ważne, co mniej, a co w ogóle, i umiejętność skupienia się tylko na tych pierwszych rzeczach. A to prowadzi do większej prostoty życia. Poszukiwanie zabezpieczeń bardzo jest bowiem komplikuje. Żyjąc na pustyni można zajmować się tylko tym, co ważne – czyli niezbędne do przeżycia. Pustynia ogałaca, ale i pokazuje: jak niewiele do życia nam trzeba.

Prostota serca

Konfrontacja z ciemną stroną wymaga prostoty serca. Jak poucza Księga Mądrości, tylko w prostym sercu można szukać Boga (por. Mdr 1, 1), a pokrętne myśli oddzielają od Niego (por. Mdr 1, 3). Użyte tu greckie pojęcie *haploteta* oznacza prostotę w sensie scalenia, integracji, braku rozdwojenia. Niszczące ową integralność myśli określone są jako *skoloi* – wykrzywione, pokręcone, nieprowadzące prosto do rzeczywistości, jaka jest, lecz ujmujące ją jakby w krzywym zwierciadle, raczej zasłaniające niż ujawniające prawdę tego, o czym są, nieszczerze i ob-

Wolność od egzystencjalnych zabezpieczeń oraz stanięcie twarzą w twarz ze swoją ciemną stroną

idą ze sobą w parze.

Łączy je prostota.

łudne. Taki obraz tworzymy, gdy boimy się zobaczyć siebie, jakimi jesteśmy – nie przyznając się do sporej części siebie, usiłując zaprezentować się innym (i sobie) lepszymi, niż jesteśmy, tworzymy własną karykaturę – obraz pokrętny i wykrzywiony.

Dlatego właśnie posłany na pustynię Głos woła: „Przygotujcie drogę Panu, dla Niego prostujcie ścieżki” (Mk 1, 2-3). Mistyczna tradycja chrześcijaństwa, gdy słyszy „pustynia”, „prosto”, „ścieżka”, odnosi te obrazy do ducha, serca, umysłu. Głos, który woła na pustyni, znaczy tu więc wezwanie do prostoty umysłu. Chodzi o sprowadzenie go z krętych wędrówek – po zakamarkach wspomnień, manowcach nierealnych planów, zapętlonych drózkach trosk, płataninie korytarzy skomplikowanych rozważań – ku skupionemu, uważnemu podążaniu prostą ścieżką, ku cichemu otwarciu na nadchodzące wciąż nowe, stwarzane przez Boga, które – z chwili na chwilę – pojawia się właśnie.

To głosił Izajasz i – wbrew pozorom – o tym samym, chociaż inaczej, pisał Kohelet: „To, co jest, już było, a to, co ma być kiedyś, już jest” (Koh 3, 15). Słowa tego ostatniego nie tyle są opisem koła wiecznego powrotu, co wskazaniem na podstawową strukturę naszego doświadczenia rzeczywistości: nieustannie płynącej, w której nie da się chwycić tego, co „jest”, bo w tym samym momencie zamienia się w „było”, w której też przyszłość nie czeka, lecz zaskakuje nieuważnych, bo – choć myśleli, że będzie dopiero kiedyś – właśnie nadeszła, już jest.

Zniknięcie „ja” i nadejście Boga

Tak dzieje się jednak nie tylko wokół nas, to samo dzieje się z nami. Znaczy to, że nie możemy zatrzymać żadnego swojego duchowego stanu, że jakiegokolwiek byśmy doskonałości w prostowaniu ścieżek Bogu nie osiągnęli, w tej samej chwili już znika, a więc że zawsze jesteśmy u początku drogi.

Gdzie jednak, w naszych rozważaniach, podział się Jan Chrzciciel? Jakby znikł. I dobrze. W Czwartej Ewangelii sam mówi, że o to chodziło: „Potrzeba, by On wzrastał, a ja się umniejszał” (J 3, 30). On, czyli Logos wcielony (por. J 1, 14), będący Arche – zasadą, najgłębszą naturą całej rzeczywistości, w którym wszystko, poszczególne miejsca i chwile, istnieją związane (por. Kol 1, 17-18) w jeden strumień, wiecznie co dzień rodzące się życie (por. J 1, 3-4).

Chrzciciel jest tu modelem uniwersalnej postawy. Nie wyzwolimy się z niszczącej prostotę, niedwoistość serca pogoni za egzystencjalnymi zabezpieczeniami, dopóki nie przestaniemy kurczowo trzymać się tego, co ma być zabezpieczone – naszego małego „ja”. Najbardziej subtelna pokusa pojawia się wówczas, gdy rozpoznamy, że przemijający świat żadnego trwałego zabezpieczenia dać nam nie może. Wtedy bowiem rozdwojone serce rodzi pokrętą myśl, by zamiast rzeczy tego świata, jako upragnione zabezpieczenie użyć Boga. Otworzyć Mu drogę, niech przyjdzie – ale po to, by stał się środkiem mojego przetrwania. Takie nastawienie, choćby rodziło doświadczenie Jego przyjścia, to jednak biegnie ku mirażowi, pustynnej fatamorganie.

Prawdziwa droga Nadchodzącego otwiera się wtedy, gdy we mnie „ja” znika, rośnie zaś On. © PIOTR SIKORA

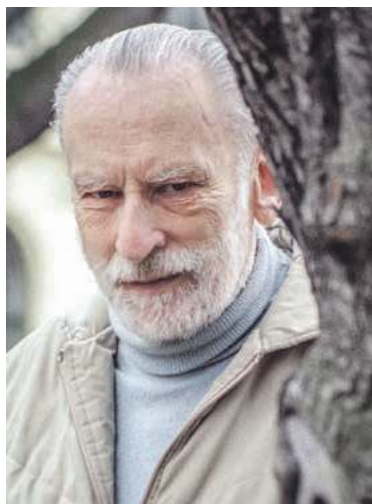
W siódmą rocznicę śmierci

prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji i w intencji spraw Jemu bliskich w kościele św. Marka w Krakowie, w piątek, 29 listopada o godzinie 16:00 podczas Mszy św., którą odprawi ks. prof. Robert Woźniak.

Później zapraszamy na ul. Pijarską 5, gdzie pod tablicą pamiątkową zapalimy świece.

Róża Thun, Henryk Woźniakowski



SZYMON

Hołownia: Sto razy trudniejsze



WIZYTY W KILKU SZKOŁACH ŚREDNICH, skumulowane w ciągu parunastu dni, pozwoliły mi zajrzeć za horyzont czasu i przekonać się, jak może wyglądać świat za piętnaście czy dwadzieścia lat. Pamiętam dobrze, że jakieś dziesięć lat temu,

gdy stawiałem pierwsze kroki na trwającej do dziś nieprzerwanej trasie po polskich bibliotekach, domach kultury, parafiach, uczelniach i szkołach, w tych ostatnich – przynajmniej wśród zabierających głos – dominowała agenda ostro prawicowa: klimaty *à la* Janusz Korwin-Mikke skrzyżowane z dzisiejszym tygodnikiem „Sieci” i stowarzyszeniem miłośników katolickiej tradycji. Nie wiem, może to kwestia doboru szkół, może zagrał tu jakiś inny czynnik, ale dziś rozmawiając z polskimi licealistami miewam niekiedy wrażenie, że Adrian Zandberg jest przy nich statecznym konserwatystą z – no dobrze, niech będzie – lewego skrzydła PiS-u.

W starszej generacji ten trend nie jest chyba jeszcze tak widoczny (mimo wprowadzenia się po raz pierwszy od lat lewicy do Sejmu). W młodszej, jeszcze przez parę lat niewidocznej w politycznych sondażach czy na rynku działań obywatelskich, ostre wychylenie w lewo widać naprawdę coraz częściej (potwierdzają to rozmowy z wieloma rodzicami). I nie da się go w prosty sposób zbyć prychnięciem, że młodzież z natury wieku preferuje wyraziste kolory, opcje, propozycje. We wszystkich szkołach, o których wspominałem, większość uczniów (w jednej – 80 proc.) nie chodzi na religię. Młodzieńczy bunt? Może. Ale dlaczego teraz z tym właśnie, a nie innym znakiem?

Ci młodzi ludzie za pięć, dziesięć lat wyjdą na wyborczy i medialny rynek. I to właśnie w szkołach można dziś zobaczyć, jak złudne jest fikszowanie się na obrazie Polski, którym karmimy się my, dorośli: rządzi prawica, jesteśmy bardziej niż mniej konserwatywni, nic się nie zmienia. Nie trzeba specjalnej przenikliwości, by przepowiadać, że mocne wychylenie w jedną stronę prędzej czy później musi skończyć się „odwahnięciem” go w drugą. Myślę jednak, że jak na razie niekoniecznie musimy zdawać sobie sprawę z tego, z jaką intensywnością ten proces może się dokonać.

Dokona się czy się nie dokona – geniusz chrześcijaństwa widoczny jest również w tym, że niezależnie w którą stronę płynie w danym momencie społeczna rzeka, ono ma jeden przepis. Sprawdzający się w każdych okolicznościach, jako pokarm bieżący, jako profilaktyka i jako lekarstwo. Należy płynąć w głąb. Niezależnie jakim ideologicznym językiem mówi dziś ten czy tamten w naszym otoczeniu i jak bardzo nie rozumie języka innej ideologicznej frakcji, z całą pewnością każdy zrozumie to: desperanto człowieczeństwa. Jest nim bezinteresowne zrobienie komuś innemu miejsca, danie mu czasu, nakarmienie, opatrzenie ran, przejście z poziomu

„nazw użytkownika”, do którego dobrowolnie redukujemy przecież swoją tożsamość co najmniej parę razy dziennie, znów na poziom ludzi, którzy są przecież – co za truizm – czymś o wiele więcej niż swoimi politycznymi, etycznymi czy religijnymi poglądami.

Oczami duszy już widzę, jak w naszych szeregach zbroją się kolejni dzielni rycerze, gotowi ponieść męczeństwo na pluszowym krzyżu werbalnych zmagania z lewactwem (innych najprawdopodobniej nie będzie, muszą więc jedynie „paszczowo” potwierdzić swoje męczeńskie predylekcje). Rzecz w tym jednak, że – jeśli już mamy trzymać się tej nie za mądrej w tym kontekście militarnej retoryki – walki z lewactwem prawactwo nie wygra, organizując w swoim gronie debaty, na których wszyscy dyskutanci i cała publiczność spijają sobie z dziubków, powtarzając refreny o nadciągającym złu i pławiąc się w bohaterskim samopoczuciu. Największym zwycięstwem prawaka nie jest napiętnowanie i pokrzyżowanie na lewaka, lecz przekonanie go, że dużo fajniej być prawakiem. Czy to nie jest proste jak drut, że jeśli nakłonimy przeciwnika, by stał się jednym z nas, za jednym zamachem zlikwidujemy i zagrożenie (wydumane czy nie), i samych siebie ustrzeżemy od moralnych ryzyk nieuchronnie związanych z prowadzeniem również tych „sprawiedliwych” wojen?

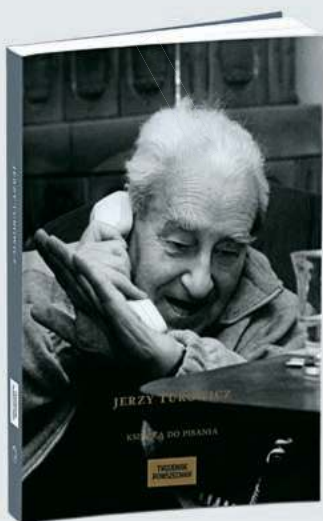
Ja wiem, że to marzenie ściętej głowy, ale marzyłoby mi się, byśmy w odpowiedzi na nadciągającą falę zmian nie szykowali już wyłącznie skrzących się patosem wojennych porównań w pasterskich listach episkopatu i kruchcianej publicystyce, ale zorganizowali wyprzedzającą, zmasowaną kampanię działań dowodzących, że specjalizacją chrześcijaństwa nie jest wcale polityka historyczna, edukacja seksualna, media czy też geotermia, a nadzieja. Troska, a nie podbój. Robota, a nie wieczne gadanie o robieniu. Nie pojęcia wygrywają w społecznych konfrontacjach, tylko ludzie, którzy je noszą. Nasze pojęcia, nasza wizja świata wygra tylko wtedy, gdy ludzie je podnoszący okazą się w oczach innych ludzi ludźmi, nie botami zaprogramowanymi w Watykanie, na Nowogrodzkiej czy nawet na jakimś uniwersytecie.

Powtórzę tu raz jeszcze cytaty z Angeli Merkel, która pytana na uniwersytecie w Bernie o nadciągające podobno do Europy niebezpieczeństwo islamizacji, odpowiedziała (kondensuję jej wypowiedź, nie wypaczając jej sensu): „Boicie się islamizacji? To zacznijcie znów chodzić do kościoła”. Boicie się laicyzacji? Zadbajcie o jakość swojego chrześcijaństwa. Boicie się lewicowej fali? Bądźcie taką prawicą, której lewica owego bycia prawicą będzie szczerze zazdrościła. Niepokoi was kwestionowanie wartości chrześcijańskich? Bądźcie takimi ich apologetami, że na fali wzniecone przez waszych przeciwników uda wam się wykonać surfing tak piękny, iż wzbudzi podziw przyglądającej się wszystkiemu z boku – jak zwykle – większości. Nawet jeśli natrafisz w życiu na zło, pamiętaj, że domyslną opcją dla chrześcijanina jest zwyciężanie go nie sprawniejszym złem, ale dobrem. Na tym jeszcze nikt się nie przejechał, choć to oczywiście sto razy trudniejsze. No ale jak zwykły podobno mawiać klasyk krakowskiego kaznodziejstwa, chrześcijaństwo to przecież jest whiskey z lodem, a nie żadne bobofruty – poważny trunk dla poważnych ludzi, którzy zorientowali się już, że życie jest zwyczajnie za krótkie, by wybierać w nim te łatwe drogi.

©

Komunikat dla Prenumeratorów

NOWY CENNIK PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” aktualny od 1 grudnia 2019



W związku z podwyżką cen wprowadzoną przez Poczte Polską **od dnia 1 grudnia 2019 wprowadzamy nowy cennik prenumeraty** na 2020 rok. Po tej dacie wpłaty ze starymi kwotami nie będą mogły zostać przyjęte i będą odsyłane do Państwa. Nowe ceny podane są w cenniku poniżej. **Do 30 listopada 2019 włącznie można skorzystać z dotychczasowych cen** – są one wyszczególnione w sklepie internetowym „Tygodnika” na stronie powszech.net/prenumeruj.

Przypominamy, że każda osoba czy instytucja, która zamówi prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” na 2020 rok, otrzyma jubileuszowy prezent: „Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma (szczegóły na stronie obok).

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

NOWY CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	



PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

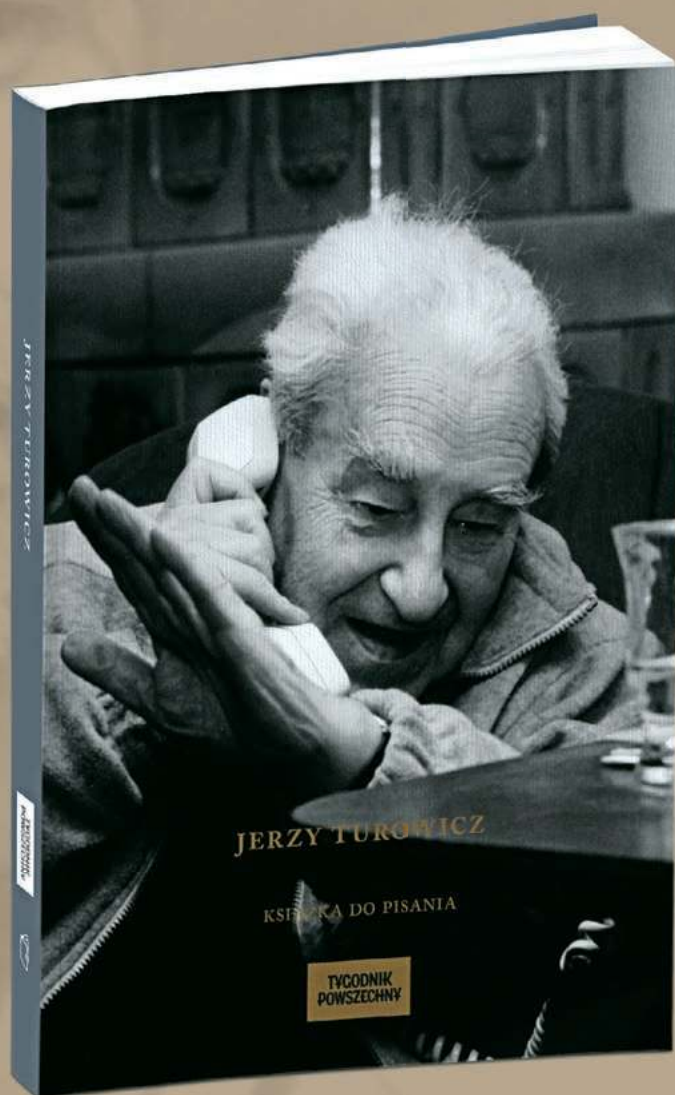
SALES MANAGO
marketing automation



W marcu 2020 r. świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat *Tygodnika Powszechnego*” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.



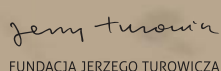
1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną.
2. Możesz to zrobić przez stronę powszech.net/prenumeruj lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są na sąsiedniej stronie.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorów i Prenumeratorek.

WYDAWCA:



PARTNERZY WYDANIA:



OFIARY ERDOĞANA

Prezydent Turcji zapowiadał utworzenie w Syrii „strefy bezpieczeństwa”. Osiągnął coś przeciwnego: pozostawieni przez Amerykanów Kurdowie tysiącami porzucili swoje domy.

INGA ROGGE Z BARDARASZ (PÓŁNOCNY IRAK)

BOSONOGI MAŁY AHMED WDRAPUJE SIĘ Buparcie na niski murek, zbudowany z szarych kamiennych bloków o ostrych kantach. Skóra na jego twarzy i nóżkach jest szorstka, pokryta białymi plamami, pozostałymi po odpadniętych strupkach. Jego siostra biegnie w pośpiechu, aby ściągnąć malca z muru. Ahmed broni się i krzyczy, uspokaja go dopiero cukierek. Wkrótce potem leży już na kolanach matki, w namiocie w obozie dla uchodźców w miasteczku Bardarasz w północnym Iraku.

Siham Hawaz ma na sobie ciemnoniebieską suknię z wzorkami w różę oraz chustę w kolorze ochry. Siedząc na klepisku białego namiotu, którego jedyny inwentarz stanowi pięć materaców z pianki, może 30-letnia kobieta łagodnie kołysze małego Ahmeda. Hawaz, a także jej mąż oraz ich pięcioro dzieci są syryjskimi Kurdami. Jak kilkadziesiąt tysięcy rodaków, uciekli przed turecką ofensywą w północnej Syrii – rozpoczętą po tym, jak Donald Trump dał zielone światło prezydentowi Recepowi Tayyipowi Erdoğanowi.

Sąsiedzi pod gruzami

Jest czwarta po południu 9 października, pierwszego dnia ofensywy, gdy Hawaz

widzi samoloty krążące nad jej rodzinnym miastem Ras al-Ain. Erdoğan od wielu dni groził, że zlikwiduje „terrorystyczny korytarz” – jak nazywa te tereny Syrii, na których powstała zdominowana przez Kurdów autonomia. Hawaz opowiada, że się bała, ale mąż co chwila ją uspokajał: że nic się nie stanie, że przecież są tutaj Amerykanie. Jednak mąż, z zawodu mechanik specjalizujący się w motocyklach, pomylił się – Donald Trump zarządził już odwrót. Niecałe dwa tygodnie później prezydent USA wytłumaczył się lapidarnie, że nigdy nie obiecywał, iż będzie chronić Kurdów „przez resztę ich życia”.

Krótko po szesnastej na Ras al-Ain lecą pierwsze bomby. – Spadły po lewej i prawej od naszego domu – Hawaz rozkłada ręce, wskazując kierunki. Zdążyła spakować do torby trochę rzeczy dla dzieci, dokumenty i wartościowe przedmioty. Zaraz potem, opowiada, trafiony został dom sąsiadów. Turecki rząd zaprzecza, jakoby atakował w Syrii cywilne cele; Hawaz to kwestionuje. – Ta rodzina, która mieszkała po sąsiedzku, akurat chciała opuścić dom, gdy spadła bomba. Rodzice i jeden z synów zostali pogrzebani pod ruinami – twierdzi kobieta. Dwie córki i syn mieli przeżyć nalot.



Siedmioosobowa rodzina Hawaz ruszyła na piechotę do miasta Hasaka, oddalonego o 80 km, a stamtąd dalej, w kierunku granicy z irackim Kurdystanem – kurdyjską autonomią w północnym Iraku, stanowiącą część sfederowanego dziś irackiego państwa. Z obawy przed atakami Turków i ich sojuszników – syryjskich rebeliantów, którzy szli w pierwszej linii – podczas trwającego tydzień marszu rodzina nocowała pod gołym niebem. Teraz mieszkają tu, w namiocie obozu dla uchodźców, położonym w pobliżu iracko-kurdyjskiego miasteczka Bardarasz.

Przez pustynną granicę

Około 150 tys. kobiet, mężczyzn i dzieci uciekło przed turecką ofensywą, do Hasaki albo do innych miast na terenie Sy-



Kurdyjscy uciekinierzy z Syrii w obozie Bardarasz w północnym Iraku, październik 2019 r.

rii. Jak potwierdzają ci spośród uciekinierów, którzy dotarli do Bardarasz, kurdyjskie siły bezpieczeństwa w Syrii zamknęły szybko granicę z Irakiem. Nie podano uzasadnienia dla tego drastycznego kroku, który w opinii organizacji humanitarnych stanowi naruszenie konwencji genewskiej o uchodźcach z 1951 r.

Pomimo to granica najwyraźniej pozostaje nieszczelna, bo grupy uciekinierów codziennie przedostają się do północnego Iraku. Muszą jednak płacić za to szmuglerom. Dla przemytników znających przygraniczne ścieżki to intratny interes – za każdego dorosłego mają inkasować między 200 i 700 dolarów.

Izzeddin Husajn Amin opowiada, że dołączył do kolumny uchodźców – wraz z połową swojej licznej rodziny, w tym z niewidomą kuzynką i niepełnospraw-

nym dzieckiem – po tym, jak bojownicy pozostający na służbie Ankarę zbliżyli się do jego wioski, położonej między Ras al-Ain i Tell Tamer. – Oni twierdzą, że walczą w imię islamu – mówi Amin o bojownikach, którzy sami nazywają się chętnie Syryjską Armią Narodową. – Tymczasem oni nie są niczym innym jak tylko Daesz, tylko pod innym płaszczkiem. Jeśli złapią nas, Kurdów, zabiją – twierdzi mężczyzna, używając popularnego tu pojęcia Daesz dla nazwania Państwa Islamskiego. Aby pokreślić swoje słowa, przeciąga dłonią po gardle.

Młodzi mężczyźni boją się reżimu Asada

Zdjęcia i nagrania wideo, które w minionych tygodniach pojawiły się w internecie, pokazują, jak oddziały syryjskich re-

beliantów sprzymierzone z Turkami zabijają jeńców, konfiskują domy i wymyślają Kurdów jako „bezbożników” i „świnom”. Ankara zapowiedziała zbadanie tych zarzutów.

Jednak Amin nie ufa słowom. Twierdzi, że wystarczy popatrzeć na to, co dzieje się w Afrinie, aby wiedzieć, co czeka Kurdów. Ponad półtora roku po wkroczeniu armii tureckiej do regionu Afrin w północno-zachodniej Syrii Turkom dotąd nie udało się zapanować nad powszechnym bezprawiem, jakie ogarnęło tę prowincję, zamieszkaną w większości przez Kurdów.

Jednak niektórzy uciekinierzy obarczają odpowiedzialnością za swój los nie tylko Turcję, lecz także Ludowe Oddziały Samoobrony (YPG), siłę zbrojną kurdyjskiej autonomii. Mohamed Kemal Sulejman twierdzi, że jego rodzinny dom →

→ w granicznym mieście Al-Kamiszi znalazł się w krzyżowym ogniu, gdy bojownicy YPG, którzy zajęli stanowiska w jego dzielnicy, prowadzili stąd ostrzał Nusaybin, miasta po tureckiej stronie granicy. – Na dachu domu sąsiadów usadowił się strzelec wyborowy. Turcja jest wprawdzie o wiele gorsza, ale ci z YPG nie są niewinni – twierdzi mężczyzna.

Tak jak Hawaz i Amin, również Sulejman obawia się żołnierzy tureckich i ich syryjskich pomocników. Do ucieczki popchnął go jednak przede wszystkim strach przed wojskami syryjskiego reżimu. Pozostawione samym sobie przez Amerykanów i zagrożone przez Turków kierownictwo YPG zdecydowało się zawrzeć pakt z prezydentem-despotą Baszarem al-Asadem i wpuścić na kontrolowane przez siebie tereny armię rządową (i jej rosyjskich patronów).

Podobnie jak wielu innych młodych mężczyzn, których spotkaliśmy w Bardasz, również 24-letni Sulejman wołał zawczasu uciec do irackiego Kurdystanu – bał się, że po wkroczeniu wojsk Asada na tereny kurdyjskie może zostać powołany do niekończącej się służby w armii rządowej.

„Nasza okolica była bezpieczna”

Prezydent Erdoğan nieustannie podkreślał, że turecka operacja w północnej Syrii nie jest wymierzona przeciw Kurdom, lecz jedynie przeciwko „terrorystom” z YPG. Niedawno otrzymał wsparcie z nieoczekiwanej strony – od jednego z Kurdów. Nechirvan Barzani, jeden z przywódców irackiego Kurdystanu, oświadczył, że Turcja „nie ma problemu z Kurdami w Syrii”.

Izzeddin Husajn Amin, zdeklarowany zwolennik klanu Barzanich [jednej z kurdyjskich „dynastii politycznych”, tradycyjnie dominującej w północnym Iraku – red.], z namysłem dobiera słowa. – Nie wiem, czego chce Erdoğan – mówi mi Amin, syryjski Kurd. – Ale twierdził, że chce osiedlać tam uchodźców, którzy teraz żyją w Turcji. Ale to przecież nasz kraj!

Następnie Amin wylicza to, co posiadał: 60 hektarów żyznej ziemi uprawnej, własne źródło wody, salon samochodowy, supermarket, sześć dziupli, trzy samochody osobowe. To wszystko

stracił, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości: jego miasteczko zostało zajęte przez syryjskich bojowników, sojuszników Turcji. – Ludzie z YPG walczyli przeciwko Daesz i chronili nas – mówi. – Aż do tureckiej inwazji nasza okolica była bardzo bezpieczna. Teraz jest dokładnie na odwrót.

Amin podkreśla, że chce tylko żyć bezpiecznie, a to, czy bezpieczeństwo zapewnią Amerykanie, Rosjanie czy Asad, jest mu obojętne. Ale jak długo w kraju są wojska tureckie i ich syryjscy pomocnicy, tak długo on w żadnym wypadku nie wróci do swojego miasteczka. – To Erdoğan jest winien naszemu nieszczęściu – wyrywa się jednak w końcu brodatemu Kurdowi. – To on przyprowadził tę bandę do naszego kraju.

Podobnie widzi to Hawaz. – Popatrz na nich tylko – mówi, mając na myśli islamistycznych głównie bojowników, których armia turecka przywiozła na swoich czołgach z północno-zachodniej Syrii. – Rabują i plądrują, gdzie tylko mogą.

Kojący widok

Szczególnie gorzka jest dla Hawaz okupacja Ras al-Ain przez Turków i ich syryjskich pomocników. Podobnie jak Amin, w sojusznikach Ankary widzi jedynie wariant Państwa Islamskiego. W walce z dżihadystami kobieta straciła wcześniej ojca i zaledwie 18-letniego brata. – A teraz to – mówi matka pięciorga dzieci ze skamieniałą twarzą. – Przecież oni nas wszystkich zabijają, jeśli wrócimy. Turcja chce, żebyśmy my, Kurdowie, zniknęli z powierzchni ziemi.

Kobieta mocniej przytula małego Ahmeda, który w międzyczasie zasnął głęboko na jej kolanach. Kojący widok w tej części świata, w której – po tych wszystkich licznych zabitych i wygnanych – wojna znów zwyciężyła nad pokojem.

© INGA ROGG
Przetłóżył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „NZZ”, specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu. Przez wiele lat pracowała w Bagdadzie i Stambule, obecnie mieszka w Jerozolimie, skąd pisze o regionie.

Evo, panu już dziękujemy

DOMINIKA MATEJKO

Pierwszy indiański prezydent w kraju, którego prawie dwie trzecie ludności ma takie jak on korzenie, był ikoną lewicy w Ameryce Południowej. Nie sprostał pokładanym w nim nadziejom.

W POŚPIECHU, BIORĄC TYLKO NAJPOTRZEBNIEJSZE rzeczy, niedawny prezydent, rodowity Indianin, wsiada na pokład samolotu lecącego do Meksyku. Dopiero tam odetchnie z ulgą – i poprosi o azyl. W ostatnich dniach w jego kraju wiele osób życzyło mu jak najgorzej. Dom jego siostry już stanął w płomieniach. Nie ma więc nic do stracenia. Tym bardziej że głównodowodzący armii zasugerował mu, tonem nieznoszącym sprzeciwu, zmianę zawodu. W ten sposób perspektywa rozpoczęcia czwartej z kolei kadencji prezydenckiej odeszła na zawsze. Ustupując, pozostawia po sobie chaos, – w tym ponad 30 zabitych, setki rannych i wielki zamęt polityczny.

Choć ta historia przypomina scenariusz filmu akcji, wydarzyła się naprawdę. Po próbie sfalszowanych wyborów i masowych protestach z udziałem znacznej części społeczeństwa, Evo Morales, socjalistyczny prezydent Boliwii, 10 listopada podał się do dymisji, a dwa dni później odleciał do Meksyku. Jego miejsce tymczasowo zajmuje przedstawicielka opozycji Jeanine Áñez, która ma zagwarantować przeprowadzenie nowych wyborów – i zapewnia, że zamachu stanu nie było. Choć opinie na ten temat są skrajnie odmienne.

Tego było za wiele

Do zwrotnego punktu w historii Boliwii doszło 20 października, w dniu wyborów prezydenckich.



Demonstracja przeciwników Moralesa, La Paz, 28 października 2019 r.

Evo Morales, panujący nieustannie od 13 lat przewodniczący partii Movimiento al Socialismo (MAS), był pewny łatwej wygranej. Tymczasem o godzinie 20.20, po podliczeniu 83 proc. głosów, wszystko wskazywało, że konieczna będzie druga tura wyborów. Różnica między Moralesem (45,28 proc. głosów poparcia) a jego głównym przeciwnikiem Carlosem Mesą (z wynikiem 38,16 proc.) nie przekroczyła niezbędnych dziesięciu punktów procentowych, aby już na tym etapie ogłosić ostateczną wygraną Moralesa.

Tego nie spodziewał się nikt. Boliwijczycy, przyzwyczajeni do leniwego constans w wynikach wyborów prezydenckich (w kraju od 37 lat nie było drugiej tury wyborów), przecierali oczy ze zdumienia. Jak jednak miało się okazać chwilę później, nieoczekiwane wyniki były tylko cichą zapowiedzią prawdziwej rewolucji.

O północy zawieszono liczenie głosów, a kraj wstrzymał oddech. Każdy wiedział,



Evo Morales, były prezydent Boliwii, Orinoca, czerwiec 2017 r.

że Morales łatwo władzy nie odda. Po 23 godzinach wznowiono liczenie głosów i już było wiadomo, że oficjalne wyniki będą takie, jakie miały być. Evo znów został jedynie słusznym prezydentem kraju. Tym razem różnica między nim a rywalem wyraźnie wskazywała na wymagane przez konstytucję 10 procent.

Początkowy chaos szybko ustąpił miejsca złości. Carlos Mesa wezwał Organizację Państw Amerykańskich (OPA) do natychmiastowej interwencji, prosząc o wszczęcie postępowania mającego na celu wyjaśnienie tej niespodziewanej przerwy w liczeniu głosów. OPA zażądała od Tribunal Supremo Electoral [odpowiednik Państwowej Komisji Wyborczej – red.] bezzwłocznych wyjaśnień. W odpowiedzi Antonio Costas, wiceprzewodniczący TSE, podał się do dymisji.

Chaos w kraju narastał z każdym dniem – zwłaszcza po tym, jak OPA wydała raport, w którym poinformowała →

→ o dużych nadużyciach podczas głosowania. Analiza przeprowadzona przez OPA wykazała, że w komputerowy system liczenia głosów ingerowały osoby trzecie, a różnica procentowa wyniku Moralesa sprzed oraz po zatrzymaniu liczenia głosów drastycznie nagina prawa matematyki. Tego było już za wiele.

Bratobójcza walka

– Czułem strach. Wszyscy się baliśmy – opowiada w rozmowie z „Tygodnikiem” José Manuel Ormachea, boliwijski politolog i aktywista społeczny. – Jeszcze kilka lat temu na protestach zbierało się może trzydzieści osób. Teraz są nas tysiące.

Oglądam jego zdjęcia, które nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości, że Boliwia jest dla niego najważniejsza. Na każdej fotografii widać flagę: w tle, w ręce lub przewieszoną przez ramiona. José oddycha Boliwią. Na nagraniu wideo z protestów widać, jak stoi na wiadukcie nad tłumem manifestujących i intonuje hymn. Ludzie zaczynają śpiewać.

Momentami demonstracje wydawały się przechodzić bez większych perturbacji – tak jak na tym wideo. Ale miesiąc protestów wystarczył, aby manifestacje stały się częścią przestrzeni miejskiej stołecznego La Paz i na ulicach zaczął dominować chaos. Doszło do wielu wyjątkowo brutalnych starć między zwolennikami dwóch przeciwnych obozów politycznych.

Ucieczka Moralesa nie zakończyła starć ulicznych. Opozycjoniści chcą nowych wyborów. Zwolennicy Evo – głównie społeczność indiańska, która była beneficjentem socjalizującego rządu MAS – chce jego powrotu do kraju. Domagają się, aby Morales dokończył swoją kadencję, której termin powinien minąć dopiero w styczniu przyszłego roku.

Obrońcy Moralesa wychodzą na ulicę z butelkami z benzyną i inną własnoręcznie zrobioną bronią. Napadają na dzielnice będące bastionami opozycji. Policja odpowiada gazem łzawiącym i aresztuje – głównie oponentów rządu tymczasowego. Od początku protestów zginęło już prawie 30 osób, jest wielu rannych. Brutalność i zmęczenie walką, po każdej stronie barykady, tylko zaostrzają agresję. Policja nie ustępuje, a zwolennicy Moralesa twierdzą, że jeżeli tak ma wyglądać nowa demokracja, to wolą żyć bez niej.



SEBASTIAN ORMACHEA

Carlos Mesa na wiecu w La Paz, 28 października 2019 r.

Morales nie daje za wygraną.

Z meksykańskiego azylu obwieszcza, że niebawem wróci. To tylko powiększa

**motywację opozycji,
aby nowe wybory
zorganizować szybko.**

Prezydent-bumerang

Gdyby Evo Morales siedział teraz spokojnie w swoim domu, rozmyślając nad tym, jak rozwiązać niefortunną próbę sfalszowania wyborów, protesty pewnie nie nabrałyby aż takiego rozmachu. Tymczasem Morales i jego zwolennicy twierdzą, że opuścił on kraj pod presją wojska – czyli że doszło do zamachu stanu. Opozycja z kolei twierdzi, że wyjazd był najlepszą decyzją, jaką Morales mógł podjąć, i że żadnego zamachu nie było.

Nie tylko Boliwia, ale wszyscy zainteresowani sprawami boliwijskimi podzielili się na tych, którzy są pewni, że to był zamach – lub przeciwnie. Z jednej strony nagranie, na którym grupa wojskowych rozkazuje Moralesowi, by zrezygnował z władzy, do złudzenia przypomina stare i dobrze znane latynoskie puce. Z drugiej strony, zabrakło bombardowania pałacu prezydenckiego (przypadek chi-

lijski), a sam prezydent nie został nawet poddany torturom (jak dyktator Noriega, którego amerykańskie wojsko torturowało piosenką „All I Want Is You” grupy U2 przez cztery dni, aż do skutku, czyli kapitulacji).

Według opozycji obecna – dobiegająca końca – kadencja prezydencka Moralesa w ogóle nie powinna mieć miejsca. Podczas swojej drugiej kadencji zaczął szukać sposobu na przedłużenie władzy. Konstytucja dopuszczała tylko jedną reelekcję. Morales ominął ten zapis, twierdząc, że ówczesnie obowiązująca konstytucja weszła w życie w 2009 r., czyli trzy lata po tym, jak został prezydentem. Wywnioskował stąd, że jego pierwsza kadencja się nie liczyła.

Ta logika jest abstrakcyjna, co nie zmienia faktu, że z „wyzerowaną” pierwszą kadencją wystartował do wyborów po raz trzeci, a zarazem drugi, i utrzymał władzę.

W tym roku do czwartej już kampanii wyborczej został dopuszczony przez Trybunał Konstytucyjny, a ściślej rzecz biorąc: przez kolegów, którzy ten Trybunał tworzą. Powolny mu Trybunał unieważnił referendum narodowe z 2016 r., w którym 51,3 proc. obywateli nie wyraziło zgody na zmianę limitu liczby kadencji. Co więcej, sędziowie stwierdzili, że niedopuszczenie Moralesa do kampanii byłoby zamachem na prawa człowieka, a w szczególności na prawa Moralesa.

Również teraz Morales nie daje za wygraną. Z meksykańskiego azylu obwieszcza, że niebawem wróci. To tylko powięk-

szą motywację opozycji, aby nowe wybory zorganizować szybko. Wyjątkowo szybko i wyjątkowo bez byłego prezydenta.

Ego Evo

Na pytanie dziennikarzy, co by zmienił, gdyby miał taką możliwość, odpowiada, że nic. Chciał jak najlepiej dla ludzi pracy, a przede wszystkim dla swoich, czyli Indian, którzy w Boliwii stanowią 62 proc. społeczeństwa. Swego czasu nazywano go nawet „królem koki”, bo wspomagał producentów tej rośliny, znanej – także – z dobroczynnych właściwości leczniczych. Na fakt, że rolnicy z liści koki robili białą kokę i wzbogacali się na nielegalnym handlu, przymykał oczy.

To nie wszystko. Za jego kadencji PKB Boliwii wzrósł trzykrotnie, ubóstwo zmalało z 38,8 proc. w 2006 do 15,2 proc. w roku 2017, a średnia długość życia wzrosła o ponad pięć lat.

Swego czasu Morales był lubiany nie tylko za talent do interesów. Ten niski, krępy człowiek o szczególnej urodzie zrewolucjonizował nawet świat mody. W końcu to on wprowadził indiańskie kobiety Aymara do przestrzeni publicznej, a noszone przez nie spódnice, *polleras*, zagościły na paryskich wybiegach. Pytanie, ile było w tym szczęścia, a ile autentycznej bystrości umysłu tego przywódcy. Faktem jest, że sława Moralesa fortunnie zbiegła się w czasie z bardzo dobrą koniunkturą cen gazu, a Boliwia posiada drugą co do wielkości największą jego rezerwę na kontynencie.

Jednak równie szybko jak ceny gazu na światowym rynku spadło poparcie dla Moralesa – zwłaszcza po tym, kiedy w 2017 r. zdecydował wybudować autostradę w samym sercu parku narodowego Tipnis. Protestujących przegonił gazem łzawiącym.

W ciągu ostatnich lat prawa obywateli kurczyły się wprost proporcjonalnie do zasięgu władzy Moralesa. W pewnym momencie jego kwieciste przemowy o świetlanej przeszłości rozbiegły się z rzeczywistością, a wypowiedzi o kurzych hormonach powodujących u mężczyzn homoseksualizm przestały śmieszyć nawet najbardziej sarkastycznych opozycjonistów.

Po 13 latach absolutnych rządów Moralesa nikomu już nie jest do śmiechu.

© DOMINIKA MATEJKO



Pomnik ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki w Syhocie Marmaroskim, jesień 2019 r.

Odpowiadaj w języku, w jakim cię pytają

TADEUSZ IWAŃSKI Z SYHOTU MARMAROSKIEGO, JASSÓW I CZERNIOWCÓW

Bukowina i Maramuresz – regiony na pograniczu rumuńsko-ukraińskim – stały się celem rosyjskich działań wywrotowych. Obiektem są tamtejsze mniejszości i wierni Cerkwi prawosławnej.

PRESTIŻOWY DEPTAK UKRAIŃSKICH Czerniowców, ulica Olhy Kobyłańskiej, tętni życiem biznesowym i artystycznym. Niemalże na przemian swoje podwoje otwierają restauracje etniczne i centra kultury: rumuńskiej, polskiej, niemieckiej. Tutaj, w historycznej stolicy północnej Bukowiny, multi-kulti z czasów austro-węgierskiej monarchii – obleczone w mit i wymienne w walutę – ma się najwyraźniej lepiej niż w Wiedniu czy Budapeszcie.

Jednak komercyjna fasada skrywa animozje, realne i współczesne: mniejszość rumuńska na Ukrainie dąży do utrzymania swoich praw kulturowych, zaś po drugiej stronie granicy rumuńscy Ukraińcy odcinają się od działań Kijowa, aby nie paść ofiarą retorsji.

Gente ruthenus, nazione Romanus

Remęti to jedna z kilku wiosek położonych na północy okręgu Maramuresz, przy granicy z Ukrainą. W okręgu tym mieszka lwia część z 50-tysięcznej ukraińskiej mniejszości w Rumunii.

Krajobraz zwyczajny: domy, cmentarz i cerkiew, szkoła i sklep, pod który od czasu do czasu zajeżdżają często tu używane wozy drabiniaste. Pod sklepem, przy stolikach, chłopcy rozmawiają o piłce nożnej – zadziwiająco mieszaną ukraińskiego i rumuńskiego, zrozumiałą chyba tylko dla tutejszych.

Wasyl Pasynczuk (Vasile Pensenciu) jest pierwszym zastępcą przewodniczącego Związku Ukraińców Rumunii. Gdy późnym popołudniem rozmawiamy →

→ w sklepowym barze, ucina pytanie o problemy: – Nie mamy żadnych kłopotów. Państwo rumuńskie zapewnia nam środki na działalność w wystarczającym zakresie. Pomagamy szkołom ukraińskim, wspólnie organizujemy festiwale. Nie dążymy do rozszerzenia naszych praw, bo nasze prawa, czy to językowe, czy to w oświacie, są wystarczająco zabezpieczone.

Pasynczuk odcina się od przyjętych na Ukrainie nowych ustaw oświatowej i językowej, które ograniczyły prawa tamtejszych mniejszości. – Dzięki temu nasz ZUR nie padł tu ofiarą polityki Kijowa – podkreśla.

To, że rumuńscy Ukraińcy nie krytykują władz w Bukareszcie, nie wpływa jednak pozytywnie na wizerunek ZUR na północy kraju. – Związek to klika, jak większość organizacji mniejszości narodowych w Rumunii. Jej wierzchołek zajmuje się głównie walkami wewnętrznymi i dzieleniem środków z budżetu państwa – uważa politolog Lucian D. Dirdala z Uniwersytetu w Jassach.

Zintegrowani w niszy

Myrosław Petrecki (Miroslav Petretchi) jest szefem ZUR w Maramuresz, a jego syn Mykoła (Nicolae-Miroslav Petretchi) szefem całego ZUR oraz posłem do parlamentu w Bukareszcie. W Rumunii przedstawiciele każdej z oficjalnie uznanych mniejszości (w sumie osiemnastu) mają swojego przedstawiciela w parlamencie, ci zaś na ogół głosują ramię w ramię z większością parlamentarną.

ZUR ma okazałą strukturę: przewodniczący, czterech pierwszych wiceprzewodniczących i pięciu wiceprzewodniczących, oraz niemałe finansowanie ze strony państwa. W 2018 r. rząd rumuński przeznaczył 8,5 mln lei (prawie 8 mln zł) na działalność ZUR. Ale na stronie internetowej Związku próżno by szukać informacji o ich wykorzystaniu, a wywieszony plan działań kulturalnych jest nad wyraz skromny.

Opinię politologa Dirdala potwierdza dziennikarz Radia Romania z Syhotu, który prosi o anonimowość: – ZUR to *family business*, a Petrecki-ojciec jest jak *godfather*. Oni odcinają się od mediów: nie ujawniają, ile pieniędzy co roku dostają i co z nimi robią.

Postawa Ukraińców wynika z kilku przyczyn, a opinia o „klicie” może być wyjaśnieniem nie tyle krzywdzącym, co nie-

Idea rusińska jest wykorzystywana przez Kreml do tworzenia „jacejek” w wielu regionach mieszanych etnicznie.

pełnym. Ukraińcy w Rumunii są społecznością nieliczną (0,25 proc. ludności) i do brze zintegrowaną z rumuńską większością. Mówią po rumuńsku, wyznają prawosławie (jak większość Rumunów) i ze świecą szukać wśród nich radykałów, którzy postulowaliby przyłączenie południowej Bukowiny czy części Maramureszu do Ukrainy. Ich mała asertywność w walce o poszerzenie praw wynika zarówno z braku takiej oddolnej potrzeby i komfortowej sytuacji działaczy ZUR, jak i też ze słabości państwa ukraińskiego. Ukraina nie tylko nie wspiera ukraińskich wspólnot za granicą, ale także – przez swą słabość gospodarczą i polityczną – jest mniej atrakcyjna od Rumunii.

Graniczna ekonomika

Zacieśnianiu kontaktów z Ukrainą nie sprzyjają też okoliczności czysto techniczne. Na Bukowinie oba kraje łączą tylko jedno drogowe przejście graniczne, a przywrócenie przejścia kolejowego na linii Suczawa-Czerniowce odkładane jest *ad kalendas graecas* z powodu a to braku środków,

a to niechęci lub braku wiedzy, jak je wykorzystać. A przydałoby się, bo drogi są tak samo złe po obu stronach granicy.

Współpraca nadgraniczna kuleje, ograniczając się do urzędniczych nasiadówek i kurtuazyjnych wizyt. Choć Bukowina i Maramuresz mają dostęp do różnych programów – Euroregion Górny Prut, Wspólny Program Europejski Rumunia-Ukraina – brakuje twardych projektów infrastrukturalnych, jak budowa przejść granicznych czy mostów na Cisie.

W efekcie najpraktyczniejszym rozwiązaniem okazują się zdobycze globalizacji i ekonomii dzielenia się. Formuła ta została zresztą na pograniczu twórczo rozwinięta i przykrojona do potrzeb mieszkańców. Wobec tylko jednego połączenia autobusowego Jassy-Czerniowce i jedynie dwóch rejsów dziennie z lotniska w stolicy Bukowiny coraz więcej podróżnych szuka tanich lotów z Jassów.

Na popyt odpowiedzieli też kierowcy, którzy w drodze powrotnej na Ukrainę mogą dorobić. Jednym z nich jest Oleh. Spotykamy się na parkingu pośrodku centrum handlowego. Jego transportowy mercedes zapakowany jest pod sufit żywnością i chemią domową.

– Przebiecie po stronie ukraińskiej może być nawet dwukrotne, zależy od produktu. Z Polski najlepiej wozic ubrania i spożywkę. Rumunia jest droższa, no ale na pusto wracać się nie opłaca. A tak towar kupię, was wezmę i wyjdę na swoje – chwali się Oleh.

„Bukowińskie Spotkania” to największy festiwal folklorystyczny w Europie, prezentujący kulturę Ukrainy, Rumunii, Węgier, Słowacji. Wieś Bojanj na Ukrainie, lipiec 2013 r.





Geopolityczna strategia Bukaresztu

Sytuacja rumuńskiej mniejszości na Ukrainie jest bardziej skomplikowana niż ukraińskiej w Rumunii.

Spór między Kijowem i Bukaresztem zaczyna się już od ustalenia, ilu Rumunów zamieszkuje Ukrainę. Kijów twierdzi, że 150 tys., a Bukareszt, że 400 tys., bo wrzuca ukraińskich Mołdawian z obwodu odeskiego do jednego worka z Rumunami. Ci na Ukrainie mieszkają głównie na Bukowinie i Zakarpaciu, ale nie są skupieni w jednej silnej organizacji. W samych Czerniowcach jest ich kilka, w tym Centrum Kultury Rumuńskiej na ul. Kobylańskiej, prowadzące kawiarnię Bukareszt.

W odróżnieniu od węgierskiej mniejszości – mającej silne poparcie polityczne i finansowe od rządzącego Fideszu – Bukareszt nie dąży do uczynienia z rumuńskiej mniejszości narzędzia wpływu na Kijów. Traktując instrumentalnie prawa mniejszości w sąsiednich krajach, Rumunia podważałaby bowiem wiarygodność własnej krytyki Węgier, które to samo robią w rumuńskim Siedmiogrodzie.

Nie oznacza to, że Bukareszt milczy, gdy prawa Rumunów na Ukrainie są ograniczane. Jednak nie chce występować w jednym chórze z Orbanem. Tak było po przyjęciu w Kijowie w 2016 r. ustawy oświatowej, która zredukowała liczbę przedmiotów wykładanych w szkołach podstawowych w językach mniejszości. Ustawa wywołała kryzys między Kijowem a Budapesztem. Natomiast Bukareszt, choć skrytykował ustawę i odwołał

wizytę prezydenta Iohannisa, skoncentrował się na pracy dwustronnej komisji, która wyjaśnia punkty sporne.

Taką postawą Rumunii rozczarowani są liczni przedstawiciele mniejszości. Marin Gherman, redaktor naczelny rumuńskiej agencji prasowej BucPress w Czerniowcach, mówi mi wprost, że ustawa oświatowa została skrajnie negatywnie przyjęta przez ludność rumuńskojęzyczną. – Większość uznała, że zniszczone zostaną nasze historyczne szkoły, które mają po 200 i więcej lat, oraz latami wypracowany system nauczania przedmiotów w języku rumuńskim. Ta ustawa łamie prawo do nauczania w języku ojczystym – uważa Gherman.

Rumuni czują się porzuceni, choć starają się tłumaczyć taką politykę Rumunii istnieniem szerszej geopolitycznej strategii. Gherman: – W odróżnieniu od Budapesztu Bukareszt raczej dostosowuje się do mainstreamu unijnej polityki i nie chce robić gwałtownych ruchów. Poza tym rumuńscy politycy uważają, że lepiej wspierać taką Ukrainę, jaka ona jest, z całą tą jej korupcją itd., niż stać się sąsiadem Federacji Rosyjskiej. Problem mniejszości i innych kwestii spornych odkładają więc na później, a dziś wspierają Kijów w kwestiach bezpieczeństwa, aby mieć forpocztę przed Rosją.

Jednak łagodna reakcja Rumunii na ustawę oświatową wynika także z innego powodu: prawa Rumunów za granicą nie są tematem, który napędzałby rumuńską politykę wewnętrzną i mobilizował wyborców. Mimo geograficznej bliskości i długiej wspólnej granicy, Ukraina nie

istnieje na mentalnej mapie rumuńskich polityków. Na wschodzie liczą się dla nich dwa kraje: Rosja (jako wróg, który nadchodzi, zwłaszcza po aneksji Krymu) i Mołdawia (jako fantomowy ból dawnej wielkości).

Na trójstyku

Na rumuńskojęzycznej wsi są jednak miejsca, gdzie na kwestie etniczne patrzy się w sposób nie tyle nowoczesny, co ponowoczesny.

Nowosielicia to wioska leżąca na pograniczu Ukrainy, Rumunii i Mołdawii, na północnym czubku historycznej Besarabii. Mieszka tu niespełna 8 tys. ludzi. Nowosielicia jest centrum tzw. zjednoczonej hromady: nowej jednostki administracyjnej na Ukrainie, powstałej w wyniku dobrowolnego łączenia się małych i niewydolnych wsi w ramach reformy decentralizacyjnej. *Spiritus movens* takich działań są energiczni działacze samorządowi, którzy chcą wziąć sprawy w swoje ręce i czerpać korzyści, jakie takim nowym hromadom daje reforma.

Marija Nikorycz, sołtyśka Nowosielicy – w dwóch trzecich zamieszkaną przez rumuńskojęzycznych Mołdawian – twierdzi, że ukraińska ustawa językowa w ogóle im nie przeszkadza i nikt się nie przejmuje tym, kto jakim mówi językiem.

– Uruchomiliśmy dwujęzyczne klasy, ukraińsko-rumuńskie – mówi mi Marija Nikorycz. – To był pomysł rodziców, żeby dzieci wiedziały więcej. Poza tym przyjęliśmy niepisana zasadę, aby odpowiadać w tym języku, w jakim zostało zadane pytanie.

Jakby utopił to nie brzmiało, rzeczywistość potwierdziła te słowa, jeszcze zanim zostały wypowiedziane. Godzinę wcześniej w kawiarni, którą odwiedziłem przed rozmową, cztery nastolatki przekrzykiwały się nad kawą i tortem – trzy po rumuńsku, jedna po ukraińsku. A że komunikacja trwała w najlepsze, o wykluczeniu kogokolwiek nie mogło być mowy.

Rosyjskie podchody

Jednak na ukraińsko-rumuńskim pograniczu nie wszyscy są zwolennikami takiej (po)nowoczesności. Tradycyjne kategorie etniczne są także instrumentem w dziele poróżniania wspólnot i siania zamętu. W takich działaniach celuje Rosja – i robi to po obu stronach granicy. ➔

→ Siedziba Związku Rusinów Podkarpackich Rumunii w Syhocie Marmaroskim – 45-tysięcznym mieście, tuż nad granicą z Ukrainą – położona jest na głównej ulicy, 300 metrów od jedynego w kraju ukraińskiego liceum. Przeszklona witryna przy wejściu zachęca zdjęciem Władimira Putina w ramce, tłumaczeniem kazań patriarchy Cyryla (zwierzchnika Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej) i rewizjonistycznymi książkami.

Przewodniczącym Związku jest Michai Lauruc, propagator tzw. idei rusińskiej. A także częsty gość rosyjskiej ambasady, apologeta „Putina – zbawcy planety” (to określenie z jego profilu na Facebooku) oraz „ruskiego miru”. Za komunizmu Lauruc był bokserem w bukaresztańskim klubie Dynamo (klubowi patronował resort spraw wewnętrznych) i – jak sam się chwali – ochroniarzem Nicolae Ceaușescu.

Na zaproszenie Lauruca w lutym 2017 r. ukraińskie miejscowości w Maramureszu – w tym wspomniane Remeti, a także Syhot – odwiedził rosyjski ambasador w Rumunii. Podczas spotkań i wystąpień obaj apelowali o zacieśnienie relacji rosyjsko-rumuńskich i podkreślali odrębność Rusinów od Ukraińców.

– Chcą nas podzielić. Lauruc uważa, że nie ma Ukraińców, lecz tylko Rusini, będący częścią wielkiego rosyjskiego etnosu – mówią anonimowo przedstawiciele ukraińskiej mniejszości w Syhocie.

Niewykluczone, że jest to jeden z celów. Innym może być uzyskanie przedstawicielstwa politycznego na szczeblu centralnym, przeznaczonego dla lidera rusińskiej mniejszości narodowej. Ta jest od dawna w Rumunii oficjalnie uznana, a lider Związku Kulturalnego Rusinów Rumunii, Gheorghe Firczak, zasiada w ławach parlamentu w Bukareszcie.

Jednak planowany na 2021 r. spis powszechny może na nowo rozdać mandaty wśród „rusińskiej mniejszości” w Rumunii.

Idea w służbie Kremla

Idea rusińska jest wykorzystywana przez Kreml do tworzenia „jaczek” w wielu regionach mieszanych etnicznie.

Na Ukrainie najbardziej znanym jej przedstawicielem był ojciec Dmytro Sydor, prawosławny duchowny z Użhorodu i rzekomy duchowy przewodnik zakarpaccich Rusinów; głosił on konieczność stworzenia państwowości rusińskiej. Jeszcze w 2011 r., za czasów prorosyjskiego prezydenta Janukowycza, został skazany na trzy lata w zawieszeniu za próby naruszania integralności terytorialnej Ukrainy. Po 2014 r. Sydor sprzyjał rosyjskiej agresji zbrojnej na Ukrainę.

Podobnie jak na Zakarpaciu, także na Bukowinie Kreml wykorzystuje zaufanych duchownych Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiew-

skiego. Awangardą „ruskiego miru” w tym regionie jest Klasztor Bancewski we wsi Molnica, którego archimandrytą jest arcybiskup Longin. We wrześniu 2014 r., gdy regularne rosyjskie wojska umacniały się w Donbasie, kładąc kres ukraińskiej ofensywie przeciw separatystom, Longin nawoływał do uchylania się od służby wojskowej w ukraińskiej armii. Z kolei w 2018 r. występował przeciw stworzeniu kanonicznej Cerkwi Prawosławnej na Ukrainie, nazywając jej sobór zjednoczeniowy „satanistycznym zbiegowiskiem niegodziwców”.

– Klasztor w Molnicy jest ważnym miejscem dla Patriarchatu Moskiewskiego, a Longin utrzymuje bliskie kontakty ze stronnikami zbiegłego prezydenta Janukowycza, którzy dziś tworzą wierchuszkę Opozycyjnej Platformy za Życie – wyjaśnia Serhij Zараjski, redaktor naczelny portalu informacyjnego BukInfo.

OpoPlatforma, która w lipcowych wyborach parlamentarnych zdobyła 14 proc. głosów, zajmując drugie miejsce – po partii Sługa Narodu prezydenta Zełenskigo – to ugrupowanie prorosyjskie, powstałe na gruzach Partii Regionów, którego jednym z liderów jest Wiktor Medwedczuk, prywatnie kum Putina.

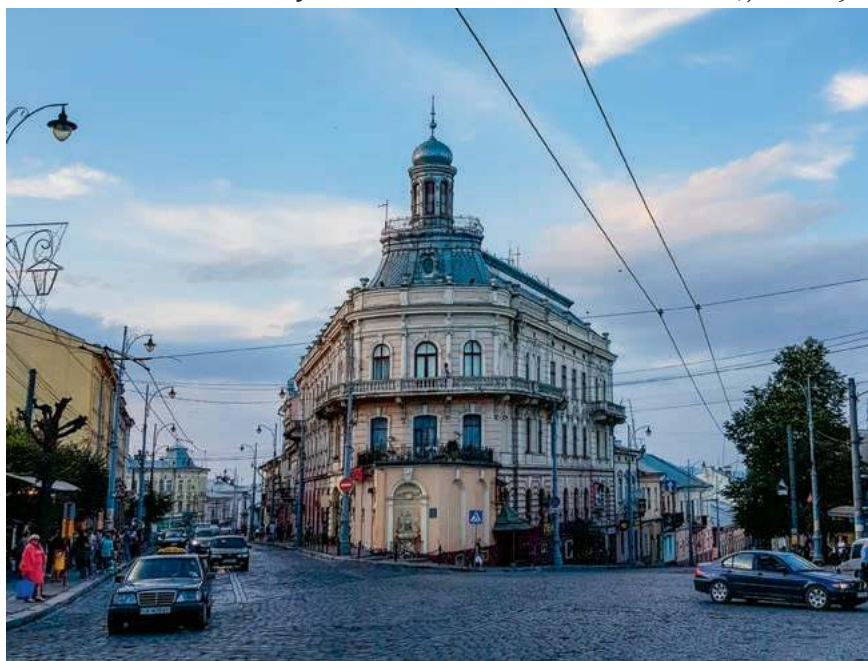
Klasztor w Molnicy położony jest w regionie (powiecie) hercaiwskim, tuż przy granicy, gdzie 90 proc. mieszkańców stanowią Rumuni. – Popularność Longina czyni ich głównymi konsumentami rosyjskiej propagandy i rozszerza wpływy Kremla wśród rumuńskiej mniejszości regionu, i tak już znaczne – podsumowuje dziennikarz Zараjski.

Lokalna rewolucja

Podczas lipcowych wyborów parlamentarnych, w jednomandatowym okręgu numer 203 – obejmującym także rajon hercaiwski – o fotel deputowanego z ramienia OpoPlatformy ubiegał się Mychajło Żar, syn archimandryty Longina. Ale przegrał – podobnie jak lokalny oligarcha Iwan Semeniuk. Do Rady Najwyższej w Kijowie dostał się szerzej nieznany działacz sportowy – kandydat prezydenckiej, skłonej naprędce tuż przed wyborami partii Sługa Narodu.

Ta niespodzianka – to jeden z konkretnych przejawów rewolucji personalnej, jaką na Ukrainie wprowadza Wołodymyr Zełenski.

Zabytkowe śródmieście w ukraińskich Czerniowcach, jesień 2019 r.



TADEUSZ IWAŃSKI



SIM CHI YIN / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Budowa sztucznego lądu w stanie Johor, 2017 r.

Rosnąca Malezja

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z PENANGU W MALEZJI

Ten kraj się rozrasta, i to dosłownie. Ale mieszkańcy zaczynają sobie zdawać sprawę ze społecznych i ekologicznych kosztów tam, gdzie odbywa się to z pominięciem ich dobra i przyszłości.

POPULARNĄ PLAŻĘ PRZY GURNEY DRIVE kilkanaście lat temu pochłonęła woda. W zamian mieszkańcom została tylko ulica i dwa potężne centra handlowe. Tam, gdzie kiedyś wypoczywali, i dalej, gdzie bujały się łodzie rybaków, dziś buldożery i ciężarówki kończą pracę przy dosypywaniu kawałka lądu. Wkrótce mają tu powstać nowa plaża i miejski park. To najmniejsze z tutejszych przedsięwzięć, obejmujących rekultywację zalanych terenów albo tworzenie nowych. Inny taki projekt zaczął się niedaleko, a w kolejce czeka jeszcze kilka.

Leżący w północnej Malezji i liczący 1,7 mln mieszkańców stan Penang składa się z wyspy o tej samej nazwie i większej od niej części kontynentalnej. Na wyspie od dawna brakowało ziemi pod budowę – tak przynajmniej twierdzą deweloperzy,

którzy przekonują rząd do kolejnych projektów „rekultywacyjnych”. Zwykle chodzi o usypanie dodatkowej powierzchni, na której można będzie zbudować apartamenty i hotele.

Badacze z miejscowego Universiti Sains Malaysia przygotowali raport, w którym przewidują, że do 2030 r. powstanie tu aż pięć sztucznych wysp, a uzyskana, gotowa do zabudowy powierzchnia będzie liczyć ponad 3,2 tys. hektarów. Główna wyspa urośnie tym samym o 10 proc. Największy tego typu projekt w Penangu (i w ogóle w Malezji), znany jako Penang South Reclamation, ma obejmować budowę przy południowym wybrzeżu trzech nowych wysp o łącznej powierzchni ponad 1800 hektarów. To ta inwestycja budzi największe kontrowersje.

Hektary z morza

Wydzieranie ziemi morzu to nad Cieśniną Malakka dochodowy biznes, a Malezja w ostatnich latach zdecydowanie w nim przoduje.

Wprawdzie sąsiedni Singapur od uzyskania niepodległości powiększył swoją powierzchnię o prawie jedną czwartą, ale ostatnio zwolnił tempo – i zrezygnował ze szkodliwego dla środowiska wydobywania piasku na rzecz bardziej popularnych w Europie polderów.

10 lat temu deweloperzy i ówczesne władze w indonezyjskiej Dżakarcie przedstawili wizję przedsięwzięcia o nazwie Giant Sea Wall, obejmującą budowę aż 17 sztucznych wysp. Nowy ląd miał m.in. uchronić nisko położone miasto przed zalaniem przez ocean. Niejako przy okazji miały powstać tam centra handlowe i atrakcje turystyczne. Udało się zbudować tylko cztery wyspy, bo przedsięwzięcie szybko przerodziło się w spektakl protestów organizacji ekologicznych i oskarżeń o korupcję. Władze cofnęły wreszcie pozwolenia, wskazując na uchybienia podatkowe i brak studium wpływu tej megainwestycji na środowisko.

Odtąd w dziedzinie „rekultywacji” przoduje leżący przy granicy z Singapurem malezyjski stan Johor: powstaje tam co najmniej 5,4 tys. hektarów sztucznego lądu. Mają zostać zabudowane hotelami →

⇒ i apartamentowcami. W ten sam sposób rozwijane są tereny przemysłowe. Dwa miasta portowe w stanach Selangor i Negeri Sembilan rozbudowują się w morze na ponad 3 tys. hektarów każde, aby móc budować mieszkania, hotele i fabryki. Z kolei w stanie Malakka na powierzchni 526 hektarów powstaje budowana do spółki z Chińczykami Melaka Gateway – obejmująca port morski, marinę dla jachtów, luksusowe bungalowy i parki.

Każdy z projektów kosztuje dziesiątki miliardów ringgitów, a spodziewane zyski są wielokrotnie wyższe. Podnoszące się głosy, że budowa zniszczy chroniące przed erozją i podtopieniami namorzyny, nie przynoszą efektów.

Protesty w Penangu

Jedyny w Malezji ruch z prawdziwego zdarzenia, sprzeciwiający się usypywaniu sztucznego lądu, powstał w stanie Penang.

Tutejszy rząd stanowy, który od dawna planował rozbudowę systemu transportu publicznego, zamierza uzyskać potrzebne na to pieniądze, sprzedając deweloperom ziemię na planowanych nowych wyspach. Infrastruktura komunikacyjna musi być droga, bo ma się składać z pięciu linii metra, autostrad, wiaduktów i tuneli: jednego podwodnego, łączącego wyspę z kontynentem, a drugiego wydrążonego we wzgórzach. Całość – wyspy i infrastruktura – mają kosztować 46 mld ringgitów (równowartość 11,2 mld dolarów).

Organizacje pozarządowe pytają, po co aż tak wielki projekt niezbyt ludnemu Penangowi. Wskazują na stołeczne Kuala Lumpur, gdzie zaledwie jedna linia metra zaczęła przynosić planowane zyski. Obawiają się, że Penang nie udźwignie ciężaru utrzymania metra i zbankrutuje.

Działacze Penang Forum – zrzeszenia organizacji pozarządowych zajmujących się środowiskiem i zrównoważonym rozwojem – przygotowali alternatywny plan, zakładający m.in. rozwój komunikacji autobusowej, budowę linii tramwajowych i wprowadzenie, wzorem Singapuru, ograniczeń dla kierowców. Wskazują też na poważne błędy w planowaniu.

– Biegające wiaduktami autostrady mają przebiegać przez miejskie parki i wzgórza, z których słynie Penang. Poza tym badania pokazują, że ich budowa zachęca do używania prywatnych aut, a to kłóci się z koncepcją transportu publicznego – wyjaśnia mi Evelyn Teh, związana z Forum ekspertka w dziedzinie środowi-

ska i urbanistka. Dodaje, że miejscowi nie będą mieli korzyści z zaplanowanych na wyspach luksusowych apartamentów, bo nie będzie ich na nie stać. – Wszystko to z myślą o bogatych inwestorach z Chin i Singapuru – dodaje.

W rejonie, gdzie mają być zbudowane wspomniane sztuczne wyspy, są najlepsze w okolicy łowiska ryb, krewetek i krabów. Żyje tam kilkaset rodzin rybaków – jeśli projekt ruszy, stracą jedyne źródło utrzymania. Aktywiści ze stowarzyszenia Penang Tolak Tambak (Penang Odrzuca Rekultywację) mówią, że wpłynięcie to na życie 5 tys. członków rybackich rodzin na miejscu i kolejnych 2,3 tys. w sąsiednim stanie Perak, gdzie ma być wydobywany piasek potrzebny do budowy. Z kolei zaplanowane na sztucznych wyspach hotele i apartamenty nie tylko nie przyniosą korzyści mieszkańcom, ale spowodują ogólny wzrost cen nieruchomości.

Rybacki boją się powtórki sytuacji z dawnej wsi rybackiej Tanjung Tokong, leżącej na obrzeżach stołecznego George Town. Kiedy w 2006 r. oddano tam do użytku „odzyskaną ziemię”, na której zbudowano drogie apartamenty i luksusową galerię handlową, z przybrzeżnych wód zniknęły ryby, i aby je zdobyć, trzeba teraz wypływać dalej w morze. Z powodu wysokich kosztów benzyny wielu rybaków musiało szukać dodatkowego zajęcia.

Dr Mohamed Jusoff Ishak z Putra Universiti Malaya w Kuala Lumpur, z pochodzenia Penangijczyk, ostrzega, że zagrożone są nie tylko ryby. – Wydobywanie piasku na masową skalę narazi cały region na podtopienia i wpłynie na poziom oraz jakość wód gruntowych – mówi mi naukowiec. Ishak obawia się, że z powodu podnoszącego się poziomu morza hotele i apartamenty może czekać smutny koniec.

Społeczeństwo obywatelskie

– Nasi aroganccy politycy nawet nie myślą o słuchaniu ludzi, a to my będziemy żyli z konsekwencjami ich planów – deklaruje się przedsiębiorca Curry Khoo.

Wraz z grupą artystów i członków miejscowej sceny start-upowej Khoo dołączył do rybackich protestów. Planują akcję informacyjną dla mieszkańców i domagają się, żeby rząd wstrzymał projekt, zmniejszył jego skalę i lepiej go zaplanował.

– Malezja mogłaby stać się dla reszty świata przykładem tego, jak zapewnia-

jąc wzrost gospodarczy, dać jednocześnie ludziom dobre przestrzenie publiczne. Kluczem jest dobre zarządzanie, cały region stoi przed szansą na poprawę swojej komunikacji i przestrzeni publicznych, ale sztuczne wyspy mogą być tylko jego niewielką częścią – uważa Evelyn Teh.

Wizja rządu

Timothy Tye – szef organizacji Anak Pinang, która powstała, żeby wspierać rząd w zwalczaniu oponentów, kwestionujących przedsięwzięcia – mówi „Tygodnikowi”, że Penangijczycy nie powinni się obawiać megaprojektów infrastrukturalnych i śmiało zabiegać o rozwój gospodarczy.

– Malezja dołączyła do grona azjatyckich tygrysów dzięki wizjonerskim przywódcom i odważnym krokom. Nie możemy teraz kapitulować z obawy o środowisko, jego ochronę trzeba połączyć z niezbędnym rozwojem – argumentuje Tye. Jego zdaniem metro i autostrady poprawią jakość życia Penangijczków i przyniosą inwestycje. Tye nie widzi alternatywy dla sztucznych wysp.

Podobnie jak szef rządu stanowego Chow Kon Yeow, który powiedział niedawno miejscowym mediom, że projekt będzie napędzał gospodarkę Penangu przez pół wieku. Chow zapowiedział, że o sprawie będzie rozmawiał tylko z tymi, w których bezpośrednio uderza budowa wysp, a więc z rybakami. Wiosną spotkał się z nimi za zamkniętymi drzwiami i przekonywał do zakończenia protestów. Nieskutecznie. Dziś rybacy nadal organizują demonstracje (ostatnia odbyła się na początku listopada) i grożą, że jeśli budowa mimo wszystko się zacznie, wypłyną w morze i zablokują ją setkami łodzi.

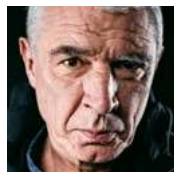
Rząd nie daje za wygraną: twierdzi, że 97 proc. mieszkańców popiera plan, choć w przeprowadzonej sondzie pytano tylko o transport publiczny, a zdaniem organizacji pozarządowych pytania były tendencyjne (nie dotyczyły np. skali rozbudowy infrastruktury). Władze odpowiedziały, że analizują dane z właśnie zakończonych trzymiesięcznych konsultacji społecznych. Prowadzono je w mobilnych stanowiskach rozlokowanych w George Town.

Stanowiska były opatrzone hasłem: „Nasza wizja, twoja przyszłość”.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

ANDRZEJ

Stasiuk: W Szwajcarii



NA ROGU FREIE STRASSE I KAUFHAUS-GASSE obracał się diabelski młyn. Siąpił deszcz i było rano. Faceci w kapturach sprawdzali urządzenia. Kręciła się pusta karuzela. Patrzyłem na to z okna hotelu. Szwajcaria zaczynała dzień.

Ileko tu przyjeżdżam, czuję się tak, jakbym dotarł na bieżnię cywilizacji. Albo do domku dla lalek: musisz się pilnować, żeby czegoś nie potrącić. Żeby nie było, że kręcę nosem: to nie jest wina domku, tylko moich odczuć, odczuć syna innej przestrzeni cywilizacyjnej. Przyzwyczajony do przypadku, chaosu, ostrych krawędzi rzeczywistości, jak jakiś zwierz węszyć za niebezpieczeństwem, drugim dnem albo zasadzką. Po prostu nie ufam, że ten świat da się tak poukładać.

No więc sprawdzali karuzelę, w budce obok mężczyzna w czerwonej czapce rozpałał ruszt z kasztanami i podgrzewał w srebrnym samowarze wino. To wszystko jakby dla nikogo, bo jednak deszcz i ósma rano. Bruk lśnił, czasem zaiskrzył pantograf tramwaju. Jednak była w tym głębsza celowość. Po prostu raz puszczone w ruch musiało funkcjonować, powielając własną doskonałość. Bez ostentacji, bez nowobogackiego blichtru, bez krzykliwości. Wedle naszej miary nawet wstydliwie. Tylko czasem wieczorem, po pustawych ulicach przemknął czarny merc za 200 tysięcy euro, a z uchylonych okien dudnił podkręcony bas, od którego drżało szwajcarskie powietrze. I zapewne spędzał sen z oczu prawdziwym Szwajcarom. Tak było w Bazylei i potem w Zurychu. I tu, i tam wciąż padał deszcz, a ja zastanawiałem się nad swoją obcością.

Byłem dzieckiem biedy, komunizmu i peryferii, a jednocześnie nie wyobrażałem sobie, że mógłbym to dziedzictwo wymienić – dosłownie i symbolicznie – na dziedzictwo szwajcarskie. Ten kraj napelniał mnie obawą. Spacerując po

lśniących od deszczu uliczkach zuryskich i bazylejskich starówek, tak wydawałoby się wymiecionych z życia, tak zanurzonych w spokojnym trwaniu, nieustannie myślałem: co dalej? Czy jako gatunek doszliśmy już do jakiejś ściany? To znaczy Szwajcaria doszła w naszym imieniu. I teraz możemy oglądać jako ideał, do którego powinniśmy wszyscy dążyć. Że za tą ścianą nie ma już nic wartego uwagi. Że to jest koniec, koronacja gatunku i wzorzec z Sèvres człowieczeństwa: spokojne trwanie w idealnych w miarę możliwości warunkach. Do tego przecież dążymy. Wszyscy byśmy chcieli, a tylko im się udało. Popijałem bourbona pod kawiarnianym parasolem i patrzyłem na szary Limmat. Barman chciał mi dać paczkę orzeszków *gratis*, bo to był już mój drugi bourbon u niego tego dnia. Zdziwił się, że nie chcę. Nie chciałem, bo zajęty byłem rozmyślaniami o sprawiedliwości: co w takim razie z resztą? Z tymi wszystkimi spragnionymi, a jednak pominiętymi w podziale łaskawych losów? Co z tymi, których życie jest udręką i niewypowiedzianym trudem? Co z tymi, którym każdego dnia grożą głód i zagłada? Czy w jakiejś uniwersalnej perspektywie ta moja symboliczna Szwajcaria nie jest im coś winna? Och, nie w sensie humanitarnym, bo tutaj zapewne stara się jak może, ale w sensie ogólnej, powiedzmy – wszechświatowej równowagi. Że ma zbyt wiele, zbyt kole w oczy, że jej doskonałość w końcu stanie się zbyt wyzywająca, by wszystkie wyklęte ludy ziemi mogły to znieść. Nas, bezpiecznych i zamożnych, czyli Szwajcarię symboliczną.

Następnego dnia odlatywałem. Widok terminalu nieco mnie pokrzepił. Wszyscy, bogaci, biedni, czarni, biali, żółci, ci, którym bilety kupiły wielkie korporacje albo literaturhausy, i ci, którym przelot finansowały rodzinne składki gdzieś w głębi wynędzniałych kontynentów, uchodźcy, turyści, przedsiębiorcy, kobiety w kwefach, backpackerzy w szortach – wszyscy przypominaliśmy bydło. Uwięzione w zagrodach i przepędzane. Stłoczone, dyszące, spocone. I wystraszone, że w końcu się coś zatnie w tej cywilizacyjnej maszynierii transportu ludzkiego mięsa, coś się zatnie w mechanizmie całego świata. Tak, byliśmy jak bydło potulnie stłoczone i odczłowieczone. Częściowo rozebrane, bose, obmacywane, odarte z intymności, w opadających spodniach. Pakowałem rozbebeszoną torbę, wsuwałem pasek w szlufki i znowu myślałem o sprawiedliwości. ©

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego – Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.



W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”:
„Do Betlejem!”
„Wszystko, co wiemy”
„Moc czytania”
„Polska Żydowska”
„Smak wolności”
„Zwierzenia zwierząt”
„Halo, tu Ziemia”.

DOIGRALI SIĘ

Jesienią 1939 r. sowieccy filmowcy objeżdżali okupowane ziemie II Rzeczypospolitej. Później kręcili filmy, których antybohaterami byli Polacy. Niektóre są do dziś wyświetlane, nie tylko w Rosji.

ANDRZEJ ZAWISTOWSKI



Sowiecki plakat propagandowy z września 1939 r. (fragment)

CHOĆ WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA zakończyła się w 1921 r. traktatem pokojowym, przez cały okres międzywojenny II Rzeczypospolita była dla przywódców Związku Sowieckiego jednym z głównych wrogów. Dla Stalina to Polacy byli winnymi porażki eksportu rewolucji bolszewickiej na Zachód. Niezależna

od Moskwy Polska mogła być też atrakcyjnym wzorcem dla narodów ujarzmionych przez bolszewików. Przeciwdziałać temu miała również propaganda, wykorzystująca najnowocześniejsze wtedy narzędzie rozrywki i informacji: film.

Licząc ostrożnie, do końca 1941 r. w Związku Sowieckim wyprodukowano



nie mniej niż 35 fabularnych filmów odnoszących się do Polaków. Z ekranów kin straszili bezwzględni wásaci panowie, okrutni żołnierze i nieludscy policjanci. Współczucie mieli budzić uciskani Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i (nieliczni) polscy robotnicy. Najwięcej takich filmów powstało na początku lat 20. oraz w latach 1939-41.

Suworow i Pierwsza Konna

Wybuch II wojny światowej i zwycięski marsz Armii Czerwonej przez ziemie wschodnie II RP były wymarzonym tematem dla propagandy – dokumentować miały go utworzone specjalnie grupy filmowe. Znaleźli się w nich znani reżyserzy Michaił Romm i Aleksandr Dowżenko. Pierwszy był w Białymstoku, Grodnie, Brześciu i Wilnie, drugi na południu – w Tarnopolu, Lwowie, Przemyślu, Haliczu, Stanisławowie, Kołomyi i Kosowie. Również poszczególne jednostki wojskowe rejestrowały swoje działania na filmowej taśmie.

Zanim jednak powstały filmy o kampanii roku 1939, finalizowano wcześniejsze projekty. W 1939 r. do kin weszła superprodukcja „Minin i Pożarski”: epickie dzieło o ludowym powstaniu Rosjan przeciw Polakom na początku XVII w. W 1941 r. pojawił się historyczny film „Bohdan Chmielnicki” o kozackim powstaniu z 1648 r. Rozgrywają się w nim sceny niemal identyczne z tymi, które propaganda pokazywała w 1939 r.: Moskwa obejmuje opieką Ukraińców, za-



DOMENA PUBLICZNA X2



Po lewej: kadr z filmu „Rodzina Janusz”. Po prawej: w polskim więzieniu – kadr z filmu „Marzenie” Michaiła Romma.

groźnych polskim bestialstwem. Także w 1941 r. do kin trafił „Suworow”: jego początkowe sceny to zwycięstwa tytułowego carskiego marszałka podczas powstania kościuszkowskiego w 1794 r.

Eksplloatowano też wątek narodzin bolszewickiego państwa. W poświęconym wojnie domowej filmie „Szczors” reżysera Dowżenki polscy żołnierze to wrogowie – obok Ukraińców Petlury, rosyjskich „białych” i Niemców. Podobny wydźwięk miały „Ogniove lata”: na ekranie widzimy, jak kler katolicki wraz z polskim wojskiem i panami usiłują nie dopuścić w 1920 r. do zjednoczenia Białorusinów w jednym państwie. Z kolei „Pierwsza Konna” z 1941 r., opowiadająca o armii kawaleryjskiej Siemiona Budionnego, także zawierała sceny z polskim wojskiem (Konarmia walczyła z nim w 1920 r.). „Wiwat Polska!” – krzyczą polscy żołnierze, a cywile pierzchają w przeobrażeniu.

O kraju przeklęty!

Z czasem zaczęły pojawiać się filmy o wrześniu 1939 r. – jak obraz „Rodzina Janusz”, zrealizowany w 1941 r. Akcja rozgrywa się w szczęśliwym białoruskim kołchozie tuż przy granicy z Rzeczpospolitą. Po 17 września kołchoźnicy świętują oswobodzenie braci spod władzy „pańskiej Polski”; pewien młodzieniec nawet przywozi do wsi wyrwany polski słup graniczny. Kołchoz wysyła ziarno do zasilania na byłych polskich ziemiach, gdzie panują głód i nędza... Trudno powiedzieć,

dłaczego cenzura zatrzymała ten film i nie trafił do kin.

Najbardziej znanym filmem propagandowym o jesieni 1939 r. jest dokumentalny obraz Aleksandra Dowżenki „Wyzwolenie”. Pełen tytuł precyzuje temat: „Wyzwolenie ziem ukraińskich i białoruskich od ucisku polskich panów i zjednoczenie bratnich narodów w jedną rodzinę. Kronika historyczna”.

Dowżenko to jeden z najbardziej znanych sowieckich filmowców pierwszej połowy XX w. Zasłużony w twórczości socrealistycznej, dwukrotnie otrzymał Nagrodę Stalinowską (w latach 1940-54 była to najważniejsza państwowa nagroda przyznawana naukowcom, artystom i inżynierom). Zdjęcia do „Wyzwolenia” kręcił, gdy jesienią 1939 r. wraz z ekipą przemierzał Galicję śladem Armii Czerwonej; część otrzymał też od wojskowych operatorów. Z materiału tego zmontował (nie bez kłopotów z cenzurą) dokument, który w 1940 r. trafił na ekrany w dwóch wersjach językowych: rosyjskiej i ukraińskiej.

Film składa się z trzech części. Pierwsza, najkrótsza, to opowieść o II Rzeczypospolitej. Narrator mówi o terenach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi – takich nazw używała sowiecka propaganda w dwudziestolecie. W pierwszych scenach powielane są chyba wszystkie propagandowe stereotypy. Narrator kpi z polskiego państwa, wyśmiewa jego armię i przemysł oraz panów. Na ekranie kilkukrotnie pojawiają się łacińskie

krzyże. „O kraju przeklęty! Gdzie spojrzysz, Chrystus na krzyżu rozpięty!” – słyszymy z ekranu.

Druga część to wrzesień 1939 r. Narrator informuje, że nieodpowiedzialni polscy przywódcy wciągnęli naród w zgubną wojnę. Choć państwo w ciągu kilku dni przestało istnieć, panowie „rzucili się z ogniem i mieczem” na ukraińskie i białoruskie wsie. Ale nadchodzi ratunek: „Rząd sowiecki uważa za swój święty obowiązek podać pomocną dłoń swym braciom Ukraińcom i braciom Białorusinom zamieszkującym Polskę” – słyszymy komunikat komisarza (ministra) spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa. Towarzyszą temu sceny witania czerwonoarmistów przez radosne tłumy i widok jeńców. „Skończyło się. Doigrali się!” – pada komentarz. Na ulice miast i wiejskie pola wraca życie, znika wszelki ucisk. „Oczyszczane są zamki dawnej pańskiej Polski. Teraz będą tu szkoły, szpitale, domy chłopskie” – słowem tym towarzyszy ujęcie wyciągania z pałacu wózka inwalidzkiego z otyłą ziemianką, która sprawia wrażenie chorej psychicznie.

Najdłuższa, trzecia część filmu to opowieść o „wyborach” do zgromadzeń ludowych Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Widzimy radośnie zmierzających na wiec Huculów i prawosławnych zakonników z Ławry Pocajowskiej koło Krzemieńca, zgodnie głoszących za władzą sowiecką. Z woli ludu ziemie wschodnie II RP stają się częścią Związku Sowieckiego.

Wiele wiatr historii

→ To, co można było zobaczyć w dokumencie Dowżenki, na język fabuły przełożył w filmie „Wiatr ze wschodu” reżyser Abram Room. Jego scenariusz konsultowała Wanda Wasilewska – zaufana Stalina, w 1943 r. liderka załóżka komunistycznej władzy Polski.

Film wszedł na ekrany w lutym 1941 r. Jego bohaterowie to ukraiński chłop Choma Gabrys i właścicielka ziemiska grafini Janina Przeżyńska (niewykluczone, że jej nazwisko utworzono celowo od rosyjskiego słowa „pszek”, pogardliwego określenia Polaka). Znaczną część zdjęć kręcono w zamku w Krasiczynie, który był wtedy pod sowiecką okupacją.

Spór między Chomą i Przeżyńską dotyczy ziemi, którą grafini odebrała chłopu. Akcja zaczyna się uroczystością poświęcenia figury Matki Boskiej: widzimy katolickiego księdza, policjanta i ziemian, z których inicjatywy stanęła figura. Jest też lud, uciemiężony i zmuszany do praktyk religijnych. W drugiej scenie Gabrys jest sądzony w imieniu Rzeczypospolitej. W efekcie już w pierwszych kilku minutach widzowi serwowane są wszystkie kody stereotypu Polski, sączone przez sowiecką propagandę w ciągu wcześniejszych lat. Na tym podglebiu opowiedana jest historia nierównej walki ukraińskiego chłopu i okrutnej polskiej pani. Za to zdewociała Polka, wiejska nauczycielka, przechodzi przemianę i przekonuje się do komunizmu (i przy okazji do przystojnego komunisty).

Konstrukcja „Wiatru ze wschodu” przypomina film Dowżenki. Pierwsza część to opowieść o nędznym życiu Ukraińców, bezwzględnie uciskanych przez Polaków. Druga to czas wojny: zagrożenia ze strony szalejących polskich panów. Część trzecia to sprawiedliwość dziejowa – nadejście władzy sowieckiej. Także tu łaciński krzyż jest wszechobecny, odgrywa jeszcze większą rolę niż w dokumencie Dowżenki. Ekspozowany na zamku, w sądzie, w szkole, w domu nauczycielki. Nawet licytacje ukraińskich dłużników odbywają się w centrum wsi pod wielkim przydrożnym krzyżem.

W filmie tym Polacy są wprost przedstawiani jako winni wybuchowi wojny. Słyszymy, jak w sierpniu 1939 r. Polskie Radio nadaje audycje, w których zapowiada atak na Królewiec, Wrocław i Berlin. Słyszymy też audycję radia niemieckiego, które informuje o polskich

W „Wietrze ze wschodu” słyszymy, jak w sierpniu 1939 r.

Polskie Radio zapowiada atak na Królewiec i Berlin.

mordach na niemieckiej ludności Górnego Śląska (to powielenie propagandy III Rzeszy, uzasadniającej atak na Polskę). Wreszcie na ekranie pojawia się tekst: „Polskie władze wciągnęły naród w złą wojnę. Zaczęła się ona o świcie 1 września 1939 r.”. Polska armia jest w rozsypce, unika walki, oficerowie uciekają ze zrabowanym mieniem. Nagle przez radio przemawia Mołotow i informuje o przekroczeniu granicy przez Armię Czerwoną. Grafini ucieka, ale wcześniej każe spalić buntowniczą wieś. Jednak, jak w westernie, na czas nadciągnięcia kawaleria: Ukraińców od zagłady uratują czerwonoarmiści.

Coś dla dzieci i dla świata

Zwycięstwem nad Polską zajęli się też twórcy filmów rysunkowych.

Kreskówka „Jasiek” to krótkometrażowy film w reżyserii Iwana Iwanowa-Wano. To jeden z najbardziej znanych autorów filmów rysunkowych w Związku Sowieckim, zwany tam „sowieckim Disneyem”. Spod jego ręki wyszła najsłynniejsza tam kreskówka „Kownik Garbusek”. Jego twórczość charakteryzowało częste nawiązywanie do rosyjskich motywów ludowych.

Nie inaczej jest w „Jaśku”. Bohater to młody białoruski chłop. Żyje w sielskiej atmosferze, zaprzyjaźniony z dzikimi zwierzętami. Beztroska trwa, dopóki Jasiek nie zostaje siłą wcielony do polskiego wojska. Jest tam prześladowany i upokarzany. Wywiązuje się jednak z obowiązków, np. udaje mu się obronić pułkową kasę przed oficerami, którzy nocą chcą ją rozkraść. Ściąga to na niego kłopoty: zostaje skazany na wybatowanie, a jego wieś na spalenie. Gdy zdaje się, że Jaśka nic już nie uratuje, nadchodzi Armia Czerwona – w rytm sowieckiego przeboju wojskowego „Poluszek pole” (Pieśń pól) z 1933 r., do dziś wykonywanego przez znany Chór Aleksandrowa. I znowu, jak w poprzednich filmach, białoruską wieś przed polską pożogą bronią

Sowieci. Polskich oficerów rozstrąca i porywa wiatr historii.

Prawda ekranu

Symboliczną rekapitulacją propagandowej antypolskiej fali był film Michała Romma „Marzenie” z 1941 r. Reżyser uważany jest za jednego z najwybitniejszych twórców wczesnego sowieckiego kina. Pięciokrotny laureat Nagrody Stalinowskiej, był też nagradzany na festiwalach w Wenecji i Cannes. Do „Marzenia” zaangażował plejadę ówczesnych aktorów, a autorem muzyki do filmu był znany polski twórca międzywojenny Henryk Wars, który miał wtedy moment kolaboracji z władzą okupacyjną (w 1942 r. Wars wstąpił do armii polskiej i wraz z nią opuścił Związek Sowiecki; w 1946 r. we Włoszech zrealizuje film „Wielka droga” o losach żołnierzy Andersa).

Pomysł na „Marzenie” miał narodzić się podczas wspomnianej jesiennej podróży Romma po okupowanych Kresach. To opowieść o Annie, Ukraince i zwoleńnicze komunizmu. Jej narzeczonego skazano na śmierć, ją torturowali polscy policjanci. Anna ucieka do Związku Sowieckiego przed polskimi represjami i polskim marazmem, skąd wraca razem z Armią Czerwoną w 1939 r. Sprawiedliwość sowiecka zwycięża – nadchodzi wyzwolenie.

Reżyser skończył montować „Marzenie” rankiem 22 czerwca 1941 r. – w dniu, gdy III Rzesza zaatakowała swego niedawnego sojusznika. Od tego czasu po świecie krąży obraz opowiadający o bezwzględnych funkcjonariuszach II Rzeczypospolitej, prześladowających i torturujących ludzi tęskniących za wolnością. Pokazywano go nawet w Białym Domu.

Dziś „Marzenie” jest jednym ze stu filmów oficjalnie uznanych za klasykę kina sowieckiego i rosyjskiego, które Ministerstwo Kultury Federacji Rosyjskiej bezpłatnie udostępnia uczniom. Także inne z filmów sprzed 80 lat, w których to Polska ponosi winę za wybuch II wojny światowej, wciąż goszczą na ekranach telewizorów – nie tylko rosyjskich.

© ANDRZEJ ZAWISTOWSKI

DR HAB. ANDRZEJ ZAWISTOWSKI jest historykiem, profesorem Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Kieruje Działem Historycznym Muzeum Powstania Warszawskiego.



Grand Press

NAGRODY W KATEGORIACH:

NEWS • DZIENNIKARSTWO ŚLEDCZE • PUBLICYSTYKA
REPORTAŻ • WYWIAD • DZIENNIKARSTWO SPECJALISTYCZNE

Dziennikarz Roku

Magazyn „Press” zaprasza ponadto kolegia redakcyjne wszystkich pism, stacji radiowych i telewizyjnych oraz profesjonalnych redakcji internetowych w Polsce do udziału w wyborze Dziennikarza Roku 2019.

Nominacje będą przyjmowane do **4 grudnia br.**

Regulamin konkursu na: www.grandpress.pl

PRYZNANE ZOSTANĄ TEŻ NAGRODY

Grand Press Digital • Grand Press Economy
Nagroda im. B. Tomaszewskiego

ORGANIZATOR

press



MECENAS KONKURSU



SPONSORZY KONKURSU



PARTNERZY KONKURSU



PARTNER NAGRODY
GRAND PRESS ECONOMY



PARTNER NAGRODY
GRAND PRESS DIGITAL



PARTNER NAGRODY
IM B. TOMASZEWSKIEGO



BNP PARIBAS

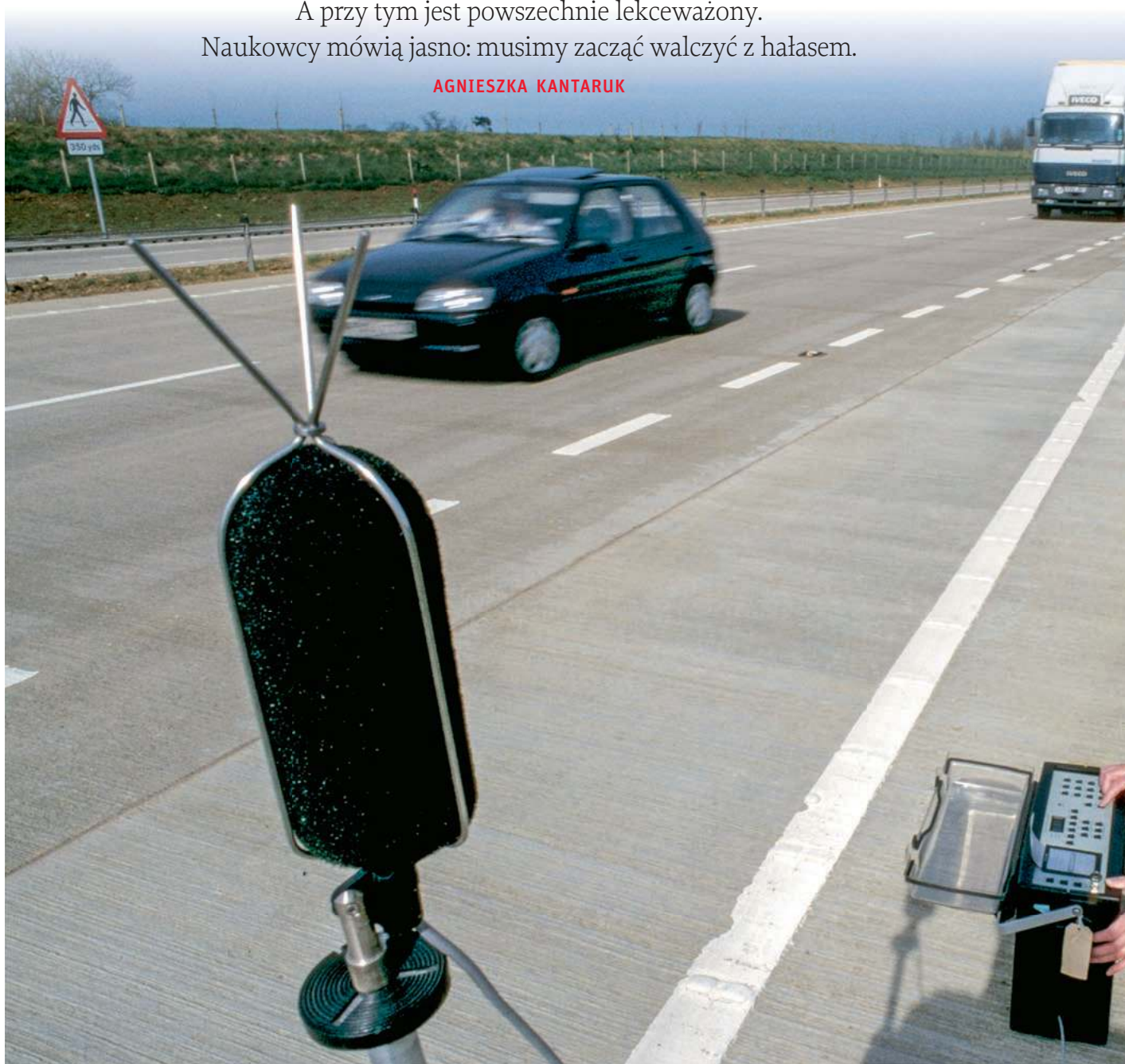
GROŹNY JAK SMOG

Trudno się od niego uwolnić. Trwale, choć powoli dewastuje liczne funkcje organizmu.

A przy tym jest powszechnie lekceważony.

Naukowcy mówią jasno: musimy zacząć walczyć z hałasem.

AGNIESZKA KANTARUK



JESZCZE NIGDY W HISTORII NIE MIELIŚMY w powszechnym użytku aż tylu hałasujących przedmiotów. Owszem, w miastach także w przeszłości nie było cicho. Już w starożytności drewniane koła wozów okute żelaznymi obręczami powodowały na brukowanych ulicach tak uciążliwy rumor, że Juliusz Cezar wydał zakaz ich wjazdu do stolicy imperium w określonych godzinach. W kolejnych epokach nie musiało być lepiej.

Jednak w przeszłości zawsze istniała możliwość opuszczenia hałaśliwego miejsca i przeniesienia się w spokojniejszą okolicę. Obecnie, pierwszy raz w historii cywilizacji, staje się to niemal niemożliwe. Taką obserwację poczynił waszyngtoński inżynier dźwięku Gordon

Hempton, który od lat próbuje zwrócić uwagę ludzi na problem globalnego zanieczyszczenia hałasem i konsekwencje tego zjawiska.

Hempton w ciągu ostatnich 35 lat trzykrotnie okrążył Ziemię, by zarejestrować dźwięki natury, które, ze względu na narastające zanieczyszczenie hałasem, przestają być słyszalne. Ukazując piękno dźwięków przyrody, ma nadzieję zwrócić uwagę innych na problem szkodliwych dla człowieka hałasów wytwarzanych przez cywilizację.

Jak wynika z jego badań, w całych Stanach Zjednoczonych jest tylko kilkanaście miejsc, w których można się cieszyć o świecie wyłącznie dźwiękami przyrody co najmniej przez piętnaście minut. Takich miejsc, gdzie można byłoby obcować z nimi przez cały dzień, nie znalazł wcale, bo nawet na terenach parków narodowych w ciągu dnia słychać przelatyjące co chwilę samoloty albo odległe dudnienie autostrad. Biorąc pod uwagę powierzchnię USA, to katastrofalny wynik, tym bardziej że swoją antyhałasową działalność Hempton rozpoczął w latach 80. Już wtedy mówił w mediach o tym, że konieczne jest ratowanie ciszy przed wyginięciem. Cztery dekady później jesteśmy w punkcie, gdy nawet w znacznie mniej uprzemysłowionej i rzadziej poprzecinanej autostradami Polsce trudno znaleźć miejsce wolne od zanieczyszczenia hałasem.

Mówimy o zanieczyszczeniu, ponieważ hałas, podobnie jak inne zanieczyszczenia – wody, gleby czy powietrza – poważnie wpływa na funkcjonowanie naszego organizmu.

Słuch bez odpoczynku

Szkodliwość hałasu bierze się stąd, że tak jak nie możemy nie oddychać – i nie wdychać zanieczyszczeń – tak też nie możemy nie słyszeć i przestać podlegać zmianom, które zachodzą w organizmie wskutek bodźców dźwiękowych i towarzyszących im wibracji.

Już dźwięki na poziomie 30 dB mogą być uciążliwe, jeśli zamierzamy wypoczywać albo wykonać pracę wymagającą skupienia. Taką wartość ma cicha rozmowa, tykanie zegara albo telewizor sąsiada słyszany przez ścianę. Do poziomu ok. 40 dB w pewnym stopniu od naszego

nastawienia do słyszanych dźwięków zależy to, czy towarzyszyć im będzie rozdrażnienie lub irytacja. Powyżej tej wartości zaczynają się dźwięki, które już automatycznie, bez względu na nasz stosunek do nich, podnoszą nam ciśnienie krwi, chociaż przeważnie nie zdajemy sobie z tego sprawy. 40 dB to np. szum nowoczesnego odkurzacza, gotująca się woda w czajniku elektrycznym, dźwięki słyszane wewnątrz dobrze wygłuszonego samochodu podczas jazdy czy gwar rozmów w przeciętnej restauracji.

Z kolei – wszystko to dane, które zebrała Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Poznaniu na podstawie wyników badań prowadzonych dotychczas w Polsce i za granicą – powyżej 70 dB rozpoczyna się katalog dźwięków poważnie działających na naszą szkodę. Ich wynikiem są zakłócenia układu krążenia, trawienno i hormonalnego, agresja, spadek wydajności pracy. A przecież jeszcze nie jesteśmy w dyskoteczce techno ani obok robotnika pracującego młotem pneumatycznym. Okolice 70 dB to tłum ludzi w centrum miasta, harmider w biurze, w którym każdy pracownik rozmawia przez swój telefon, ale też dźwięki tak prozaiczne i powszechne jak te, które wytwarza suszarka do włosów czy kuchenny mikser.

Dźwięki o natężeniu powyżej 80 dB mogą już prowadzić do trwałego uszkodzenia słuchu, stałego poczucia rozdrażnienia i zaburzeń psychicznych – choć oczywiście nie natychmiast. Taką wartość generuje większość urządzeń mechanicznych używanych podczas domowych remontów, samochodowy ruch uliczny, o ile nie przejeżdża akurat motocykl albo ciężarówka budowlana (to byłby już hałas powyżej 90 dB), a także dworzec kolejowy albo wielkomiejska galeria handlowa.

Poziom 100 dB przekracza piła łańcuchowa, ciężki sprzęt budowlany... albo szkolny korytarz podczas przerwy lub dowolne zbiorowisko dużej grupy dzieci, które nie rozmawiają ze sobą, tylko się przekrzykują. Próg bólu i negatywnych reakcji fizycznych pojawiających się po zaledwie kilku minutach to 120 dB – dlatego pokazy sztucznych ogni w przestrzeni publicznej trwają tak krótko, czego nie można jednak powiedzieć o koncertach, również oscylujących wokół tej granicy.

Trzeba też pamiętać, że hałasowi towarzyszą niesłyszalne, niemożliwe →



PAUL GLENDELL / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Pomiar hałasu na autostradzie w Anglii, 2000 r.

→ do zarejestrowania bez specjalistycznych urządzeń infradźwięki, czyli fale o niskiej częstotliwości (0–20 Hz), silnie oddziałujące na narządy wewnętrzne, oraz ultradźwięki – fale o bardzo wysokiej częstotliwości (powyżej 20 tys. Hz), które wpływają na metabolizm komórkowy. To właśnie one odpowiadają w wielu przypadkach za przewlekłe bóle głowy, poczucie zmęczenia nieustępujące po odpoczynku czy senność w ciągu dnia.

Poza świadomością

Jednym z narzędzi pozwalających naukowcom poznać wyniki oddziaływania dźwięków na organizm jest elektroencefalograf – urządzenie, które mierzy aktywność elektryczną mózgu. Badania prowadzone z jego użyciem pozwalają obalić obiegowe przekonanie, że pewna doza praktyki wystarczy, aby hałas stał się niezauważalny. Kto z nas nie słyszał opowieści o tym, że przyzwyczajając się można nawet do pociągów przejeżdżających co chwilę w najbliższej okolicy, startujących i lądujących samolotów, ulicznego ruchu? To, co umownie nazywamy przyzwyczajeniem, jest w rzeczywistości wynikiem pracy mózgu nad odsianiem negatywnego bodźca. Ta praca zawsze będzie dla organizmu męcząca, choć niektórzy z nas przestają z czasem zauważać, że ona się dokonuje.

Analiza wskazań aparatury monitorującej funkcje organizmu, przeprowadzona przez Barbarę Griefahn z Uniwersytetu w Dortmundzie i współpracowników i opisana w czasopiśmie „Sleep”, dowiodła, że nawet jeśli osoby badanej nie zbudzą się

mochody na ulicy, przelatujące samoloty, przejeżdżający pociąg, remont czy awantura u sąsiadów, to jej organizm i tak je odnotuje: zwiększy się ciśnienie krwi, przyspieszy puls i oddech, czego osoba ta w żaden sposób nie zarejestruje. Po przebudzeniu może zauważyć jedynie rezultaty tego, że organizm wcale nie relaksował się podczas snu. Mowa np. o poczuciu niewyspania i ośpienia czy bólach mięśni.

O tym, że hałas inicjuje różnorodne zmiany w układzie krążenia, poczynając od naczyń włosowatych na sercu skończywszy, też nie dowiemy się samodzielnie. Dopiero w specjalistycznym laboratorium możliwe jest obserwowanie, jak dźwięki powodują zaburzenia rytmu serca, dodatkowe skurcze, zwężenie drobnych naczyń krwionośnych i zmniejszenie wielkości przepływu krwi w tkankach. Z tych wszystkich powodów na negatywne skutki hałasu nie zawsze trzeba czekać wiele lat, niekiedy objawiają się tragicznie szybko. To samo dotyczy obcowania z hałasem, który postrzegamy jako przyjemny: głośna muzyka w domu, zabawa w dyskotecę, koncert, obserwowanie wyścigów samochodowych czy popisów samolotów odrzutowych mogą sprawiać nam radość i jednocześnie, w przypadku nadmiernej ekspozycji na płynące z nich bodźce, rujnować nasz organizm, bo procesy dokonujące się w nim pod wpływem dźwięków o nadmiernym natężeniu są niezależne od naszej woli.

Rozdrażnieni i zdenerwowani

Robert Sapolsky, neurobiolog i prymatolog z Uniwersytetu Stanforda, badający

powiązania pomiędzy przeżywaniem stresu a występowaniem chorób, twierdzi, że mikrostresy powodowane przez hałas, którego nieświadomymi odbiorcami jesteśmy wszyscy, składają się, po pewnym czasie, na stres chroniczny. Ten zaś, jak udowodniło m.in. badanie, którego głównym autorem był Heather Cameron z National Institute on Mental Health, prowadzi np. do depresji.

Także polski Sanepid podnosi tę kwestię, próbując edukować Polaków w kwestii zależności pomiędzy występowaniem zaburzeń i chorób psychicznych a wieloletnim narażeniem na hałas. Wstępem do nich jest poczucie nerwowości, nadpobudliwość czy rozdrażnienie, a do takich odczuć w wyniku hałasu przynosiło się aż 75 proc. respondentów ankietowanych przez Centrum Badania Opinii Społecznej. To samo badanie wykazało też, że pojawianie się różnorodnych dolegliwości i schorzeń rzadko kojarzymy z wpływem hałasu – otwarcie na pogarszający się stan zdrowia i samopoczucie ze względu na hałas skarży się tylko 13 proc. Polaków.

Świadomi i nieświadomi są natomiast w szeregach osób cierpiących na bezsenność, a ta jest w Polsce plagą, o której mówili m.in. uczestnicy ubiegłorocznej konferencji z okazji Światowego Dnia Snu zorganizowanej w Warszawie. Jednym z jej uczestników był dr hab. Adam Wichniak z III Kliniki Psychiatrycznej i Ośrodka Medycyny Snu Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, który przypomniał bagatelizowany fakt, że bezsenność zmienia mózg, i przedstawił alarmujące statystyki dotyczące jej występowania. Omawiane przez niego wyniki badań wskazują, że w 1992 r. na problemy ze snem skarżyło się 24 proc. Polaków, w 2005 r. było to 36 proc., a w roku 2012 aż 55 proc. A jak tu się dobrze wysypiać, kiedy miejscem, również według badań CBOS, gdzie hałas doskwiera Polakom szczególnie, jest własny dom?

Takie wskazanie nie jest zaskakujące o tyle, że we własnych mieszkaniach spędzamy statystycznie największą część życia i wszystko, co dolegliwe, właśnie tutaj dokucza nam najdłużej, w tym wszechobecne, całodobowe dźwięki wynikające z ruchu pojazdów, słyszalne w miastach i na wsiach, będące nie tylko rezultatem pracy silników i kontaktu opon z nawierzchnią, ale też składające się z głośniejszej muzyki sączącej się z okien samochodów czy trzaskania drzwiami. Hałasy

Hałas szkodzi także osobom głuchym

FALA DŹWIĘKOWA niesie ze sobą energię i wprawia w wibrację obiekt, w który uderza. Z tego względu mogą jej doświadczać także osoby głuche i niedosłyszące. Powszechnie funkcjonujący stereotyp, jakoby hałas zupełnie im nie przeszkadzał, jest więc pozbawiony podstaw. Osoby niesłyszące od urodzenia, podobnie jak te, które całkowicie

utraciły słuch w późniejszym życiu, tak samo jak wszyscy pozostali ludzie doświadczają drgań i wibracji wywołanych przez dźwięki, prowadzących do bezsenności, a także powodujących dolegliwości fizyczne i psychiczne. Trzeba też pamiętać, że stopień głuchoty może być bardzo zróżnicowany, toteż hałas impulsowy, czyli krótkotrwały,

lecz o dużym ciśnieniu akustycznym, taki jak klakson, odgłos trzaskania drzwiami albo hałasy wiążące się z silnymi wibracjami (np. wózgi wiertarki, warkot silnika bądź hałasy budowlane), mogą być słyszalne i uciążliwe nawet dla tych osób, które nie są w stanie usłyszeć ludzkiej mowy czy wielu innych, cichych dźwięków. © AK

te dołączają w mieszkaniach do dźwięków generowanych przez sąsiadów, te zaś mogą być wszelakie, poczynając od remontów prowadzonych o każdej porze dnia i tygodnia, przez zbyt głośną muzykę, psy ujadające w mieszkaniach pod nieobecność właścicieli czy po prostu hałaśliwy sposób bycia, składający się z wielu głośnych elementów, nieuwzględniający prawa innych mieszkańców do wypoczynku.

Cywilizacyjne wyzwanie

Niepokojąco prezentują się też statystyki mające swe źródło w gabinetach laryngologicznych, które wykazują, że aż 45 proc. Polaków już zniszczyło sobie słuch przebywając w hałasie, a uszkodzenia te u 80 proc. z nich są nieusuwalne, z tendencją do dalszego pogłębiania się. Bardzo zbliżone wnioski przynoszą kolejne edycje prowadzonego od 2011 r. Narodowego Testu Słuchu. Po kraju każdego roku porusza się mobilne laboratorium zwane „Słuchobusem”, w którym ochotnicy poddawani są trwającemu kilkanaście minut badaniu słuchu. Organizatorzy tego badania mówią wprost o tym, że jako naród kompletnie lekceważymy niebezpieczeństwa wynikające z hałasu, straciliśmy nad nim kontrolę, a odsetek osób z niedosłuchem, od czasu pierwszej akcji w 2011 r., wzrósł aż o 10 proc. i z roku na rok obejmuje coraz młodsze osoby. Problemy ze słuchem ma już co trzeci Polak.

Nie jest to oczywiście polska specyfika – w skali całego świata osób niedosłyszanych przybywa tak szybko, że niedosłuch zaczęto zaliczać do chorób cywilizacyjnych. Przez instytucje badawcze zaniepokojone stanem pejzażu akustycznego podnoszona jest także kwestia powiązania pomiędzy wzrostem poziomu hałasu w sąsiedztwie a pogorszeniem wyników w nauce dzieci i młodzieży.

Prestizowe czasopismo medyczne „The Lancet” opublikowało w 2005 r. wyniki najpoważniejszego dotychczas badania na ten temat, przeprowadzonego przez Stephena Stanfelda z Queen Mary University w Londynie i współpracowników na tysiącach dzieci uczęszczających do szkół w pobliżu wielkich lotnisk. Badanie to nie pozostawia wątpliwości co do negatywnego wpływu hałasu na funkcje poznawcze. Im głośniejsze jest dookoła, tym rozwój intelektualny staje się trudniejszy, co wiąże się z tym, że w hałasie przyswojenie ze zrozumieniem jakiegokolwiek lektury

W skali całego świata
**osób niedosłyszanych
przybywa tak szybko,**
że niedosłuch związany
z życiem w hałasie
zaczęto zaliczać do chorób
cywilizacyjnych.

wymagającej choćby minimalnego skupienia i namysłu staje się dla wielu osób niemożliwe. Być może właśnie tutaj kryje się przynajmniej częściowa odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie, nie tylko w Polsce, czytają coraz mniej książek.

Będzie głośniejsz

Najświeższy dokument streszczający wyniki badań nad hałasem w skali europejskiej opublikowała jesienią 2018 r. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), potwierdzając, że jest on jednym z głównych zagrożeń dla zdrowia psychicznego, fizycznego i dobrego samopoczucia w regionie europejskim.

„Zanieczyszczenie hałasem w naszych miastach rośnie, niszcząc życie wielu obywateli Europy. Nadmierny hałas to więcej niż uciążliwość, bo stanowi zagrożenie dla zdrowia, na przykład przyczynia się do chorób układu krążenia. Musimy działać w obrębie wielu źródeł hałasu – od pojazdów silnikowych po głośne kluby nocne i koncerty – aby chronić nasze zdrowie” – to słowa dr Zsuzsanny Jakab, regionalnego dyrektora WHO w Europie.

WHO chciałoby w tej sprawie wpłynąć na prawodawstwo na poziomie lokalnym, krajowym i międzynarodowym, mające chronić społeczności przed szkodliwymi skutkami hałasu. Ale nie tylko – autorzy raportu „Environmental Noise Guidelines for the European Region” z pełną powagą podchodzą także do hałasów generowanych przez osobiste urządzenia elektroniczne, a nawet różnego rodzaju zabawki i gadżety wydzielające dźwięki, mając świadomość, że ze względu na liczebność, stają się one powodem poważnych szkód. Natomiast hałas rekreacyjny, wynikający z działalności pubów i klubów nocnych, zajęć fitness i innych ruchowych ćwiczeń przy muzyce, koncertów i wydarzeń sportowych

na żywo, a także prywatnego słuchania głośnej muzyki, został potraktowany na równi z hałasem wynikającym z ruchu ulicznego pojazdów, przemieszczania się samolotów i pociągów czy pracy turbin wiatrowych, coraz bardziej powszechnych w Europie Zachodniej.

Badania przeprowadzone w celu sporządzenia raportu miały przynieść odpowiedź na pytania, jak ścisły jest związek pomiędzy narażeniem na hałas a występowaniem określonych schorzeń oraz o to, czy istnieją skuteczne sposoby przeciwdziałania negatywnym skutkom hałasu o dających się zmierzyć rezultatach. Wyniki nie zaskakują – badania wykazały powiązania pomiędzy obecnością hałasu a negatywnymi skutkami zdrowotnymi, których skala zależy od „dawek” hałasu, w przypadku doświadczania nadmiernie głośnych dźwięków każdego rodzaju. Raport potwierdza ustalenia naukowców dokonane podczas wielu wcześniejszych badań, że przebywając w hałasie, mamy jak w banku wspomniane już problemy ze słuchem, do całkowitej jego utraty włącznie, zaburzenia snu, osłabienie procesów poznawczych, osłabienie zdrowia psychicznego, psychofizjologiczne reakcje stresowe, zwiększone ryzyko chorób krążenia, w tym wszelkich schorzeń sercowo-naczyniowych.

Co ciekawe, główną przeszkodą w kwestii przeciwdziałania szkodliwości hałasu okazują się... kwestie kulturowe. Wizja całkowitej głuchoty i związanej z nią niepełnosprawności albo zawału serca ze względu na długoletnie przebywanie w hałasie jest dla większości Europejczyków tak odległa i abstrakcyjna, że mimo niepodważalnych dowodów na szkodliwość hałasu nie są skłonni do zmiany stylu życia na cichszy.

© AGNIESZKA KANTARUK

Autorka jest dziennikarką i fotoreporterką. W przeszłości związana z „Dziennikiem Polskim”. Stała współpracowniczką agencji fotograficznej BE&W. Obecnie pracuje nad książką na temat zanieczyszczenia hałasem w Polsce.



AGNIESZKA KANTARUK będzie gościć u Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM w czwartek 28 listopada o godzinie 15.40.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Chemiczna biblioteka

PROF. MARCIN DRĄG, BIOCHEMIK, LAUREAT NAGRODY NAUKOWEJ FNP:

Chcemy stworzyć narzędzie diagnostyczne dla wielu chorób. Cywilizacyjnych, nowotworów, neurodegeneracyjnych i różnego typu infekcji.

MARCIN BÓJKO: Otrzymał Pan nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej za stworzenie nowej platformy technologicznej, umożliwiającej otrzymywanie związków biologicznie aktywnych, w szczególności inhibitorów enzymów proteolitycznych. Co to za platforma i czym są enzymy proteolityczne (proteazy)?

PROF. MARCIN DRĄG: Zaczniemy od proteaz. To białka, które są enzymami. Tych proteaz mamy u ludzi około 600-650. Występują praktycznie w całym naszym organizmie i kontrolują wszystkie procesy życiowe. Dosłownie wszystkie. Jeśli popatrzymy na jakikolwiek proces, jakąkolwiek ścieżkę reakcji w organizmie żywym, to znajdziemy jakąś proteazę. Te proteazy są dla nas użyteczne, ale kiedy zaczynają źle funkcjonować, często prowadzi to do jakiejś choroby. Wtedy my wkraczamy ze swoją technologią. Wykorzystujemy ją, by stworzyć narzędzia chemiczne pozwalające obserwować, co dzieje się z tymi enzymami – czy ich poziom jest wyższy, niższy, czy może są wyłączone, czy może zaczyna się jakieś ich niekontrolowane działanie. Używamy do tego różnych związków chemicznych, m.in. specjalnych markerów, które mogą np. sprawić, że enzym, który się z nim łączy, świeci.

I widzimy to pod mikroskopem?

Tak. Jest mnóstwo metod diagnostycznych, pozwalających wykryć obecność tego markera. Natomiast cała platforma polega na tym, że te proteazy, tnąc białka, tną je na krótkie peptydy składające się z naturalnych aminokwasów. W organizmie człowieka jest ich dwadzieścia. Problemem było to, że kiedy chcieliśmy zrobić marker w oparciu o naturalne aminokwasy, to się to zwykle nie udawało. Takie związki były mało selektywne.

Ja wpadłem na pomysł, aby w poszukiwaniu optymalnych struktur rozszerzyć tę paletę o dziesiątki czy nawet setki aminokwasów wytworzonych w laboratorium.

Bo obrazowo mówiąc, na marker z naturalnymi aminokwasami, oprócz badanej proteazy, rzuciły się także inne proteazy?

Dokładnie tak. I dlatego zaproponowałem, żeby selektywność uzyskać za pomocą aminokwasów nienaturalnych. Zaczęliśmy tworzyć nasze biblioteki. W pierwszych badaniach udało się uzyskać sekwencje aminokwasowe dziesiątki, setki, a nawet tysiące razy lepiej rozpoznawane w porównaniu do tych składających się z naturalnych aminokwasów. Za pomocą tych pierwszych bibliotek zaczęliśmy tworzyć platformę do badania proteaz.

Przeziętnemu człowiekowi biblioteka kojarzy się z księgozbiorem. Jak to jest w przypadku biblioteki chemicznej?

To zbiór uporządkowanych strukturalnie, syntetycznie otrzymanych związków. Trzymamy je w lodówce w temperaturze -80 stopni Celsjusza. Gdy jakaś grupa badawcza przesyła nam proteazę, my wyjmujemy bibliotekę z lodówki, traktu-

jemy przysłanym enzymem i uzyskujemy informacje na temat jego selektywności i aktywności, a następnie na podstawie tego syntetyzujemy optymalną cząsteczkę, która będzie z nim działać. Kolejny etap to dokładniejsze badania biologiczne, zwykle prowadzone przez naszych współpracowników.

Mówiąc obrazowo: tworzycie Państwo cukierki dla proteaz, podrzucacie słodczyce, na które są łase?

Właśnie. Im coś słodsze, tym bardziej się do tego garną. Ale dla nas głównym aspektem była selektywność. Czyli udawało nam się stworzyć struktury niezwykle selektywne i na tym polega sukces metody. To spowodowało zainteresowanie firm i ośrodków badawczych.

Trzymając się metafory cukierkowej: byliście w stanie stworzyć słodczyce, które smakują tylko jednej, konkretnej proteazie?

Dokładnie tak.

No dobrze, proteaza złapała swój cukierek i co dalej? Skąd wiemy, że tyknęła przynętę?

Jak już się ten cukierek przyklei do proteazy, jesteśmy w stanie to wykryć, zarówno za pomocą standardowych metod biochemicznych, jak i za pomocą mikroskopu, bo wiem marker z enzymem tworzą bardzo trwałe wiązanie kowalencyjne. Jeśli marker ma dołączoną grupę fluorescencyjną, to cały taki kompleks się świeci i możemy go wykryć.

A do czego może przydać się takie wykrywanie proteaz na życzenie?

W tej ścieżce badawczej współpracujemy z firmami, które chcą mieć bardzo selektywne markery. Takie badania są bardzo pożądane, bo możemy obserwować aktywność jakiegoś enzymu, dzięki czemu możemy zbadać, w jakie procesy chorobowe jest zaangażowany.

Przykładem takiego enzymu znanego już wiele lat, a który służy do takiej detekcji, jest kalikreina-3.



Jeżeli wykryjemy ją we krwi, to możemy powiedzieć, że u pacjenta rozwija się rak prostaty. My w badaniach poszukujemy tego typu związków. A coraz więcej badań mówi, że nie jeden enzym, lecz wiele naraz jest w stanie dać informacje na temat jakiejś choroby. I jeżeli mamy wiele takich proteaz, to trzeba zastosować wieloparametryczną analizę pozwalającą na ich równoległe mierzenie w jednej próbce w tym samym czasie. By móc to robić, niedawno stworzyliśmy całą technologię od podstaw, udało nam się stworzyć cztery markery świecące różnymi kolorami do obrazowania czterech enzymów w neutrofilach (rodzaju białych krwinek).

Wykorzystując to podejście, we współpracy z Uniwersytetem Medycznym w Łodzi, z grupą prof. Wojciecha Młynarskiego staramy się zrobić test, który na podstawie analizy krwi pozwoli sprawdzić, czy dziecko choruje na neutropenię, która objawia się dysfunkcją neutrofilów.

Chodzi o badania konkretnego pacjenta, czy badania przesiewowe?

Na razie mówimy o pojedynczych przypadkach, gdy podejrzewana jest konkretna choroba. Ale myśleliśmy również o tym, żeby była to metoda przesiewowa, bowiem zrobienie tych markerów na skalę przemysłową jest tanie. Nieporównywalnie tańsze od innych technologii.

Natomiast kolejnym poziomem zaawansowania w badaniach diagnostycznych jest tzw. cytometria masowa. To najnowocześniejsza obecnie metoda. By ją rozwijać w oparciu o naszą technologię, kupiliśmy ostatnio cytometr masowy do mojego laboratorium – jest to na razie jedyny aparat w Polsce. W oparciu o tę metodę możemy mierzyć więcej niż cztery enzymy – na tyle mniej więcej pozwalała wcześniejsza technologia; teraz możemy mierzyć nawet około 40 enzymów w tym samym czasie, a teoretycznie można monitorować nawet około 120-130 niezależnych parametrów diagnostycznych.

Przygotowanie markerów do takiej diagnostyki jest kosztowne?

Cytometr kosztuje milion dolarów. Natomiast jeśli chodzi o same markery, to obecnie stosowane przeciwciała są niebotycznie drogie. To, co my robimy, jest kilka rzędów tańsze. Więc będziemy totalnie konkurencyjni. A najważniejszą zaletą, którą wciąż podkreślam, jest selektywność. Jak dodamy do badanej próbki



M. WIŚNIEWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. MARCIN DRĄG pracuje na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Jest autorem ponad stu publikacji w prestiżowych czasopiśmie naukowych, m.in. z grupy „Nature”, oraz dziewięciu patentów. W listopadzie br. otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w obszarze nauk chemicznych.

„koktajl” markerów zrobionych według naszej technologii, mamy pewność, że jeden marker będzie reagował tylko z jedną proteazą.

Jak szybka jest ta metoda? Można ją stosować jako badanie śródoperacyjne w celu rozpoznawania na przykład komórek rakowych?

To zależy, jak szybko będzie przygotowana próbka, ale tak, myślę, że można będzie nawet stosować ją śródoperacyjnie. Niemniej jeśli chodzi o zastosowanie w operacjach, to jest jeszcze jeden bardzo intensywnie rozwijany sposób obrazowania. Specjalizuje się w tym grupa Matthew Bogoy na Stanford University, z którą od wielu lat współpracujemy. Oni przed operacją podają marker, który świeci po reakcji z enzymami w komórkach nowotworowych. Powoduje to, iż taki nowotwór się świeci w czasie operacji, co pozwala na jego selektywne wycięcie. Na Stanford prowadzone są już testy na myszach i świniach z wykorzystaniem tej technologii.

Jakich osiągnięć można się spodziewać po Pańskich badaniach?

Nas interesuje stworzenie diagnostyki dla chorób, w tym cywilizacyjnych.

Nowotwory, choroby neurodegeneracyjne – alzheimer, parkinson, choć interesują nas też różnego typu infekcje. Pracujemy na enzymach z wirusów całkowicie obcych w Polsce, ale ważnych na świecie, jak denga, MERS, SARS czy Zika. Badamy też proteazy od pasożytów, by można było szybko diagnozować zakażenia, jak choćby malarię. Analizujemy naszą metodą te ważne medycznie proteazy i jeżeli jesteśmy w stanie stworzyć superselektywne narzędzie do ich badania, to możemy je wykorzystać do badania danej choroby. Moim dalekosiężnym celem jest stworzenie platformy diagnostycznej, czyli kompozycji wielu markerów do równoległego obrazowania.

Można powiedzieć, że jesteście liderem światowej nauki?

W tej technologii, którą tu dysponujemy, z pewnością jesteśmy. Sprawia ona, iż praktycznie każdy, kto ma ciekawy enzym, chce z nami współpracować. Gdy jadę na jakąś konferencję, zwykle kilkanaście osób podchodzi i mówi, że mają interesujące enzymy do zbadania albo że chcieliby, żeby była zrobiona jakaś nowa biblioteka oparta na naszej technologii. Współpracujemy z ponad trzydziestoma grupami akademickimi na świecie. Co chwilę dochodzi ktoś nowy. To przyjemna rola, bo można powiedzieć, iż jesteśmy monopolistą. Dwa lata temu opublikowaliśmy pełny protokół wykorzystania naszej technologii w „Nature Protocols”. Ostatnio spotkałem osobę z doskonałej grupy badawczej z Wielkiej Brytanii, która powiedziała mi, że stworzyli bibliotekę według naszego przepisu i to im rewelacyjnie działa. Gdy nasze badania zaczynają naśladować najlepsze grupy badawcze, jest to dodatkowy komplement pod adresem naszej pracy.

© Rozmawiał MARCIN BÓJKO

NAGRODY FUNDACJI NA RZECZ NAUKI

POLSKIEJ, zwane zwyczajowo „polskim Noblem”, zostały w tym roku przyznane po raz dwudziesty ósmy. Ich laureatami, obok prof. Drąga, zostali także prof. Andrzej Kossakowski (w obszarze nauk matematyczno-fizycznych) i prof. Andrzej Wiśniewski (w obszarze nauk humanistycznych i społecznych). W kolejnych numerach opublikujemy rozmowy z pozostałymi laureatami.



CZUCIE PRZECIW PRAWDZIE

Oparcie polityki na afektach umożliwia głosowanie nie tylko w oderwaniu od własnych interesów, ale wręcz w jaskrawej sprzeczności z nimi.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Prof. Michał Paweł Markowski podpisuje swoją książkę „Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu”. Festiwal Conrada, Kraków, październik 2019 r.

ROBERT ŚLUSZNIK / KBF

ZACZYNA SIĘ TO WSZYSTKO W NIEWIELKiej sali seminaryjnej, na kursie SLAV 224. Przedmioty na amerykańskich uniwersytetach tak śmiesznie się nazywają. Zawsze zaczyna się od kodu. Numer 101 zwykle zarezerwowany jest dla kursów podstawowych – zajęć dla początkujących, które wprowadzają w dany temat. SOC 101 to będzie wprowadzenie do socjologii i tak dalej.

No więc SLAV 224, czyli „Wprowadzenie do analizy literackiej” na University of Illinois w Chicago, od dziesięciu lat prowadzi nie kto inny jak Michał Paweł Markowski. Doskonale znany czytelnikom „Tygodnika Powszechnego” autor, dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada i autor wydanej właśnie książki „Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu”, o której będzie tu mowa.

SLAV 224 to przedmiot obowiązujący dla każdego, kto chce uzyskać dyplom w zakresie literatury słowiańskiej. Jego celem jest zapoznanie uczestników z warsztatem analizy literackiej i ustalenie podstawowych reguł czytania. Wspólnego czytania, dodajmy od razu. Trochę jak sytuacja, którą pewnie wszyscy pamiętamy ze szkoły, niezależnie od tego, jak później potoczyły się nasze edukacyjne i zawodowe losy. Polonistka przy tablicy, przed nami wiersz Mickiewicza albo fragment prozy Schulza. „O czym to jest?” Albo gorzej: „Co autor miał na myśli?”. To właśnie podczas takiego, mało emocjonującego na pozór seminarium doszło do wydarzenia, które doskonale ilustruje, o czym jest nowa książka Markowskiego. Albo raczej: po co jest, do czego służy.

Przy tablicy sam profesor Markowski. Przed studentami opowiadanie „Wśród zwierząt i roślin” Andrieja Płatonowa w angielskim przekładzie. Do odpowiedzi zgłasza się studentka – Kamila. I mówi tak: „Uważam, że bardzo ważny dla utworu jest następujący fragment...”. Po czym przytacza akapit dotyczący zabitych królików i ptaków, które budziły współczucie bohatera. Markowski, zaciekawiony, pyta: „A czemu to ważne?”. Na co Kamila odpowiada: „Bo tu chodzi o harmonię natury, którą człowiek niszczy, a bohater bierze w tym udział”. No to Markowski pyta, gdzie w reszcie tekstu znaleźć można potwierdzenie, że Płatonow tak właśnie myśli o relacji przyrody z człowiekiem. Bo tak się składa, że

przez całe opowiadanie bohater myśli, mową i działaniem stoi wyraźnie po stronie podporządkowania natury „uniwersalnemu rozumowi”, który stanowi logikę komunizmu. Kamila nie poddaje się: „To nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze jest to, że człowiek wdzierza się w naturę i niszczy jej harmonię, co zasługuje na naganę”. „Ale według Płatonowa natura nie ma w sobie żadnych cech, które powinniśmy celebrować” – polemizuje Markowski, przytaczając kolejne fragmenty tekstu. „Nic mnie nie obchodzi, co sobie autor wyobraża, pytał mnie pan o opinię, więc ją panu przedstawiam, a jak się to panu nie podoba, to trudno, bo taka właśnie jest m o j a opinia” – słyszy w odpowiedzi.

Otóż cała sztuka interpretacji polega właśnie na odejściu od m o j e j opinii, od tego, co j a czuję, co m i się wydaje, i zbudowaniu takiego odczytania tekstu, które ma charakter intersubiektywny. Innymi słowy: interpretacja jest nie tyle umiejętnością przeżywania tekstu, ile właśnie wyjaśniania go, co w praktyce oznacza przekonywanie innych.

Wobec swych odczuć na temat tekstu, tego, co on dla nas znaczy, co w nim jest dla nas ważne, pozostaniemy zawsze albo samotni, albo związani jedynie plemienną więzią opartą na emocjach. Kiedy jednak ze świata własnych przeżyć i wartości wyjdziemy ku tekstowi, w poszukiwaniu tego, co w sposób zewnętrzny potwierdza nasze twierdzenia, otwieramy przestrzeń do porozumienia się z innymi. Przekonania ich do naszych racji lub uznania własnego błędu.

Polityka sensu

Nowa książka Markowskiego w całości zbudowana jest na tym fundamentalnym doświadczeniu zderzenia z moją cudzych odczuć. Stanowi próbę wyjścia z tej pułapki. Nie, nie jest to rzecz o Płatonowie ani o literaturze w ogóle. A jednak jest o interpretacji. Bo dla Markowskiego sztuką interpretacji powinna stać się polityka. Dlatego z uniwersyteckiej sali przeniesmy się szybko do telewizyjnego studia, żeby posłuchać jeszcze raz tej samej rozmowy.

Republikanin Newt Gingrich opowiada dziennikarce CNN Alisyn Camero- cie o fali przestępczości rzekomo zalewającej USA. Camerota, odwołując się do powszechnie dostępnych danych, mówi: ale przecież przestępczość maleje. Gingrich →

→ mówi: rośnie. Camerota: „W skali kraju przestępczość maleje”. Gingrich: „Przeciętny Amerykanin, idę dziś o zakład, nie uważa, że przestępczość zmalała, nie uważa, że jest bezpieczniej”. Camerota: „Ale jest bezpieczniej. I maleje”. Gingrich: „Nie, to tylko twój pogląd”. Camerota: „To fakt”. I przytacza konkretne liczby, które wyraźnie potwierdzają, że przestępczość maleje. Gingrich: „To, co powiedziałem, jest równie prawdziwe. Ludzie to czują”. Camerota: „Czują, owszem, ale fakty tego nie potwierdzają”. Gingrich: „Jako kandydat polityczny będę za tym, co ludzie czują, a ty sobie zostań z teoretykami”. Kurtyna.

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie...”. Tak się dziś robi zwycięską politykę. Jak do tego doszło? Otóż źródłem problemu – jak przekonująco pokazuje Markowski – jest gloryfikacja wartości i wizji jednostki jako czującego, przeżywającego indywiduum. Wartości są stałe, niezmiennie, są drogowskazami. Polityka albo jest polityką wartości, albo jest czymś brudnym, oszustwem, które toczy się gdzieś w oderwaniu od tego, co ważne („Nie róbmy polityki, budujmy mosty”). Tymczasem Markowski rozumie politykę zgodnie z tym, o czym pisała Hannah Arendt – jako sztukę bycia razem, ustalania reguł obowiązujących w przestrzeni wspólnej, a przede wszystkim – przekonywania innych.

To może zabrzmieć dziwnie. Może nawet złowrogo i cynicznie. Jesteśmy wszak wychowani w szacunku dla wartości. Ale polityka zbudowana na wartościach to ślepy zaułek. To polityka, w której nikogo nie można do czegośkolwiek przekonać. Można zastraszyć, zauroczyć, uwieść. Można głośniej krzyczeć, że to opowiadanie jest o cierpieniu zajączków albo że musimy obniżyć podatki, bo wolność jest najważniejsza. Ale nie można przekonać, że tak właśnie jest, bez wyjścia poza wartości, ku tekstowi, który wspólnie mamy przed oczami. Tym tekstem poza seminaryjną salą na uniwersytecie jest oczywiście sama rzeczywistość.

„Prawda nie jest kwestią objawienia ani wiary, lecz społecznego uznania: dopóki nie będziemy tak o niej myśleli, żadna rzecz wspólna w naszym świecie się nie zjawi – wyjaśnia autor. – Ale żeby negocjować warunki wspólnego życia, trzeba posiadać pewną szczególną umiejętność, niezbędną do funkcjonowania

Polityka zbudowana na wartościach to ślepy zaułek.

To polityka, w której nikogo nie można do czegośkolwiek przekonać.

w świecie współczesnym. Umiejętnością tą jest interpretacja”.

Interpretacja to – tak jak w przypadku SLAV 224 – technika, metoda dochodzenia do prawdy samego tekstu, a nie wsłuchiwanie się w uczucia, które tenże w nas wywołuje. „Ponieważ szukanie sensu różni się zasadniczo od wyrażania siebie. Można w wyrażaniu siebie widzieć sens własnej egzystencji, ale tu właśnie droga indywiduum i droga społecznego porozumienia zdecydowanie się rozchodzą. Na tym właśnie polega nowoczesna niewygodna, że nie dostrzega się różnicy między interpretacją i opinią, między argumentacją a wiarą”.

Oto nasz problem. Za dużo polityki wiary i wartości, za mało polityki sensu i interpretacji.

Wojny kulturowe

Polityka bazująca na wartościach i opiniach, na tym, co czujemy i co jest dla nas ważne, w coraz mniejszym stopniu opiera się na uzgadnianiu stanowisk, w coraz większym zaś na ich różnicowaniu. Nie chodzi o to, by dogadać się z oponentami, by ich do swoich racji przekonać, lecz by przygnieść ich ciężarem swej żarliwości.

W ten sposób rodzą się wojny kulturowe, które Markowski opisuje na licznych przykładach, zarówno z Polski, jak i z USA. „Zamiast poprawy warunków życia najuboższych, wybraliśmy politykę tożsamości, która jest polityką tworzenia i podkreślania różnicy. Utrzymanie tożsamości jest ważniejsze niż rzeczpospolita”.

Trump świetnie zrozumiał, wyjaśnia Markowski, „że walka ideologiczna nie toczy się na idee, ale na słowa. (...) Rozpoznał też szybko, że polityka daje najlepsze rezultaty nie wtedy, gdy polega na robieniu czegoś (...), lecz na definiowaniu rzeczywistości »na naszych warunkach« i kontrolowaniu narracji, jaką chce się narzucić swoim przeciwnikom i umocować

głębiej w umysłach własnych zwolenników”.

Podobne mechanizmy nietrudno zauważyć i u nas. Ozdobą nowej książki Markowskiego jest między innymi błyskotliwa interpretacja wiersza Jarosława Marka Rymkiewicza „Do Jarosława Kaczyńskiego”. Gwoli przypomnienia, to ten o dwóch Polskach, z których jedna „chce się podobać w świecie”, a drugą „wiozą na lawecie”. Markowski pokazuje, jak Rymkiewicz zderza ze sobą kulturę (świat tradycji i duchowych wartości) z „projektem cywilizacyjnym” modernistów, czyniąc w gruncie rzeczy historię i współczesność Polski areną wszechogarniającego, metafizycznego starcia dobra ze złem: „Umieszczenie źródeł konfliktu politycznego w sferze wiecznych wartości i antywartości to manewr, który w gruncie rzeczy eliminuje ludzką sprawczość, sprowadzając ją jedynie do roli odtworzenia »świętego wzoru«”.

Od słów do czynów

No dobrze, spyta ktoś może. Ale to wszystko jest głównie o tym, co politycy mówią. A co z rzeczywistymi zmianami? Z poprawą warunków życia? Przywróceniem godności? Wstawaniem z kolan i czynieniem Ameryki na powrót wielką?

Otóż tak się składa, że polityka ideologicznego sporu kompletnie odrywa się od rzeczywistych działań. Badania pokazują, że tam, gdzie wyborcy się wzbogacili, spadło poparcie dla Trumpa. Dlatego Trump wcale nie chce, żeby jego wyborcy się wzbogacili. To proste.

I w drugą stronę: oparcie polityki na afektach umożliwia głosowanie nie tylko w oderwaniu od własnych interesów, ale wręcz w jaskrawej sprzeczności z nimi. Jak przypomina Markowski, w ostatnich amerykańskich wyborach prezydenckich biali wyborcy bez wykształcenia popierali Trumpa, choć ten otwarcie zapowiadał, że pozbawi ich zabezpieczeń społecznych. Cały szkopał w tym, że zabezpieczenia te zawdzięczał zniechęconemu Obamie. Głosowali więc nie po to, by osiągnąć jakąś korzyść, lecz dlatego, by uzyskać satysfakcję emocjonalną i moralną: „Ale im pokazaliśmy!”.

Podobnie jest w Polsce, przekonuje autor „Wojny nowoczesnych plemion”: „Świadczenia socjalne PiS-u dla najuboższych mają znaczenie symboliczne (jak każda zapomoga), nie strukturalne, gdyż te drugie wyniosłyby elektorat PiS-u na

poziom dobrobytu, na którym kwestia narodowa ma znaczenie minimalne". Ma to sens, albowiem jak pokazują liczne badania, zaciskanie pasa i poczucie kryzysu znacznie korzystniej wpływa na poczucie narodowej więzi niż rosnący dobrobyt.

Stąd, jak pisze Markowski, tym razem w kontekście USA, logika populizmu jest wręcz antypaństwową. Im gorszy prezydent – tym lepszy, bo pokazuje wyraźnie, że rząd nie rozwiąże twoich problemów. Trump całą kampanię przekonywał, że państwo jest słabe i z niczym sobie nie radzi? Nic bardziej wiarygodnego niż po zwycięstwie udowodnić, że to najprawdziwsza prawda.

Tułacze

Skaczę tak w tym tekście przez Atlantyk, ale to nie moja wina, bo podobnie skacze Markowski. Ma to jednak uzasadnienie głębsze niż tylko biografia autora.

Po pierwsze, tułacz jest tym, kto widzi więcej, inaczej. Wyrwanie z własnego kręgu symboli, przekonań i rozpoznawanych w lot nawiązań literackich sprawia, że otaczająca nas rzeczywistość staje się mniej oczywista, mniej przezroczysta. To idealny punkt wyjścia dla interpretatora. To nie przypadek, że figura europejskiego intelektualisty wyjeżdżającego do USA i zadziwiającego się tą „swojską obcością” przewija się na kartach socjologii i filozofii XX wieku nieustannie. Markowski wprost zresztą do tego statusu w swojej książce nawiązuje.

Po drugie, Ameryka to dla Markowskiego kraj zderzeń. Wprowadzone przez Stanleya Fisha pojęcie „wspólnot interpretacyjnych” nie zajęło wprawdzie istotnego miejsca w stworzonym przez Markowskiego słowniku, ale spokojnie mogłoby. University of Illinois w Chicago, gdzie co roku powtarza się misterium SLAV 224, to wręcz amerykański tygiel kulturowy w miniaturze. Ze względu

Zaciskanie pasa i poczucie kryzysu

znacznie korzystniej wpływa na poczucie narodowej więzi niż rosnący dobrobyt.

na stosunkowo niskie czesne wśród studentów są tu imigranci z całego świata, a także liczniejsi niż na droższych uniwersytetach przedstawiciele czarnej mniejszości w USA. Trudno o lepsze laboratorium do prowadzenia rozważań o tym, jak zderzać i uzgadniać inność, jak szukać przestrzeni dla tego, co w ogóle możliwe jest do uzgodnienia.

Po trzecie wreszcie, wszyscy żyjemy dziś do pewnego stopnia w Ameryce. Polityka i kultura amerykańska jest u Markowskiego nie tylko materiałem do równoległego dla Polski studium przypadku. Jest także – przy uznaniu całej jej wyjątkowości – wyznacznikiem światowych trendów.

Dobre rady

Markowski: „Prawdziwe jest to, co można potwierdzić, dostarczając jakiś dowód. (...) Natomiast w przypadku przekonań nie muszę wcale niczego dowodzić ani niczego przedkładać, nie muszę starać się, by ktokolwiek w moje przekonanie uwierzył. (...) Przekonania są nasze, prawdy nie. A dokładniej: nie są wyłącznie nasze. Roszczenie do prawdy zakłada możliwość zgody, przekonanie nie rości sobie do niczego pretensji i nikt nie musi się z moim przekonaniem zgodzić, bo ja wcale nikogo nie czynię zakładnikiem mojego przekonania”.

Oddzielić prawdy od przekonań. Uprawić politykę opartą na prawdach, nie na

przekonaniach. Jej narzędziem jest właśnie interpretacja – sztuka rozsądzania sporów w oparciu o to, co zewnętrzne wobec spierających się. Oto i manifest polityczny Markowskiego. Swoiste INTER 101 – wprowadzenie do interpretacji w przestrzeni publicznej.

Powiedzieć łatwo. Trudniej zrobić. W książce znajdziemy mnóstwo celnych interpretacji i pogłębionych diagnoz. Ale jak konkretnie wprowadzać w życie politykę opartą na wspólnym poszukiwaniu sensu? Jak zmieniać sferę publiczną tak, by ważniejsze było w niej „inter” – to, co pomiędzy ludźmi, co ich łączy, pozwala im się spotkać, choćby i zderzyć?

Tego się już z „Wojny nowoczesnych plemion” nie dowiemy. To zadanie dla kolejnych autorów – uczonych, publicystów, działaczy społecznych, polityków. Bo książkę Markowskiego warto potraktować nie jako ostateczną prawdę (sfera celebrowania wartości), lecz właśnie jako punkt wyjścia (sfera poszukiwania sensu). To podglebie, na którym może wyrosnąć coś naprawdę ciekawego. Bo interpretacja nie jest ani lewicowa, ani prawicowa. Nie jest konserwatywna ani liberalna. Przeciwnie. Pozwala stworzyć przestrzeń publiczną, w której te etykiety mają nie tylko wartość, lecz także sens.

Dlatego INTER 101 z czystym sumieniem polecam wszystkim współstudentom na niezbyt drogim, lecz mało zróżnicowanym etnicznie uniwersytecie, który nazywa się Polska. A po ukończeniu tego kursu niewątpliwie pora na kolejne zajęcia, rozszerzające i pogłębiające temat, przenoszące go w sferę praktyki. Tylko kto je poprowadzi?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Michał Paweł Markowski,
WOJNY NOWOCZESNYCH PLEMION. SPÓR O RZECZYWISTOŚĆ W EPOCE POPULIZMU,
Karakter, Kraków 2019.

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

OLSZTYN

▪ piątek, 6 grudnia, godz. 17.00

„Hospicjum w centrum życia”. Gośćmi będą: Katarzyna Jabłońska, prof. Krystyna de Walden-Gatuszko, dr Elżbieta Szwatkiewicz, ks. Paweł Zięba. Miejsce: WBP, sala konferencyjna 3 (ul. 1 Maja 5).

ZIELONA GÓRA,

▪ wtorek, 3 grudnia, godz. 19.00

„Obraz osoby i narodu oczami Edyty Stein”. Miejsce: parafia pw. św. Józefa Oblubieńca. Spotkanie poprzedzi msza św. o godz. 18.30.

Sto lat samotności

DARIUSZ KOSIŃSKI

Złośliwi mówili o nich „klasztorek”, „zakon”, „szkółka”, a niektórzy – „seкта”. Historycy teatru po latach pisali: pierwsze polskie laboratorium teatralne. Reduta powstała sto lat temu.

N AJCZĘŚCIEJ DEFINIUJĘ REDUTĘ JAKO „zespół teatralny”, zaraz jednak dodając, że nie tylko zespół ludzi, którzy pracują nad kolejnymi przedstawieniami, ale także zespół idei, programów i przedsięwzięć o dalekim i wysokim zasięgu. Powołał go do życia niezwykle duet: gwiazdor, a może nawet (w dzisiejszych kategoriach) celebryta, Juliusz Osterwa, oraz mistyk teatru, a z wykształcenia i profesji geolog, Mieczysław Limanowski.

Spotkali się w czasie I wojny w Moskwie, gdzie ten drugi przesiadywał na próbach w Studiu Teatru Artystycznego i przedstawił pierwszego jego legendarnemu liderowi Konstantemu Stanisławskiemu. Wbrew powtarzanym przez dziesięciolecia powierzchownym oskarżeniom, Reduta nie była kopią Moskiewskiego Teatru Artystycznego, który założył Stanisławski. Choć rozpoczynała jako kameralna scena realistyczna, „przeżywanie” rozumiała inaczej niż system Stanisławskiego, a przede wszystkim – inne miała cele. Realizm był dla niej tylko etapem wstępnym, „szkołą elementarną”, po której przejściu miała nastąpić (i wbrew oskarżeniom – nastąpiła) praca właściwa – wiodąca do spełnienia wizji zapisanych w scenariuszach stworzonych dla jednostek i zbiorowości przez największe postacie polskiej kultury: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Norwida i Stanisława Wyspiańskiego.

Przeciwko Teatrowi Rozmaitości

Limanowski i Osterwa wierzyli nieugięcie, że może to nastąpić jedynie poprzez pracę nad indywidualnym i zbiorowym życiem duchowym i społecznym, którego istotną częścią stać się miały przeżycia teatralne, działające zarówno na planie „wertykalnym” – metafizycznym, jak i „horyzontalnym” – społecznym i politycznym.

Reduta powstała z rozczarowania i potrzeby zmiany. Przez dziesięciolecia zaborów polska kultura działająca bez wsparcia własnego państwa, w warunkach opresji i cenzury, często na wygnaniu, wypracowała całe bogactwo nie tylko nowych form artystycznych, ale nowej antropologii, metafizyki i polityki. Wielka część tej pracy dokonała się w formach teatralnych. Na dobre i na złe – to teatr wytworzył scenariusze wielkich przedstawień, które Polacy mieli odegrać na scenach własnych biografii i tworzonej przez siebie historii. Możemy uznawać to za rodzaj obciążenia, a nawet przekleństwa, ale odkąd Adam Mickiewicz napisał „Dziady”, polski teatr jest nieodwołalnie czymś innym niż miejscem miłego spędzania wieczoru.

Można było oczywiście uznać (i wielu tak z ulgą czyniło), że odzyskanie własnego państwa w 1918 r. to powrót do tak dziś hołubionej „normalności”. Jednak dla pewnej najbardziej twórczej grupy ludzi polskiego teatru było to niemożliwe, bo oznaczałoby trwanie świata Rozmaitości. Taką nazwę po stłumieniu powstania listopadowego nadali rosyjscy zaborcy dawnemu Teatrowi Narodowemu, który właśnie jako Rozmaitości osiągnął prawdziwą wielkość w produkowaniu i graniu „sztuk dobrze skrojonych”, zapewniających widzom zastępcze uniesienia, kończące się nieodmiennie umocnieniem obowiązującego porządku.

Jestem jak najdalszy od ich lekceważenia. Artyści Rozmaitości byli mistrzami w swojej sztuce i jest rzeczą smutną, że polski teatr przekreślił ich tradycję nawet tam, gdzie (jak w przypadku stylu Fredrowskiego) powinien robić wszystko dla jej zachowania. Ale Rozmaitości były wykwittem określonej epoki i określonych warunków. Podtrzymywanie ich niezmiennego istnienia po roku 1918 było nie tylko anachronizmem, ale wręcz drwiną wobec wyzwań, jakie stały przed

polskim teatrem mającym wreszcie możliwość pracy nad kształtem sceny narodowej.

Jest jakaś logika w tym, że właśnie od dyrektora działającego wciąż pod dawną nazwą Rozmaitości Jana Lorentowicza otrzymał Juliusz Osterwa zgodę na pracę z zespołem młodych ludzi zgromadzonych wcześniej wokół Limanowskiego. Jest też jakaś logika (choć może okrutna) w tym, że jeszcze przed oficjalną inauguracją Reduty, 2 listopada 1919 r. sala Rozmaitości spłonęła, a zespół Osterwy jako jedyny pozostał w gmachu przy placu Teatralnym, w ocalałych bez szwanku Salach Redutowych, od których częściowo wywodził swoją nazwę. I wreszcie jest jakaś wyższa logika i sprawiedliwość w tym, że gdy po odbudowie i remoncie budynek znowu otwarto, nie wrócono już do nazwy Rozmaitości, ale przyjęto dawną – Teatr Narodowy, zaś jego dyrektorem uczyniono Juliusza Osterwę.

29 listopada w 1919 r. przypadał w sobotę. Idealny dzień na premierę. Tego dnia w Warszawie stało się jednak coś więcej. Na publicznej scenie polskiej kultury pojawiła się Reduta.

Takie są moje obyczaje

Ech, pięknie jest opowiadać legendy o „wyższej logice” ... Szkoda tylko, że ciąg dalszy nie jest równie chwalebny. Dyrekcja Osterwy w Narodowym nie spełniła oczekiwań, a doprowadziła do zaniedbania Reduty, która zwiedziona obietnicami władz dała się namówić na wyjazd do Wilna. Po pięciu latach ogromnych wysiłków i równie wielkich błędów zespół praktycznie przestał istnieć.

Dzięki nieugiętości i uporowi Osterwy po rocznej przerwie wznowiono w Warszawie działalność Instytutu Reduty – studia i szkoły skupionej na pracy wewnętrznej. Reduta nadal też działała jako teatr, ale już nie stały i repertuarowy, lecz objazdowy i szkolny. Pierwszy, w ramach kontynuacji działalności rozpoczętej jeszcze w Wilnie, objeżdżał cały kraj ze specjalnie przygotowanymi przedstawieniami, odwiedzając setki miast i miasteczek. Drugi pracował nad przedstawieniami dla dzieci i młodzieży, wykorzystując nowatorskie wówczas koncepcje, które dziś rozwija pedagogika teatru.

To właśnie wtedy, w latach 30. ubiegłego stulecia, Reduta stworzyła swoje najważniejsze i najtrwalsze, choć niespektakularne, osiągnięcia, zachowu-



Juliusz Osterwa jako Przełęcki w jednej ze scen przedstawienia „Uciekla mi przepióreczka”, Kraków, październik 1929 r.

jące wagę do dziś, zarówno w wymiarze – by tak rzec – ezoterycznym (wewnętrzna praktyka i myśl Limanowskiego i Osterwy były jedną z najważniejszych inspiracji dla Jerzego Grotowskiego i różnorodnych form poszukiwań teatralno-kulturowych), jak i egzoterycznym. Każdy zespół ruszający na teatralną wędrowkę po kraju, od Teatru Ziemi Mazowieckiej, przez Gardzienice po uczestników programu „Teatr Polska”, idzie śladami Reduty. To ona także jest wzorem dla wszystkich, którzy myślą o teatrze nie jako o „zakładzie produkcyjnym”, ale jako o „domu kultury” ściśle związanym ze społecznością, dla której pracuje.

Wpływy artystyczne to jedno, ale wielkim osiągnięciem Reduty było też zbudowanie środowiska czy wręcz – formacji

ludzi zaangażowanych w życie zbiorowe, dla których kultura nie była ani narodowym prozakiem, ani narzędziem doraźnej polityki czy głaskania elektoratu, ani miłym, a niekoniecznym dodatkiem do „poważnych” działań w sferze ekonomii, wojska i socjotechniki. Ludzie ci, choć niekiedy byli bardzo krytyczni wobec Osterwy i Limanowskiego, nie podzielali ich idei czy gustów, a czasem wprost sprzeciwiali się niektórym decyzjom i odchodzili z zespołu, naznaczeni byli swoistym piętnem „reduutowości”, która nie dotyczyła tylko, a nawet nie przede wszystkim – teatru.

Obok wierności określonym zasadom etycznym, wartościom i ideom, „reduutowość” oznaczała poczucie współodpowiedzialności za pewien dalekosiężny plan,

który należało realizować w miarę możliwości na różne nadarzające się sposoby i w różnych miejscach. Stanowiła rodzaj ideału osobowego: świadomego współtwórcy wspólnoty kulturowej, tworzonej organicznie i od podstaw, przy zachowaniu celów tak „wysokich”, że aż „niebotycznych”. Opisać ją precyzyjnie trudno, bo istniała w działaniu, a nie w deklaracjach. Być może dlatego jej najpełniejszym przykładem (także ze względu na złożoność, a nawet – wewnętrzne sprzeczności i napięcia) jest ukochana postać dramatyczna Osterwy – docent Edward Przełęcki z dramatu Stefana Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka”. To właśnie ten czarui i bawidamek, pozytywista i pragmatyk realizujący dalekosiężny plan powszechnej edukacji i rozwoju regionalnego, na poziomie wręcz trywialnej miłosnej awantury, tak świetnie znanej bywalcom Rozmaitości, rozgrywa ukrycie wzniosły, romantyczny z ducha dramat samopoświęcenia. Osterwa wierzył niezłomnie, że grając go zmieniał pozateatralną rzeczywistość.

Powrót Cichosza

W 1992 r. Ireneusz Guszpit wydał tomik „Z zapisków”, zawierający wypisy z legendarnych raptularzy Osterwy. Tak się złożyło, że kilka lat później poznałem Ireneusza w drodze do Gardzienic i zgadaliśmy się, że trzeba wydać powiększony wybór zapisków. Zrobiliśmy to w roku 2004, nadając tomowi dumny tytuł „Przez teatr – poza teatr”. Potem jeszcze wspólnie wydaliśmy tom Osterwowych parafraz i zaczęliśmy opracowywać kolejne rękopisy, myśląc o ich publikacji. Irek ogłosił słynny „Raptularz kijowski”, który ukazał się w 2010 r. nakładem Instytutu im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu. Byłem już wtedy tegoż Instytutu wicedyrektorem. Nie pamiętam dziś, czy to przy okazji promocji tej książki, czy nieco wcześniejszej konferencji „Zdobycie Reduty” ogłosiłem dumny projekt „Reducie na stulecie”, deklarując, że odtąd Instytut Grotowskiego będzie realizował i koordynował działania, które mają sprawić, by jubileusz zespołu Osterwy i Limanowskiego stał się wielkim świętem polskiej kultury i zarazem wieńczył proces powrotu Reduty, o którym z wiarą pisałem na łamach „Tygodnika Powszechnego” („Żywe słowo”, „TP” 19/2007).

Naprawdę nie wydaje mi się, żebym był wtedy naiwny. Dookoła Reduty działało się →

→ dużo. W roku 2003 Zbigniew Osiński wydał monumentalną „Pamięć Reduty”. Ta ceniona i głośna książka wieńczyła wieloletnie starania nieżyjącego już niestety badacza o przywrócenie owej tytułowej pamięci, w tym szczególnie znaczenia i wartości myśli, pism i czynów Mieczysława Limanowskiego. Zbyszek popierał moje Redutowe pomysły i naprawdę wydawało się, że „Reducie na stulecie” przyciągamy wiele wspaniałych darów.

Tak się jednak nie stało. Już pierwsze pytania o możliwość ogłoszenia roku 2019 Rokiem Reduty (co wydawało mi się wręcz oczywiste) przyniosły rozczarowanie. „To będzie rok Moniuszki i nikogo więcej” – usłyszałem od wysokiego urzędnika Ministerstwa Kultury, jeszcze w rządzie Platformy Obywatelskiej. Szybko też przekonałem się, że moja wrocławsko-krakowska perspektywa wcale nie jest powszechnie podzielana, zaś Redutę i całą jej tradycję uważa się w środowisku teatralnym za anachroniczną, a nawet – niebezpieczną.

Ktoś powie: trudno się dziwić, wszak to liberały i lewacy, więc nie mogą popierać katolika Osterwy, teozofa Limanowskiego i całej ich mętnej mistyki przepojonej na dodatek ideą narodowo-mesjanistyczną. Ale zmiana władzy i dominują-

Cztery lata temu
można było sądzić
(mieć nadzieję? obawiać się?),
że **zmiany wprowadzane
w kulturze przez
Prawo i Sprawiedliwość**
są ideowe i programowe.
Dziś wydaje się jasne,
że są jedynie personalne.

cej narracji kulturowej w kwestii Reduty niczego nie zmieniła. Wbrew moim obawom prawicowi zarządcy kultury nie dostrzegali, jak wartościowego sojusznika mogli mieć zwłaszcza w Osterwie i nie uznali Reduty za temat wart ich zachodu. Gdyby nie determinacja Doroty Buchwald, której pomysły i decyzje w tej kwestii (jak w wielu innych) tworzą nadal – mimo zmiany dykcji – program Instytutu Teatralnego, żadnego roku Reduty po prostu by nie było. Byłyby dwie niszowe konferencje, kilka książek i cykl czytań zorganizowanych przez Muzeum

Teatralne w Warszawie. To Dorota te po-jedyncze inicjatywy połączyła w jedno i wystawiła na internetowej scenie jako „Rok Reduty”, zakrywając w ten sposób figowym liściem nagą prawdę, że poza maleńką garstką entuzjastek i outsiderów Reduta nikogo nie obchodzi.

Personalia, nie idee

Można powiedzieć: tak to już jest. Chwała tego świata przemija i co było ważne wczoraj i przedwczoraj, dziś ważne być przestaje. Zresztą teatr generalnie mało kogo zajmuje, więc czemu tu się dziwić. Ale jeśli nawet pan prezes wskazuje na teatr jako na szczególnego przeciwnika, a jego dworacy i skryby dwoją się i troją, by wykazać, jak straszliwa lewacka i postdramatyczna zaraza toczy polskie sceny, to można by się spodziewać, że tak wysoka tradycja narodowej, dramatycznej i uduchowionej sceny, jaką da się bez trudu zbudować na Reducie, a zwłaszcza na późnych pismach i działaniach Osterwy (przecież pracował z Karolem Wojtyłą! Przyszłego papieża Polaka uczył, a ten zaprosił go na swoje prymicie!) będzie czymś wartym choćby odrobiny uwagi. A nawet jeśli propagandyści i urzędnicy od kultury nie mają odpowiedniej wiedzy i ochoty, by ją zdobywać,

Juliusz Osterwa w scenie zbiorowej w III akcie przedstawienia „Uciekla mi przepióreczka” (drugi z lewej) w roli Przelęckiego, Kraków, październik 1929 r.



to przecież podobno są w polskim teatrze jacyś prawicowi ideowcy, którym myśl tworzenia teatru narodowego i katolicko-misteryjnego powinna być bliska.

A może ich nie ma? Może raczej mają ci, którzy twierdzą, że nadzieje prawicy na zbudowanie własnej elity w przypadku teatru okazały się płonne, bo idea teatru narodowego nikogo w tym środowisku wbrew deklaracjom nie interesuje? Może dlatego oba teatry z nazwy „narodowe” pokazują różne rozmaitości, zapewniając to, na czym kulturalnej władzy obecnej naprawdę zależy – przyjemnie letni spokój? Cztery lata temu można było sądzić (mieć nadzieję? obawiać się?), że zmiany wprowadzane w kulturze przez Prawo i Sprawiedliwość są ideowe i programowe. Dziś wydaje się jasne, że są jedynie personalne i polegają na generalnym wyciszeniu wszystkiego, co nie jest celebracją własnego wywyższenia. Kultura narodowa, o której mówi i którą realizuje PiS, to kultura akademii ku czci. Może to i lepiej. Ale trudno się dziwić, że w atmosferze „*tisze budiesz, dalsze jediesz*” nie ma miejsca dla Reduty.

Jej ludzi można oskarżać bowiem o różne rzeczy, ale nie o bezczynność. Z pewnością popełnili sporo błędów, ale nie popełniają ich tylko ci, którzy nic nie robią. W przypadku Reduty nawet błędy są ważne i trzeba je uważnie przemyśleć, bo niektóre z nich są błędami kardynalnymi, a zarazem jakoś wspólnymi dla znaczącej formacji ideowej, współtworzonej kiedyś przez redutowców. Jej przedstawiciele do dziś usiłują pracować nad pogodzeniem polskości i chrześcijaństwa z liberalizmem czy różnie rozumianą lewicowością, nie budując przy tym własnej tożsamości na wytwarzaniu spotworzonego przeciwnika (w co niestety bardzo łatwo się osunąć, jak dowodzą także przejawy antysemityzmu, będące może najpoważniejszą skazą na pamięci Reduty).

Czuję się częścią tej rozproszonej sieci ludzi usiłujących uniknąć wchłonięcia przez dwa zwalczające się obozy. I właśnie dlatego nie chcę oddać polskości nacjonalistom, chrześcijaństwa Radiu Maryja, a Reduty archiwom i przyczynkarzom.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Anty-Narnia

JAKUB MAJMUREK

Philipa Pullmana uznano za krypto-satanistę, autora „czegoś znacznie niebezpieczniejszego niż Harry Potter”. Jednocześnie jego prozy bronił arcybiskup Canterbury, jako ostrzeżenia przed religijnym fundamentalizmem.

W POWIEŚCI C.S. LEWISA „LEW, czarownica i stara szafa” tytułowy mebel, zbierający kurz w wiejskim domu pewnego angielskiego profesora, krył w sobie portal prowadzący do alternatywnej rzeczywistości. W baśniowym królestwie Narnii zwierzęta mówią ludzkim głosem. Panuje dobrotliwy feudalizm – choć na razie dyktatorską władzę usurpuje sobie zła czarownica Jadis – a nad wszystkim czuwa opatrnościowa postać lwa Aslana.

W serialu HBO „Mroczne materie” niedaleko współczesnego Oksfordu znajduje się okno prowadzące do alternatywnego świata. Zamieszkują go czarownice, można też w nim spotkać inteligentne, mówiące ludzkim głosem i szczególnie uzdolnione w sztuce obróbki metalu niedźwiedzie polarne. Literacki pierwowzór, na jakim opiera się serial – trzy powieści Philipa Pullmana wydane między 1995 a 2000 rokiem – jest jednak filozoficznie i ideowo tak odległy od świata Narnii, jak to tylko możliwe.

Baśń rewolucyjna

Pullman nigdy nie krył swojej otwartej antypatii do Lewisa. W 1998 r., w stulecie urodzin pisarza, opublikował tekst zatytułowany „Mroczna strona Narnii”. O powieściach Lewisa z baśniowej krainy pisze tam: „to jedna z najokropniejszych i najbardziej toksycznych rzeczy, jakie kiedykolwiek czytałem”.

Oburzenie Pullmana budził zwłaszcza finał ostatniego tomu narnijskiego cyklu, „Ostatniej bitwy”. Lewis uśmierca tam swoich bohaterów, by na zawsze mogli pozostać w świecie Aslana, utożsamianego przez pisarza z chrześcijańskim rajem. Pullman widzi w tym jakąś perwersyjną fiksję Lewisa na „niewinnym dzieciństwie”, lęk przed dorosło-

ścią i tym, co się z nią wiąże – na czele z seksualnością. Jedną z bohaterek cyklu, Zuzanna, nie przenosi się do narnijskich zaświatów. Przestaje wierzyć w Narnię, jak ujmuje to jej przyjaciółka: „Teraz interesują ją tylko nylonowe pończochy, szminki i zaproszenia na przyjęcia. Zawsze strasznie chciała być dorosła”. Dziewczynka zmienia się w kobietę, a dla kobiety nie ma miejsca w wymyślonym przez Lewisa baśniowym raj.

Zdaniem Pullmana trudno dziś akceptować tak głęboko podszytą mizoginią wizję. Zwłaszcza że wszystkie narnijskie powieści afirmują patriarchalny porządek i podporządkowaną pozycję kobiet: cykl zaczyna się przecież od historii obalenia uzurpatorskiej władzy złej czarownicy i przywrócenia „naturalnego”, patriarchalnego porządku.

Z takim odczytaniem Lewisa można się oczywiście nie zgadzać czy uznać za skrajnie zideologizowane i jednostronne.

Dobrze je jednak znać, czytając Pullmana i oglądając jego filmowe i telewizyjne adaptacje. Pozwala bowiem lepiej zrozumieć, jak pisarz konstruując fantastyczne światy ustawia swoje ideowe stawki. Lewis, podobnie jak J.R.R. Tolkien, sięgał po baśniową fantastykę i mitologiczne narracje, szukając w nich potwierdzenia chrześcijańskiego objawienia i wyrażanych przez nie niezmiennych prawd i uniwersalnych wartości. Podejście Pullmana jest inne, w fantastyce, micie i baśni szuka opowieści, które mogłyby zainicjować emancypacyjną zmianę społeczną. Przypomina w tym brytyjską postmodernistkę Angelę Carter, pisarkę, która w swoich opowiadaniach dokonywała feministycznych reinterpretacji baśni i odwiecznych, mitycznych narracji.

→

→ Jedno z opowiadań Carter, „W serce lasu”, przepisuje znaną z Księgi Rodzaju historię Adama i Ewy, jakby była baśnią braci Grimm. U Carter historia ta nie jest jednak alegorią grzechu i upadku, ale inicjacji: w nieznaną, dorosłość, seksualność. Wejście w tytułowe serce lasu – przestrzeń tyleż obcą i niebezpieczną, co budzącą ciekawość i fascynację – i pozostawienie za sobą bezpiecznych, oswojonych krajobrazów dzieciństwa jest przedstawione przez pisarkę jako coś raczej dobrego i fascynującego niż jako nieodwracalna strata. To króciutkie opowiadanie mogłoby posłużyć za streszczenie trylogii „Mrocznych materii”. Inaczej niż Lewis – niepozwalający swoim dziecięcym bohaterom dorosnąć – Pullman pozytywnie przedstawia w niej historię inicjacji w dorosłość i wszystko to, co się z nią wiąże.

W cieniu Magisterium

Zamiast, jak w Narnii, fascynacji wyidealizowanym średniowieczem i chrześcijańskiej apologetyki, w „Mrocznych materiach” mamy obraz opresyjnych, średniowiecznych w rodowodzie, kościelno-politycznych instytucji. Pierwszy tom cyklu, „Zorza północna”, rozgrywa się w równoległym świecie przypominającym nasz: są w nim podobne do naszych państwa i miasta, akcja zaczyna się w Oksfordzie.

Świat ten jednak wyraźnie różni się od naszego. Panuje w nim coś w rodzaju współczesnego, nowoczesnego średniowiecza. Wszystkim rządzi wszechwładna kościelna instytucja – Magisterium, bezwzględnie ścigające wszelkie przejawy herezji. Władza Magisterium kontroluje i tłumi rozwój nauki – choć w równoległym świecie mamy mniej więcej te same czasy, co w naszym, zamiast samolotów ciągle po niebie szybują tam sterowce, nie ma też żadnej elektroniki. Nikt też nie słyszał o kolejnej fali feminizmu – społeczeństwo pozostaje silnie patriarchalne.

Świat z „Zorzy północnej” przypomina trochę ten z fantastycznej powieści Kingsleya Amisa „Alteracja” (1976). Historia Europy potoczyła się w nim inaczej niż w rzeczywistości. Kościół, by poradzić sobie z Lutrem, wybrał go na papieża. Nowa głowa Kościoła, jako Germanik I, twardą ręką tłumi herezję w Europie i zaprowadza quasi-teokratyczne rządy. Nie buntuje się nawet Anglia. Artur, starszy brat Henryka VIII, nie umiera jako nastolatek i wspólnie z Katarzyną Aragońską płodzi katolickiego następcę tronu.

W XX w. w „Alteracji” Kościół sprawuje quasi-totalitarną władzę. Na indeksie trzyma między innymi dzieła Szekspira, zabrania też badań nad elektrycznością, które budzą lęk pobożnego ludu bożego. Co ciekawe, Amis w „Alteracji” daje wyraz swojej niechęci nie tylko do Kościoła, ale i do lewicy – czołowi kościelni hierarchowie nazywają się tak samo jak lewicowi politycy z lat 70. Papieżem jest Brytyjczyk, w którym czytelnik z tamtego czasu bez problemu rozpozna karykaturę lidera Partii Pracy w latach 1963-76, Harolda Wilsona. Jego sekretarzem stanu jest kardynał Berlinguer, a czołowym doktorem Kościoła dominikanin, ojciec Sartre. Jedyną enklawą wolności w świecie „Alteracji” jest protestancka Nowa Anglia w Ameryce Północnej, biedna, surowa, ale pielęgnująca obywatelskie, republikańskie cnoty, gwarantująca wolność słowa i sumienia.

W świecie „Zorzy północnej” papieżem, jak sugeruje w pewnym momencie Pullman, miał zostać Jan Kalwin. Jedyną enklawą wolności, nieopanowaną przez Magisterium, jest nie Nowa Anglia, lecz daleka, arktyczna Północ, zamieszkała przez wolne czarownice i inteligentne niedźwiedzie. Tam właśnie z Oksfordu wyrusza główna bohaterka „Zorzy”, jedenastoletnia Lyra Belacqua.

Miedzy małym a wielki ekranem

Północnej przygodzie Lyry poświęcony jest pierwszy tom serii. Ze wszystkich części trylogii jego struktura narracyjna najbardziej przypomina klasyczną baśń. Lyra jest sierotą, wychowywaną w jednym z kolegiów uniwersytetu w Oksfordzie. Jej jedyny krewny, wuj Lord Asriel, jest skonfliktowanym z Magisterium uczonym, prowadzącym badania na dalekiej Północy. Jak to jednak często bywa w baśniach, prawdziwe rodzinne pochodzenie Lyry okazuje się znacznie bardziej



skomplikowane, a przeznaczenie dziewczyny wiąże się z losami całego jej świata – i nie tylko tego.

Fabula „Zorzy północnej” pod wieloma względami wygląda jak trawestacja baśni o królowej śniegu. Lyra, tak jak Gerda, wyrusza na Północ w poszukiwaniu zaginionego przyjaciela – sieroty służącej w oksfordzkim kolegium, gdzie się wychowywała. Chłopak został porwany, jak wiele dzieci pozbawionych wpływowych rodzin. Anglię nawiedza fala porwań, za którym stoi – jakże by inaczej – Magisterium.

Tę historię po raz pierwszy przeniesiono na ekran w kinowym filmie „Złoty kompas” (pod takim tytułem wydano „Zorzę” w Stanach) z 2007 r. Mimo gwiazdorskiej obsady z Nicole Kidman, Evą Green i Danielem Craigiem oraz sporego budżetu (180 mln dolarów) film nikogo nie zachwycił, a finansowo jak na tego typu produkcję poradził sobie słabo.

Co wtedy nie zadziałało? W formule trwającego niecałe dwie godziny widowiska nie udało się zbudować świata przedstawionego, w który widz mógłby

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek
o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój
– 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane
– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Mroczne materie”

się zanurzyć, stopniowo poznając rządzące nim reguły i stawki, o jakie toczy się w nim gra. Tak jak udało się to królującym wtedy na ekranie w podobnym segmencie widowni kolejnym filmom z cyklu o przygodach Harry’ego Pottera. Serial pokazywany właśnie w HBO będzie miał więcej czasu, by zaciekać widzów światem przedstawionym, by wznieść konstrukcję, której kolejne piętra widz będzie chciał eksplorować.

Twórcom serialu udaje się to całkiem nieźle. O ile na poziomie narracyjnym wiele rzeczy można by w produkcji poprawić, to widać, że w budowę świata przedstawionego włożono wiele wysiłku i staranności. Pod względem wizualnym – scenografii, kostiumów – świat Lyry z serialu jest o wiele bardziej dopracowany niż ten z filmu. Robi wrażenie zwłaszcza rządzony przez Magisterium Londyn z modernistyczną, monumentalną architekturą, kojarzącą się z tą, jaką wznosiły systemy totalitarne z pierwszej połowy ubiegłego wieku.

Obcowanie z rozwijającą się powoli serialową narracją, której na ogół do-

konujemy w przestrzeni domowej, a za sprawą streamingu coraz częściej samotnie, przed swoim laptopem, bardziej przypomina relację, jaką nawiązujemy z powieścią niż uczestnictwo w zbiorowym seansie w publicznej przestrzeni kina. A Pullman wielokrotnie podkreślał, jak ważny jest dla niego moment intymnego kontaktu z tekstem, gdy nie niepokojony przez nikogo czytelnik lub czytelniczka sami w wolnym procesie lektury konstruują jego znaczenia.

Teodycea agnostyka

Pytanie, jak z wizją Pullmana serial poradzi sobie w dalszych sezonach, sięgając po kolejne tomy trylogii, które bardziej niż „Królową śniegu” przypominają „Raj utracony” Milтона, czy wizję gnostyków. Razem z bohaterami podróżujemy przez kolejne alternatywne światy (w tym nasz), gdzie toczy się coś w rodzaju wielkiej metafizycznej wojny.

Mieszkańcy wszystkich uniwersów buntują się przeciw rządcom uzurpującego sobie władzę nad każdym istniejącym światem złego demiurga, quasi-bo-

skiej postaci. W efekcie upada Królestwo Niebieskie i stojące na jego straży Magisteria i Kościoły, by w ich miejsce powstać mogła Republika Niebios, zamieszкана przez różne, lecz równe, wolne i solidarne istoty – od ludzi do aniołów. W tym punkcie Pullman nie może być już dalej od chrześcijańskiego Lewisa. Jak sam przyznawał, zależało mu na stworzeniu świeckiego, emancypacyjnego mitu, w miejsce monarchicznego obrazu boskiej władzy Aslana, oferującego młodym czytelnikom radykalnie demokratyczny ideał.

Współczesna telewizja wprowadzała już nieraz na ekrany anioły, demony, konflikty piekielno-niebieskie i dalekie od ortodoksji, wywiedzione z religii wizje. Czy jednak kierowany głównie do młodszych widzów serial uniesie tak filozoficznie ważką narrację? Producenci filmu kinowego z 2007 r. trochę wystraszyli się religijnych wątków z prozy Pullmana i znacznie ocenzurowali motywy krytyki religii w adaptacji. Choć i tak dostało się im od fundamentalistycznych grup.

Te zawsze atakowały Pullmana jako wroga religii, krypto-satanistę, autora „czegoś znacznie niebezpieczniejszego niż Harry Potter”. Jednocześnie jego prozy broniły takie osoby jak Rowan Williams, w latach 2002-12 arcybiskup Canterbury i głowa Kościoła anglikańskiego, który chwalił prozę pisarza jako celne ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami religijnego fundamentalizmu.

Sam Pullman lubi mówić, że jest „anglikańskim agnostykiem”. Co ciekawe, jego proza nie jest pochwałą płaskiego materializmu, światopogląd, jaki wyraża, jest raczej panteistyczny. W świecie Lyry z „Zorzy północnej” każdy człowiek ma swojego demona – zwierzęcą, mówiącą ludzkim głosem postać innej płci niż człowiek, z którym jest związana. Demon jest dopełnieniem duszy swojego właściciela. Człowiek, który oddala się od niego, czuje trudny do zniesienia fizyczny ból, a gdy traci swojego demona, sam także ginie. Tak jak Lyra potrzebuje dopełniającego ją demona, tak każdy, by móc znieść materialny świat, potrzebuje „dopełnienia” w postaci poezji, wyobraźni, cudowności czy np. idei sprawiedliwości – mówi ostatecznie Pullman. Pytanie teraz, jak to wszystko pokazać w telewizji?

© JAKUB MAJMUREK



Robert de Niro jako Irlandczyk i Joe Pesci jako Russell Bufalino

Pistolet i zegarek

ANITA PIOTROWSKA

De Niro, Pesci i Keitel stają się na powrót krzepkimi żołnierzami mafii. A że czasu oszukać się nie da, ich odmłodzona obecność ma w sobie coś wzruszającego i niepokojącego jednocześnie.

JEST JAK JEST – SIEDEMDZIESIĘCIOsiedmioletni Martin Scorsese nakręcił kolejny film, którym udowadnia, że czas działa na jego korzyść, i to w niejednym tego słowa znaczeniu. Cytowane zdanie w mafijnym słowniku oznacza ostateczny werdykt, czyli wyrok, i wypowiada je aktor Joe Pesci jako wysoko postawiony mafiozo Russell Bufalino. Oglądając „Irlandczyka” przez bite trzy i pół godziny, można chwilami kwestionować autentyczną żywotność mistrza, bo przecież próbuje on nie tylko odmładzać komputerowo swoich aktorów, ale też reanimować swój filmowy styl. Ostatnia godzina seansu nie pozostawia jednak wątpliwości, że twórca „Wściekłego byka” i „Ostatniego kuszenia Chrystusa” znowu nakręcił film wybitny.

Widmowa poświata

Czas pracuje w „Irlandczyku” na różnych obrotach: zwalnia i przyspiesza, tworzy pętle, martwe punkty i ramy. Spaja to wszystko opowieść tytułowego bohatera, czyli Franka Sheerana, byłego działacza związku zawodowego i bezwzględnego gangstera w jednej osobie. Czy mamy do czynienia z gawędą siedzącego na wózku pensjonariusza domu starców, czy może jego zeznaniem i wyznaniem, przekonamy się dopiero na końcu. Scenarzysta Steven Zaillian („Lista Schindlera”, „Gangi Nowego Jorku”) wziął na warsztat książkę dziennikarza śledczego Charlesa Brandta, wydaną u nas pod tytułem, który również nawiązuje do mafijnego kryptojęzyka: „Słyszałem, że malujesz domy”, i zamienił ją we fresk o związkach

polityki i świata przestępczego. A także w rozpisaną na kilkadziesiąt lat przypowieść o zdradzie, winie i toksycznej męskości, która nawet w kinie głównego nurtu staje się znakiem naszych czasów. Patrz: „Joker” Todda Phillipsa.

Grający „Irlandczyka” Robert De Niro, podobnie jak Pesci czy Al Pacino w roli zamordowanego lidera związkowego Jimmy’ego Hoffy, są dziś mniej więcej w wieku reżysera. Na ekranie dostają cyfrowy lifting, dogęszczanie włosów oraz zastrzyk sterydów. Dla jednych efekty owych transformacji mogą wyglądać nieco upiornie, bo technologia ciągle nie jest w tej materii doskonała i naznacza twarze aktorów widmową poświatą, niemniej wyłania się z tej niedoskonałości jakiś egzystencjalny naddatek. Wszak kino to sztuka oszustwa, balsamowania żywych i martwych. Niedługo przekonamy się o tym najdobitniej, oglądając awatara zmarłego w 1955 r. Jamesa Deana. Bez tradycyjnej charakterystyki sędziwe gwiazdy „Irlandczyka” znowu mają wyglądać niczym w latach 70. (wtedy rozgrywa się główna akcja), a że film, zupełnie jak „Chłopcy z ferajny” (1990) tego reżysera, stanowi jedną wielką retrospekcję, na dodek przedśmiertną, owa podróż w czasie nabiera osobliwego konturu i autotematycznego

wymiaru. De Niro, Pesci, Harvey Keitel – to ikony uniwersum Scorsese. W „Irlandczyku” stają się na powrót krzepkimi żołnierzami lub generałami włosko-amerykańskiej mafii, a że czasu tak do końca oszukać się nie da, ich odmłodzona o kilka dekad obecność ma w sobie coś wzruszającego i niepokojącego jednocześnie.

Wygrywa czyste kino

To samo rzec by można o zderzeniu awanturnicznej fabuły filmu z jego refleksyjną ramą. Co jednak istotne, kiedy Scorsese opowiada historię przyjaźni Sheerana i Huffy oraz gangsterskich porachunków, i kiedy dokłada do tego wielką historię amerykańską (inwazja w Zatoce Świń, zabójstwo Kennedy’ego, zniknięcie Huffy, afera Watergate) oraz historię własnego kina, nie chodzi mu o jakąś nostalgiczną rewizytę. Starzenie się bohaterów, ich niedołęstwo i samotność, od których uciec mogą tylko w barwną anegdotę, staje się refleksją samego reżysera, który rozlicza się poniekąd ze sobą i z własnym kinem. Oskarżane było ono często o mitologizację przemocy i schlebienie fascynacji światem zorganizowanej przestępczości. Nawet dzisiaj zarzuca się „Irlandczykowi”, że w dobie politycznego cyrku i powszechnej w tych sferach nieuczciwości stworzył nazbyt epicki, zbyt uodziercielski obraz oszustwa i zdrady.

Scorsesemu dostaje się również za ponowne zmarginalizowanie postaci kobiecych, które w filmie zajmują się głównie nerwowym paleniem papierosów, wizytami u fryzjera, tudzież serwowaniem zupy pomiędzy kolejnymi „akcjami” małżonków. Ta znacząca nieobecność („jest jak jest” – powiedziałby bezlitosny Russ Bufalino) znajduje przedłużenie w równie znaczącym i niemym spojrzeniu Peggy Sheeran, jednej z córek Franka, granej przez Annę Paquin. Stereotypowy portret męskości, na który składa się władza, pieniądze i fizyczna siła, rozsypuje się u Scorsese w proch, odsłaniając postać niedołężnego starca, który przegrał własne życie, a już na pewno swoje ojcostwo.

Tu trzeba zaznaczyć, iż kaznodziejstwo pozostaje Scorsesemu całkowicie obce. Jako niedoszły ksiądz i człowiek, który przez lata mocował się z wiarą katolicką, w pełni odzyskaną dopiero

w okolicach „Milczenia” (2016), reżyser oszczędnie gospodaruje symboliką religijną, a wizję człowieka w „Irlandczyku” tworzy tyleż ludzka słabość, co ciemny fatalizm. Ostatecznie wygrywa jednak czyste kino. W jednej ze scen odmłodzeni, ubrani w piżamy De Niro i Pacino konwersują w pokoju hotelowym, a kamera zatrzymuje wzrok na szafce nocnej, gdzie spoczywa pistolet i zegarek. Trudno o bardziej zwięzłe podsumowanie tego, czym „Irlandczyk” jest, dlaczego ma metraż dwóch filmów, nieco „geriatryczną” aurę i dlaczego Scorsese przeżuwa poszczególne sceny czy dialogi niczym krwisty stek.

Przeszłość i przyszłość

Równocześnie reżyser ma swój osobisty problem z czasem, w którym żyje. Jako kustosz filmowych archiwów, a zarazem jeden z ojców chrzestnych kinematografii współczesnej, o czym świadczy chociażby wspomniany „Joker” otwarcie pasożytniczą na „Tak-sówkarzu” i „Królu komedii”, Scorsese zdaje się żyć gdzieś ponad czasem, próbując na siłę spinać ze sobą przeszłość i przyszłość. Wygłasza np. gniewne manifesty przeciwko filmowej rozrywce spod znaku Marvela, choć sam czerpie garściami z osiągnięć tego studia w dziedzinie cyfrowej obróbki obrazu. On, dla którego kino zawsze było świątynią, decyduje się nakręcić „Irlandczyka” dla platformy Netflix, a tym samym znacznie ograniczyć jego dystrybucję kinową, bo tylko internetowy gigant zapewnił mu należyty budżet, który w tym akurat przypadku przełożył się na wolność twórczą.

Najnowszym filmem wskrzesza Scorsese lata 70. nie tylko w wymiarze najbardziej cielesnym, ale także pewien zanikający model kina, rozwijany kiedyś przez Coppole, Kubricka i jego samego. Udowadnia, że między filmowym popcornem a hermetycznym artyzmem nadal istnieje przestrzeń dla ambitnego kina środka, dla twórczości autorskiej i jednocześnie popularnej, pozwalającej na co najmniej dwukondową lekturę.

Żeby spełnić ten ideał, dobrze mieć jeszcze jakieś 159 mln dolarów. ©

IRLANDCZYK (*The Irishman*) – reż. Martin Scorsese. Prod. USA 2019. Film dostępny w wybranych kinach, a od 27 listopada na Netflixie.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [30 XI – 6 XII]

1. Podrzutki



Dramat, reż. Iwan I. Twerdowski, Rosja 2018, Cinemax 2, 30 XI, 20.30, 1 XII, 10.20, 4 XII, 20.30, 5 XII, 12.40, 6 XII, 22.15

Młody rosyjski reżyser, znany z takich filmów, jak „Klasa wyrównawcza” (2014) czy „Zoologia” (2016), opowiada o chłopaku z sierocińca, który dzięki wyjątkowej odporności na ból zaczyna robić karierę w przestępczym świecie. W tle współczesna Rosja, z panującą tam korupcją i bezkarnością władz, a w roli głównej świetny Denis Własenko.

2. Herzog/Gorbaczow



Dokumentalny, reż. Werner Herzog i André Singer, Wielka Brytania/Niemcy/USA 2018, Canal+, 2 XII, 18.55, Canal+ 1, 2 XII, 19.55

W jaki sposób chłopski syn z Kraju Stawropolskiego stał się ostatnim przywódcą ZSRR? Twórca „Fitzcarralda” spotkał się z Gorbaczowem trzykrotnie w jego moskiewskim biurze. Efektem jest wzbogacony archiwizacją portret radzieckiego męża stanu wpisany w przemiany polityczne przełomu lat 80. i 90.

3. Oko w oko z życiem



Komediodramat, reż. Vincent Gallo, USA 1998, HBO GO

Funkcjonujący wcześniej pod oryginalnym tytułem „Buffalo ’66” reżyserски debiut znanego aktora to brawurowa mieszanka gatunków, a zarazem klimatyczne kino niezależne z gwiazdorską obsadą. Gallo wciela się w postać wrażliwego wykołajęca, który staje naprzeciw brutalnego, bezdusznego świata i wypowiada mu swą prywatną wojnę.

4. Nietykalny



Dokumentalny, reż. Ursula Macfarlane, USA 2019, Cineman VOD, od 6 XII

Ruch #MeToo sprawił, że Harvey Weinstein przejdzie do historii nie tylko jako jeden z najbardziej kreatywnych amerykańskich producentów filmowych. Dokument oddaje głos przede wszystkim ofiarom seksualnego drapieżnika, któremu status „świętej krowy” pozwolił przez lata bezkarnie wykorzystywać zależne od niego kobiety.

Lektor:

Czułe znaki



■ *Wisława Szymborska, Stanisław Barańczak*
INNE POZYTYWNE UCZUCIA TEŻ WCHODZĄ W GRĘ.
KORESPONDENCJA 1972–2011
Opracowanie edytorskie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, ss. 352

ZACNIJMY OD WYSOKIEGO tonu: to piękne świadectwo bezinteresownej przyjaźni dwojga poetów. Listowna rozmowa, której partnerzy nie odgrywają żadnych ról, kieruje nimi szczerzy zachwyt. „Uwielbiamy Cię jak chyba nikogo na tym ziemskim padole”, pisze w listopadzie ’95 Stanisław Barańczak w imieniu własnym i swojej żony Anny. A początek jest zwyczajny. Młody poeta i krytyk

redagujący dział literacki w poznańskim miesięczniku zwraca się do znanej poetki z prośbą o wiersze. Jednak już odpowiedź (niestety, niezachowana) zwyczajna nie była. Szymborska nie tylko dała miesięcznikowi „Nurt” wiersz „Obmyślam świat”, ale zwróciła się do redaktora słowami, za które tak dziękował: „Nigdy nie usłyszałem cenniejszej pochwały niż ta, którą mnie Pani zaszczyliła”.

Wydarzenia przyspieszają: Barańczak nie jest już redaktorem, zarówno on, jak i Szymborska i Filipowicz podpisują protest przeciw zmianom konstytucji (zapisy o „kierowniczej roli” PZPR i sojuszu z ZSRR), potem Barańczak, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników, ma proces na podstawie sfingowanych zarzutów i traci pracę na uniwersytecie. Recenzję z „Wielkiej liczby” Szymborskiej opublikuje w „TP” jeszcze pod nazwiskiem, ale wkrótce obejmie go zapis cenzorski i miejsce krytyka Barańczaka zajmie niejaka Barbara Stawiczak. Po Sierpniu ’80 Barańczak otrzymuje wreszcie paszport, może objąć czekającą nań katedrę na Harvardzie – i zaraz stan wojenny odcina go od kraju. Korespondencja staje się żywsza, gdy Barańczak wraz ze swoją

uczennicą Clare Cavanagh zabiera się za „amerykanizację Wisławy”. Śledzimy powstawanie tłumaczeń, starania o ich druk w prestiżowych pismach (w 1992 r. zgłasza się „New Yorker”!), potem przygotowywanie książki („View with a Grain of Sand”). Spotkań zaledwie kilka, za to listów coraz więcej. Korespondencyjny bruderszaft, obdarowywanie się limerykami i wyklejanekami, w 1996 r. wspólna radość z Nobla. I dramat choroby, która uniemożliwi Barańczakowi podróżę i stopniowo odbierze mu siły. Potem będą już tylko kartki od Szymborskiej, czułe znaki pamięci. „Aniu i Staszku! Chcę tylko powiedzieć, że Was kocham. Inne pozytywne uczucia też wchodzą w grę” (2005). „Kocham Was jesienią, zimą, wiosną, a teraz ze zdumieniem odkrywam, że także latem!” (2008). I najkrócej: „Kocham Was” (2010). ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

BOOK'S NOT DEAD

– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
 Dyskutuj o ulubionych autorach
 Zaczniij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
 Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na powszech.net/bnd

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE



TYGODNIK
POWSZECHNY



Book's
not dead

PAWEŁ

Bravo: Słowa roku



DZIESIĘĆ TYSIĘCY PROCENT. O TYLE – CZYLI bardziej po ludzku mówiąc: sto razy – skoczyło w mijającym roku użycie wyrażenia *climate emergency*, co na nasze należałoby przetłumaczyć jako „katastrofa klimatyczna” (bo bardziej ścisły przekład

„klimatyczna sytuacja nadzwyczajna” brzmi sztucznie, niezyciowo, a ludzkość nie składa się wszak z filologów przelewających leksemę do próbowek). Stwierdziła to redakcja słownikowa Oxford University Press, bazując na swoim korpusie języka angielskiego, który zawiera ponad dwa miliardy stale aktualizowanych przykładów użycia słów. Skoro większość tego, co jest istotne w życiu publicznym, kulturze, polityce, finansach, zostaje najpierw sformułowana po angielsku – a często pozostaje w tej formie, bo prościej nam się komunikować w tym języku niż podjąć czelendź przepracowania sprawy na gruncie rodzimej mowy – to ów korpus można uznać za miejsce, gdzie prawdziwie rezyduje duch czasu. Wszeczmocna angielszczyzna określa go niemieckim terminem *Zeitgeist*. Hegemona stać na takie drobne gesty łaski wobec pokonanych.

Katastrofa klimatyczna zatem. Jak komentują leksykografowie, to istotna modyfikacja wobec dotychczas powszechnej „zmiany klimatu” lub „ocieplenia”. Fakt ten odzwierciedla przekonanie osób zaangażowanych w próbę powstrzymania zjawiska, że czas skończyć z neutralnym językiem. Nie raz ta neutralność działała usypiająco, wszak „ocieplenie” ma w pierwszej warstwie raczej miłe konotacje, niczym ulubiony koczek w reniferki i kubek z parującą czekoladą (tu się kłania inne wychwycone z kolei przez polskich obserwatorów młodzieżowe słowo „jesieniara” – na określenie instagramowej mody na sezonowy kicz). Pora zacząć straszyć – uznali decydenci, a w ślad za nimi wpływowe media, z brytyjskim „Guardianem” na czele, który w wytycznych dla swoich autorów zarządził wprowadzenie wojennej retoryki.

Katastrofy, kryzys, załamanie, mobilizacja i środki nadzwyczajne – wróg u bram. Arundhati Roy, w imieniu, jak myślę, wielu innych troskliwych pasterzy słowa, zwróciła niedawno uwagę, że taka militarystyka języka, owszem, może przebudzić opinię publiczną z drzemki, ale poskutkuje tym, że ludzie odsuną od siebie codzienną odpowiedzialność za cokolwiek – wszak na wojnie to generałowie wydają rozkazy, a my mamy karnie słuchać i czytać obwieszczenia na słupach. „Odajemy proces decyzyjny w ręce tych samych, co zawsze, sprawców”: znów o wszystkim będą decydować wielcy panowie władzy i pieniądza, którzy do-

tychczas czerpali korzyści z rabunkowej eksploatacji planety – zauważa pisarka. A my możemy kwaśno dodać, iż opisane przez nią zjawisko jest w sumie wygodne dla większości. Gdyby jakiś polityk chciał naprawdę np. wprowadzić drakoński podatek od biletów samolotowych, to elektorat posłę go do diabła przy okazji najbliższych wyborów.

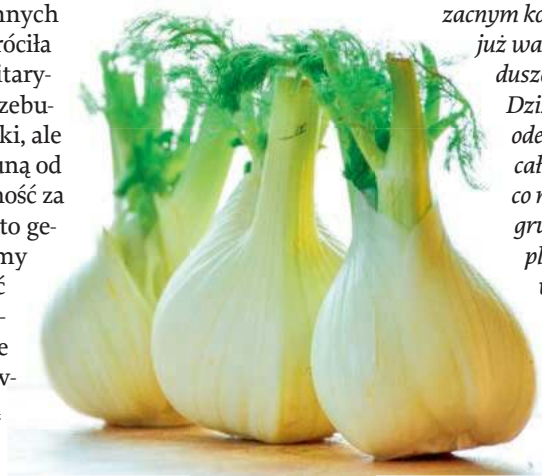
Zamiast się pogodzić z takim podatkiem, wolimy bezpłatne *flight shaming*, czyli zawstydzanie (w mediach społecznościowych) z powodu podróży samolotem. Według oksfordzkiej redakcji użycie wyrażenia podskoczyło w zeszłym roku o 182 proc. „Szejming” to jeden z moich kandydatów na słowo dekady obok „hejtu” – oba świadczą o dramatycznie uproszczonych formach komunikacji społecznej. Mocno skurczyła się nam skala reakcji na irytujące czy niegodne zachowania bliźnich – zostaje kilka odruchów równie prostych w użyciu, jak „pochwalny” kciuk do góry lub serduszko.

Albo uśmiechnięta buźka z dwiema błękitnymi łezkami – jedno z *emoji*, czyli specjalnych ikonek odzwierciedlających emocje, gesty albo przedmioty stosowanych w komunikatorach. W 2015 r. Oxford University Press ogłosiło tę właśnie buźkę „słowem roku”, bazując na statystykach oszałamiającego skoku jej zastosowania. „Tradycyjne alfabety z trudem sobie radzą z zaspokojeniem szybkich, podporządkowanych aspektowi wizualnemu potrzeb komunikacji w XXI wieku” – tłumaczył wówczas redaktor naczelny redakcji słownikowej Casper Grathwohl. „*Emoji* stają się coraz bogatszą formą komunikacji, przekraczającą granice językowe”.

Ludwiku Zamenhofie, urodziłeś się sto lat za wcześniej, esperanto miało przekraczać granice, ale stało się tylko kolejną zacną utopią. Istnieją setki ikonek *emoji*, przydatne na każdą okazję – poszukam więc obrazka, który wyrażałby sympatię zmieszaną z litością, wydrukuję i gdy pojawię się na warszawskim Muranowie, przylepię na domu, gdzie mieszkaleś i dłubałeś, tak jak ja, w „tradycyjnym alfabecie”. ©

Na tegorocznej „krótkiej liście” Oksfordu było parę okołoklimatycznych wyrażen (m.in. *eco-anxiety*, czyli ekologiczny lęk, oraz *ecocide*, czyli „ekobójstwo”). W tym samym, *nomen omen*, klimacie mentalnym jest inny finalist – *plant-based*, czyli „roślinny”. O wegańskim jedzeniu mówiliśmy o 144 proc. częściej niż w poprzednim roku. Jaka jest główna pociecha grudniowego roślinożerzy? **Fenkuł** co roku powraca do naszej rubryczki o tej porze, nigdy dość o tym zacnym koprze z wyraźną anyżową nutą. Radziłem już wam kiedyś sałatkę z pomarańczą oraz duszenie drobno posiekanej bulwy z cebulą.

Dziś spróbujmy zrobić z niego „kotleta”. Po oderwaniu zewnętrznej zeschniętej łuski tniemy całą bulwę (weźmy jak największą, wielkości co najmniej pięści) wzdłuż na plastry grubości 0,5 cm. Solimy, moczymy każdy plaster w rozkłóconym **jajku** i panierujemy w **bulce tartej** (do której można dosypać odrobinę **parmezanu** i coś zielonego... np. **szcypiorek**). Smażymy w oleju krótko, po minucie z każdej strony, aż panierka się dobrze zżółci, a fenkuł będzie gorący, chociaż nadal pozostanie całkiem chrupki.





„TP” 44 / 2019

Poprawka z katechezy

Artur Sporniak zwrócił uwagę na podręcznik katechetyki, w którym przedstawiona została krytyka teorii ewolucji. To zła praktyka, wywołująca zamieszanie w głowach młodzieży, pogłębiająca dysonans poznawczy między wiedzą naukową a przekazem religijnym. Tymczasem nauczanie religii powinno zmierzać w odwrotnym kierunku: wykazywania, że nie ma kolizji między tym, co podaje nauka, a tym, co głosi religia. W sprawie pochodzenia człowieka wiadomo na podstawie danych paleontologicznych i archeologicznych, że gatunek ludzki rozwijał się miliony lat: ok. 6 mln lat p.n.e. oddzielił się od wspólnego praprzodka dzisiejszego szimpansa, a początek rodzaju *Homo*

(hominidów) datuje się na prawie 3 mln lat przed naszą erą. Z jego prymitywnych przedstawicieli, charakteryzujących się już postawą pionową, powstał ostatecznie *Homo sapiens*. Dokonało się to zapewne co najmniej 100 tysięcy lat przed naszą erą. To „uczłowieczenie” hominidów poprzez powstanie *Homo sapiens*, zdolnego do myślenia abstrakcyjnego, wiązało się z wytworzeniem języka, który z perspektywy religijnej moment „uczłowieczenia” hominidów można nazwać „aktem stworzenia człowieka”, a więc biblijnym „ulepieniem człowieka” i „tchnięciem w niego duszy”. Podobnie biblijne „dni stwarzania świata” – Kosmosu i Ziemi – to wielkie epoki geologiczne i dzieje rozwoju gatunków istot żywych. Katecheza powinna przekładać prawdy pokazane w sposób wizyjny w tekstach religijnych na „prozaiczny” język nauki, pokazując, że nie ma między nimi sprzeczności, natomiast prawdy nauki są uboższe, bo nie odpowiadają na wielkie filozoficzne pytania.

RENATA GRZEGORCZYKOWA

„TP” 47/2019

Pieniądze to nie wszystko

Czytam kolejny artykuł – tym razem autorstwa Macieja Müllera – o zapaści w psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej. Sytuacja jeszcze długo nie ulegnie poprawie, bo nie zależy wyłącznie od nakładu środków finansowych. Zaburzenia psychiczne u dzieci w wielu przypadkach są pochodną sytuacji rodzinnej. Skala codziennego zaniedbywania milionów dzieci w polskich domach jest nie do oszacowania. Rodzice są skłonni wydać wiele pieniędzy na zakup urządzeń, którymi ma zająć się dziecko, by nie zawracać im głowy. Nie jest niczym niezwykłym dwulatek, któremu rodzice dają do zabawy na długie godziny tablet, czterolatek, w którego pokoju telewizor włączony jest od rana do wieczora, lub sześciolatek, który codziennie przez cztery godziny gra na komputerze. W wielu środowiskach w ogóle nie czyta się dzieciom książek, a wspólne wyjazdy ograniczają się do galerii handlowych, gdzie zmęczone nadmiarem bodźców dzieci stają się ofiarami przemocy (najczęściej werbalnej, ale zdarza się, że również fizycznej) ze strony strofujących je rodziców. I oto porzucone emocjonalnie dziecko, którego rodzice nie potrafili zbudować z nim więzi, zaczyna dojrzywać i nie uznaje już a priori autorytetu rodziców. Wówczas ci przeważnie odcinają się od odpowiedzialności za jego losy („rób, co chcesz”), usiłują bezskutecznie narzucić swoją wolę („masz się mnie słuchać, bo jestem twoim rodzicem”) albo próbują oddać dziecko „do naprawy” – do psychologa, psychiatry, terapeuty etc. Przeważnie to dziecko obciążane jest odpowiedzialnością za swoje nieprawidłowe zachowanie,

choć bardzo często widać, że jego problemy wynikają z wieloletnich zaniedbań ze strony dorosłych. Czasem wydaje się, że jest już za późno, by zniwelować skutki braku udziału rodzica w życiu potomka, i nie pomoże tutaj nawet konsylium dziecięcych psychiatrów i psychologów. Porzucone emocjonalnie dziecko wejdzie w dorosłość obciążone deficytami. Psychiatria dziecięca to niezwykle frustrująca dziedzina, bo większość pacjentów cierpi za nie swoje grzechy i zaniedbania. Odrębnym, niezwykle istotnym problemem jest czasochłonność specjalizacji. Zakładając optymistycznie, że proces kształcenia przebiegał w najkrótszym możliwym czasie (co jest mało prawdopodobne), to lekarz, który ma specjalizację z psychiatrii osób dorosłych, ma za sobą: sześć lat studiów, rok stażu i pięć lat specjalizacji. Jeżeli chciałby zdobyć dodatkową specjalizację z zakresu psychiatrii dzieci i młodzieży, musiałby poświęcić 113 tygodni na kształcenie w tym zakresie. Czy mieszkający poza miastem lekarz (który w najbardziej optymistycznej wersji ma 31 lat) zostawi rodzinę, by na przeszło dwa lata zamieszkać w mieście, lub przez te ponad dwa lata będzie codziennie dojeżdżał na staż? Znam psychiatrów, którzy próbowali robić tę specjalizację i świadomie zrezygnowali, ponieważ zauważyli, jak źle ich nieobecność wpływa na relacje z własnymi dziećmi. Znam takich, którzy nie otworzą tej specjalizacji, bo w czasie kształcenia specjalizacyjnego ich zarobki znacząco by zmalały, a mają już zobowiązania (dzieci, kredyty) i nie chcieliby korzystać z pomocy rodziców. Nie wiem, co musiałoby się stać, by sytuacja w psychiatrii dziecięcej uległa poprawie.

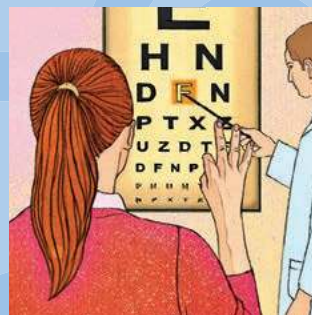
Dr n. med. KATARZYNA BORYSEWICZ, psychiatra

W Sądzie Rejonowym w Zakopanem, pod sygn. akt I Ns 580/15 z wniosku Ryszarda Paszkiewicza i Gminy Miasta Zakopane toczy się postępowanie o ustanowienie drogi koniecznej do nieruchomości położonej w Zakopanem, stanowiącej działkę ewid. nr 448, objętej KW nr NS1Z/00006516/0 tut. Sądu. Szlak służebny ma przebiegać m.in. po działce ewid. nr 434, objętej LWH 9600, powstałej z pr. gr. I. kat 2052. Jako właściciel tej nieruchomości ujawniony jest Jan Chyca s. Józefa.

Sąd wzywa następców prawnych zmarłego Jana Chyca s. Józefa, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu, wykazując swoje prawa do opisanej wyżej nieruchomości, gdyż w przeciwnym wypadku zostaną oni pominięci w toczącym się postępowaniu, które toczyć się będzie bez ich udziału.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. WIKIMEDIA COMMONS // ŁUKASZ GIZA // GRAŻYNA MAKARA // ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI // REPORTER // FREEIMAGES.COM // PETTER ARVIDSON // EN // MAGDA WOLNY

A close-up portrait of a woman with dark dreadlocks, some of which are accented with blue beads. She is wearing a bright blue hooded sweatshirt and has her chin resting on her clasped hands. She is looking directly at the camera with a calm expression. The background is a solid, dark grey color.



A także o kryzysie klimatycznym, życiu osób głuchych, religii, prawach zwierząt, leczeniu niepłodności, mniejszościach, literaturze i futbolu kobiet. A nawet mężczyzn.

weź, słuchaj!

powszech.net/podcast



ZAŻYJ TABAKI

Przeurocza starsza pani zagrała kilka dziwnych melodii i kazała mi je powtórzyć.

Udało się. Wkrótce potem wyszłam na największą scenę operową świata.

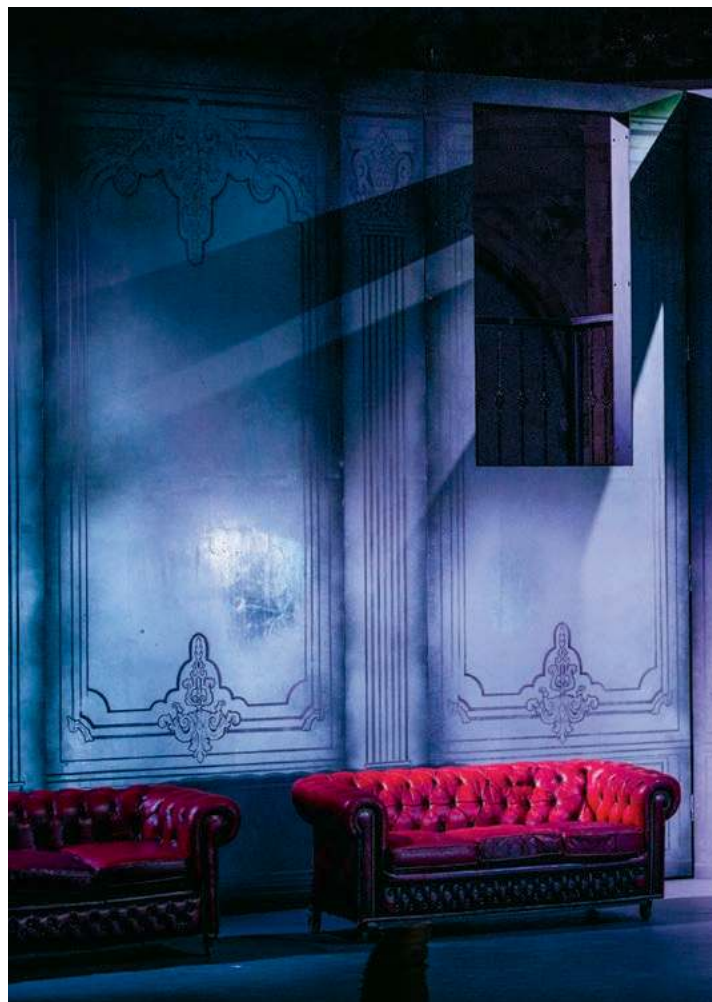
DOROTA KOZIŃSKA

KULTURALNY POLAK PARZY SOBIE KAWĘ, WŁĄCZA KOMPUTER, otwiera terminarz i zaczyna planować kulturalny weekend. Konsultuje się ze znajomymi w mediach społecznościowych, przerzuca recenzje i notuje, że za kilka dni premiera najnowszego filmu Holland, że trzeba zdjąć z półki te „Księgi Jakubowe” Tokarczuk i wreszcie je skończyć, a jeśli czasu starczy, umówić się z przyjaciółmi pod Kamienicą Szolańskich, żeby obejrzeć wystawę I Grupy Krakowskiej, przegapioną rok wcześniej we Wrocławiu.

Kulturalny Polak zadaje się czasem z melomanami, więc prędzej czy później trafi na post, który skojarzy mu się z czymkolwiek – „Rodziną Addamsów”, kasynem w Las Vegas, galą gwiazd w parku zdrojowym w Ciechocinku – tylko nie z kulturą wysoką. Przewycięży pierwszy szok, wczyta się głębiej, dowie, że dołączone do postu zdjęcie wykonano na bankiecie popremierowym w wiedeńskiej Staatsoper, po czym zakrzyknie niczym tatuś Tradycji z nieśmiertelnego „Misia” Stanisława Barei: „W mordę kopany! W życiu bym do opery nie poszedł!”. Zwłaszcza jak sobie przypomni, że raz w operze już był – ze szkolną wycieczką w podstawówce, chyba na jakimś Moniuszce. I wspomina to jak najgorszy koszmar, bo ani w ząb nie zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, a dobiegający ze sceny śpiew skojarzył mu się ze znienawidzonym wujkiem, który każdą imprezę rodzinną psuł puszczanymi na cały regulator piosenkami Mieczysława Fogga, na dodatek kostiumy i dekoracje wyglądały jak z Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu, dokąd wychowawczyni zaciągnęła ich rok wcześniej w ramach innej szkolnej eskapady.

Na zabój

Metrykalnie jestem trochę starsza od przeciętnego kulturalnego Polaka i myślę sobie, że miałam jednak szczęście.



Sama pamiętam czasy, kiedy edukację muzyczną każdego polskiego dziecka rozpoczynano właśnie od zaprowadzenia go do teatru na którąś z oper Moniuszki. Najchętniej na „Straszny dwór”, bo wszystko się dobrze kończyło, nikt się nie rzucał ze skały i nie trzeba było maluchom wyjaśniać, co to są nieślubne dzieci. Nie będę powtarzać truizmów o długofalowych skutkach zapaści wychowania muzycznego w szkołach. Przypomnę tylko, że rodzice moich kolegów z podstawówki – nawet jeśli sami nie chcieli albo wstydzili się chodzić do opery – wiedzieli, kto to Callas, Szalapin i Caruso. Wszyscy płakaliśmy ze śmiechu przed telewizorem, kiedy „słynny syjamski tenor” śpiewał w „Zmiennikach” arię Jontka z „Halki”, a lektor tłumaczył ją z powrotem na polski („Moje życie chociaż młode, ale smutne, albowiem mam w sercu pretensje, nie mam zarzutu do nikogo konkretnie z wyjątkiem mojego dziewczęcia...” itd.). Wystarczyło więc puścić nam z płyty arię Skołuby, potem ewentualnie arię z kurantem, w bardziej muzykalnych domach przećwiczyć fragment jakiegoś ansamblu, wytłumaczyć zawilości libretta i wyjaśnić znaczenie co trudniejszych słów. A potem dziecko odświeżnięte ubrać, pouczyć, jak się powinno zachowywać w operze, i mieć nadzieję, że mu się spodoba.

Mnie się spodobało i pewnie dlatego teraz piszę ten artykuł. Kilka miesięcy później, kiedy pojechaliliśmy na wakacje



ROBERT WORKMAN / MATERIAŁY PRASOWE

Giacomo Puccini, „Manon Lescaut”, Opera Holland Park, Londyn, 4 czerwca 2019 r.

i okazało się, że odrobinę ode mnie starsza córka znajomych śpiewa w chórze dziecięcym warszawskiego Teatru Wielkiego, urządziłam rodzicom niemal operową scenę, grożąc im całkiem operowymi konsekwencjami, jeśli nie zaprowadzą mnie na przesłuchanie. Zaprowadzili. Przeurocza starsza pani, która nie rozstawała się z tajemniczym flakonikiem wypełnionym brązowym proszkiem (później się dowiedziałam, że to tabaka), zagrała na fortepianie kilka dziwnych melodii i kazała mi je powtórzyć. Powtórzyłam i zostałam przyjęta. Wkrótce potem wyszłam po raz pierwszy na największą scenę operową świata. Tak się przypadkiem złożyło, że w przedstawieniu Wagnerowskiego „Tannhäusera”.

Skutek był taki, że zakochałam się na zabój w muzyce Wagnera i w teatrze operowym w ogólności: czystą i naiwną miłością czwartoklasistki.

Z pierwszego wyjścia na scenę zapamiętałam przede wszystkim zdumienie, że skały są z jakiejś dziwnej pianki i uginają się pod każdym krokiem. Po drugim miałam już pewność, że znalazłam się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie. Trafiłam między prawdziwych zapaleńców, którzy nauczyli mnie kochać muzykę, nie odbierając mi przy tym dzieciństwa.

Wzrastałam za kulisami najprawdziwszego teatru, w którym napatrzyłam się równie dziwnych rzeczy jak te, które szczerzyca Emma obiecała Muminkowi w książce Tove

Jansson. W równej mierze frapowało mnie to, co śpiewaliśmy, jak koń staromiejskiego dorożkarza, który zawsze robił kupę przed wyprowadzeniem go na scenę w „Borysie Godunowie”.

W „Tannhäuserze” pokładałam się ze śmiechu, torując sobie drogę na zamek wartburski między dekoracjami z „Aidy” Verdiego, które nie mieściły się w żadnym magazynie i osiadły na stałe za kulisami. Z cielęcym zachwytem obserwowałam solistów, którzy wprost ze sceny, ucharakteryzowani, w perukach i kostiumach, wpadali do teatralnego bufetu na wuzetkę z bitą śmietaną. Wiedziałam już, że włochate, byle jak pofastrygowane łachmany zmieniają się w światłach sceny w bajecznie kolorowe szaty paziów, księżniczek i rycerzy.

Taki przykład

Ktoś powie, że miałam szczęście. Że wychowałam się w rodzinie artystów – wprawdzie niezwiązanych z muzyką – którzy czytanie, słuchanie i chodzenie do opery uważali za rzecz równie oczywistą jak mycie zębów i wystawianie pustej butelki przed drzwi mieszkania, żeby mleczarz wymienić ją rano na pełną. Że opowiadałam się za elitarystycznym modelem wychowania, a przecież nie każde dziecko jest muzyczne, a jeśli nawet, wcale nie musi zapalać miłością do opery, najbardziej hermetycznej ze wszystkich form muzycznych.

Czyżby? Opera przyszła na świat we Włoszech i po dzień jest nieodłącznym elementem włoskiej kultury. W swojej ojczyźnie przyprawia o szybsze bicie serca krwiożerczych mafiosów, skorumpowanych do szpiku kości urzędników i sprzedajnych polityków. Podobnie jak Włosi i ich historia, opera bywa porywcza, pełna emocji, nieprawdopodobnych zwrotów i absurdalnych wyjść z sytuacji. Dzięki temu właśnie od setek lat idzie szturmem przez świat i zdobywa wciąż nowych widzów. Czasem za sprawą ludzi naprawdę niezwykłych.

Michael Volpe, szef londyńskiej Opera Holland Park, wychował się w rodzinie włoskich imigrantów – biednej, porzuconej przez ojca, którego czwórka rodzeństwa właściwie nie znała, pod nieobecność zaharowanej matki czerpiącej wątpliwe wzorce z ulicy w wielkomiejskich slumsach. Jeden ze starszych braci już jako nastolatek popadł w konflikt z prawem i uzależnił się od narkotyków, które z czasem miały go zabić. Dwaj młodszy – Serge i Michael – mieli więcej szczęścia. Nauczyciel ze szkoły podstawowej wysłał ich na dalszą edukację do Woolverstone Hall School – słynnego „Eton dla ubogich”, eksperymentalnej placówki z internatem w hrabstwie Suffolk, założonej w latach 50. ubiegłego wieku z myślą o chłopcach ze stołecznych „złych domów”.

Pod wieloma względami było to dość ponure miejsce: nauczyciele stosowali kary cielesne wobec uczniów, przedstawiciele starszych roczników za milczącym przyzwoleniem kadry urządzali igrzyska wojskowe „fale” nowicjusom. W tym brutalnym szaleństwie była jednak metoda. Nie dajemy wam żadnej taryfy ulgowej. Wymagamy od was tylko i aż tyle, co od bogatych paniczek z drogich, prestiżowych *boarding schools*. Oprócz regularnych przedmiotów chłopcy mieli dodatkowe zajęcia muzyczne i teatralne. Kultury politycznej i odpowiedzialności za wspólnotę uczyli się podczas

⇒ wielogodzinnych debat moderowanych przez nauczycieli. W każdym semestrze samodzielnie wystawiali jakąś sztukę bądź operę – „Matkę Courage i jej dzieci” Brechta, „Sprzedaną narzeczoną” Smetany, „Freischütz” Webera.

Volpe skończył Woolverstone z przeciętnym wynikiem i zamiast kontynuować studia, podjął pracę w zakładzie fryzjerskim. Ze szkoły wyniósł jednak etos pracy, przeświadczenie o nadrzędnej roli edukacji w kształtowaniu postaw społecznych i – *last but not least* – miłość do sztuki operowej. W młodości miał się różnych zawodów. Próbował dziennikarstwa, zajmował się marketingiem i reklamą, wreszcie objął posadę specjalisty do spraw kultury w Królewskiej gminie Kensington i Chelsea. Było to w latach 80., kiedy Gmina zdecydowała się na przejęcie Holland Park. Cała historia tamtejszej opery to dzieło Volpego, dyrektora generalnego przedsiębiorstwa, oraz jego najbliższego współpracownika Jamesa Cluttona, z którym niezmordowanie realizują swój wyśniony cel: najwyższej jakości teatr operowy dostępny dla przeciętnego zjadacza chleba.

Volpe staje na głowie, żeby ściągnąć do Holland Park widzów, którzy „w życiu by do teatru nie poszli”, między innymi kibiców swojej ukochanej drużyny piłkarskiej Chelsea F.C. Clutton dokonuje cudów, żeby ściągnąć na scenę śpiewaków, którzy nigdzie indziej nie wystąpiliby za tak marne pieniądze.

Do miejscowej legendy przeszła opowieść o pewnym przedstawieniu „Damy pikowej” Piotra Czajkowskiego, na którym Herman stracił głos i został zastąpiony w trzecim akcie przez solistę Teatru Maryjskiego, bo Clutton przypomniał sobie w przerwie, że Rosjanie przyjechali właśnie do Londynu z gościnnymi spektaklami. Kiedy zaczyna się sezon, obaj panowie właściwie nie ruszają się z miejsca. Doglądają każdego spektaklu. Wspierają muzyków i realizatorów przedstawień. Krążą wśród publiczności, częstują słuchaczy winem, wdają się z nimi w niezobowiązujące pogawędki.

Z punktu widzenia przeciętnego kulturalnego Polaka sukces Opera Holland Park jest tym bardziej zdumiewający, że większość wystawianych w niej dzieł to utwory mniej znane lub w ogóle nieznane melomanom. A mimo to w obsadach pojawiają się nie tylko młode talenty, ale też pierwsi soliści Covent Garden i prawdziwe legendy wokalistyki. Za pulpitem dyrygenckim stają dyrektorzy największych domów operowych i wykładowcy prestiżowych uczelni.

Co się dzieje!

Przykład Holland Park jest wciąż wyjątkowy, a przecież na świecie nie brakuje inicjatyw, których celem jest przyciągnięcie do teatru ludzi młodych, starych, rzekomo głuchych muzycznie, nieśmierzdzących groszem, niechętnych wszelkim przejawom kiczu, amikoszonerii i snobizmu.

Tymczasem w Polsce wciąż pokutuje przeświadczenie, że wyprawa do opery jest równoznaczna z wycieczką do swobodnego muzeum sztuki mieszczańskiej, gdzie zaserwują nam idiotyczny melodramat z równie kretyńską oprawą muzyczną: w inscenizacji odwołującej się do estetyki XIX-wiecznej (rzadziej) albo (częściej) w ujęciu któreś z modnych gwiazd teatru postdramatycznego, które stawiają sobie za punkt honoru, by wystawiane dzieło zdyskredytować,



Opery są za długie? Bardzo przepraszam, ale słynny film „Kleopatra” Josepha L. Mankiewicza z Elizabeth Taylor trwa mniej więcej tyle, co przedstawienie „Zmierzchu bogów” Wagnera.

a konstytuującą jego wartość muzykę sprowadzić do drugorzędnej roli ścieżki dźwiękowej.

W pierwszym przypadku obawiają się odnowienia traumy z dzieciństwa, w drugim – dołożenia sobie nowego stresu, że nie wyznają się na współczesnym teatrze, który jeszcze od biedy da się znieść, dopóki aktorzy posługują się ojczystym językiem. Ale gdy śpiewacy zaczynają zanosić swoje trele w jakimś niezrozumiałym narzeczu, a wyświetlany nad sceną tekst libretta nijak się ma do poczynąń reżysera – dają za wygraną i obiecują sobie więcej do opery nie pójść. Chyba że ze względów towarzyskich albo czysto wizualnych: by popatrzeć w teatrze na ładne obrazki.

Jak ich przekonać, że nie mają racji i mnóstwo na tym traci? Najpierw trzeba ich zniechęcić do budowania kate-



ROBERT WORKMAN / MATERIAŁY PRASOWE

Giuseppe Verdi, „Traviata”, Opera Holland Park,
Londyn, 29 maja 2018 r.

gorycznych opinii o operze wyłącznie na podstawie tego, co piszczy w polskich mediach. Świat operowy jest barwny jak jesienny las i można się z nim zapoznać niewielkim nakładem środków lub całkiem za darmo. Wystarczy zajrzeć na platformę OperaVision, na której kilkadziesiąt teatrów europejskich udostępnia swoje spektakle bezpłatnie, w zestawieniu z materiałami edukacyjnymi, filmami dokumentalnymi oraz nagraniami z prób i warsztatów dla młodych artystów. Warto zagłębić się w czeluści kanału YouTube, gdzie kryją się prawdziwe skarby: rejestracje spektakli sprzed co najmniej pół wieku oraz nowości, które miały premierę zaledwie kilka dni wcześniej; zremasterowane nagrania mistrzów z przełomu minionych stuleci, wywiady z gwiazdami, bezcenne materiały z prób. Warto popytac znajomych melomanów, którzy spędzają długie godziny na śledzeniu programów telewizyjnych i planów transmisji internetowych. Nie spodoba się, trudno. Złapie ktoś bakcyla – tym lepiej. Pierwsze zachwycenie wyznaczy szlak dalszych poszukiwań.

A te wymagają obalenia kolejnych stereotypów. Opery są za długie? Bardzo przepraszam, ale słynny film „Kleopatra” Josepha L. Mankiewicza z Elizabeth Taylor w roli tytułowej trwa mniej więcej tyle, co przeciętne przedstawienie „Zmierzchu bogów” Wagnera – jednej z najdłuższych oper w dziejach formy. I owszem, do kina można zabrać popcorn,

ale seans trwa bez przerwy i nie można liczyć na przekąskę ani wymianę wrażeń z przyjaciółmi w co najmniej dwóch antraktach.

Przeciętny widz nie rozumie, co się dzieje na scenie? Niestety, w czasach, gdy większość teatrów zatrudnia międzynarodowe obsady, trudno liczyć na przedstawienia z librettem tłumaczonym na język rodzimy, choć już w minionej epoce występy zagranicznych śpiewaków wzbudzały radosne skojarzenia z operową wieżą Babel. Melomani nauczyli się jakoś powściągać, kiedy radzieckie tenory wyznawały miłość po rosyjsku ognistej polskiej Cygance w „Carmen”. Nie wytrzymali na warszawskim przedstawieniu „Oniegina” w 1972 r., kiedy w partii Leńskiego wystąpił Węgier. Olga skwitowała bowiem jego enigmatyczny monolog w ojczyściej mowie dosadnym „Ja nie rozumiem, co ty do mnie mówisz” – zgodnie z polskim tłumaczeniem libretta. Śmiało się jeszcze ze dwie dekady, po czym przyzwyczailiśmy się do napisów wyświetlanych nad sceną. Kto nie lubi, zawsze może przeczytać streszczenie lub całość libretta w internecie – zanim wybierze się na spektakl.

Za drogo? Patrz wyżej: lepiej zacząć od słuchania i oglądania za darmo. Z czasem może się okazać, że nowe pantofle od Jimmy’ego Choo nie są warte uniesień po występie ukochanego tenora.

Te łzawe historyjki do nikogo dziś nie przemówią? Szkoda, że przegapili Państwo szkocką inscenizację „Jenufy” sprzed kilku lat, kiedy słuchacze komentowali rozwój akcji z równym przejęciem, jakby chodziło o kolejną odsłonę sporu, który ostatecznie doprowadził do referendum w sprawie brexitu.

W Polsce się nie da? Na litość boską, wciąż jesteśmy w Unii, nic prostszego, jak wsiąść w pociąg i pojechać tam, gdzie się da. I to może okazać się najmocniejszym argumentem dla niezdecydowanych. Opera jest znakomitą wymówką dla niepoprawnych Włóczykijów – istot, które nie potrafią nigdzie zagrać miejsca na dłużej. Jak dziś pamiętam pierwszą wyprawę do Longborough, kiedy nasz wybór padł na niewypróbowaną jeszcze linię lotniczą, żeby dotrzeć do pobliskiej wsi przed szóstą po południu, kiedy każdy porządny właściciel angielskiego pensjonatu zamyka interes na cztery spusty i nie daje się przebłagać żadnymi argumentami.

Wybór okazał się słuszny, bo autobus linii National Express – z bliżej niewyjaśnionych przyczyn – pokonał zawrotny dystans 80 kilometrów między lotniskiem a punktem docelowym w cztery godziny. Kilka dni temu wróciłam z Nancy: wobec nagłego strajku kolei francuskich musieliśmy zmienić plany i pchać się czymkolwiek do granicy z Luksemburgiem, a dalej na gapę pociągiem pośpiesznym, z którego odebrała nas znajoma i dowiozła na lotnisko. Przeżycie niemal równie dramatyczne jak zetknięcie z niewystawianą od lat operą Ernesta Reyera.

„Wszystko trzeba odkryć samemu. I również przejść przez to zupełnie samemu” – powiedział Włóczykij. Poszły za nim tysiące wyznawców prozy Tove Jansson.

Przyjmijmy, że w porwanym przez powódź teatrze z „Lata Muminków” wystawiano także opery. Naprawdę warto je odkryć. Najlepiej samemu.

© DOROTA KOZIŃSKA



Ks. Tomášowi Halíkowi i Barbarze Engelking Medale Świętego Jerzego wręczyli ks. Adam Boniecki i Michał Okoński

Pedagogika dla dorosłych

TEKST **MONIKA OCHĘDOWSKA**, ZDJĘCIA **BARTOSZ SIEDLIK**

**Za walkę ze smakiem nieczułości i ignorancji – Barbara Engelking.
Za walkę ze smakiem bałwochwalstwa – ks. Tomáš Halík.
Wręczyliśmy Medale Świętego Jerzego.**

DOGMAT JEST BRAMĄ DO KONTEMPLACJI, narzędziem wolności, nie ograniczeń. Te słowa amerykańskiej pisarki i katoliczki Flannery O'Connor pasują jak ulał do profesora Tomáša Halíka – mówił ks. Jacek Prusak podczas mszy w bazylice św. Floriana w Krakowie, która rozpoczęła 23 listopada uroczystość wręczenia Medali Świętego Jerzego. Książki prof. Halíka, wynikające z kontemplacji dogmatów, są dla jego czytelników nie ograniczeniem, lecz wyzwaniem, zachętą do poszukiwań, sposobem obcowania z Tajemnicą, poszerzają i pogłębiają naszą wyobraźnię – kontynuował ks. Prusak w swojej homilii. To szczególnie istot-

ne, ponieważ brak wyobraźni religijnej w Kościele to jeden z najważniejszych współcześnie przejawów bałwochwalstwa. A Medal trafia do rąk prof. Halíka właśnie za walkę ze smakiem idolatrii.

„Pytanie jest pobożnością myśli” – pisał laureat w tekście publikowanym kilka miesięcy temu na łamach „Tygodnika” wskazując, że chrześcijaństwo możliwe jest tylko tam, gdzie „przyznajemy, że nie mamy monopolu na jedyne właściwe odpowiedzi. Gdzie pokazujemy wiarę jako drogę poszukiwań, a nie jako ideologię”. Podczas uroczystości ks. prof. Halík wrócił do tej myśli przyznając, że „w naszym katolickim dziedzictwie jest coś takiego,

co dodaje pożywienia, siły i energii znu. To system autorytarnego, zdrętwiałego myślenia i postępowania”. To on „populistom i nacjonalistom pozwala nadużywać chrześcijańskich symboli i retoryki. A pasterzy Kościoła oślepia na tyle, że zamiast prorockiej odwagi protestu przeciw demagogom, raczej dają się zwabić do współpracy z nimi, chociaż przez to ryzykują utratę moralnego autorytetu Kościoła i w sposób oczywisty młodą generację wyrzucają z Kościoła czy od Kościoła odpychają”. Nie wolno proponować pewności, przestrzega Halík, tylko odwagę wejścia w obłok tajemnicy i życie z otwartymi pytaniami (jego przemówienie w dziale Wiara tego wydania „TP”).

Sukcesy fundamentalistycznych sekt, które – jak pisze Halík – proponują szybką, prostą i taną drogę religii bez krzyża krytycznego myślenia, to właśnie objaw bałwochwalstwa, przesunięcia czci ze Stwórcy na stworzenie, zamknięcia w doczesnym świecie – tłumaczył w laudacji na cześć teologa ks. Adam Boniecki. Oczywiście bałwochwalstwo bywa zrodzone z rozpacz, głodu i tęsknoty, z poczucia porzucenia przez Boga. ➔



Ks. Tomáš Halík, ks. Jacek Prusak, ks. Adam Boniecki, ks. Eligiusz Piotrowski i o. Józef Puciłowski w kościele św. Floriana



Galę prowadzili Maja Kuczyńska i Michał Kuźmiński



Nasi goście podczas bankietu



Piotr Mucharski, redaktor naczelny „Tygodnika”

→ Klasycznym jego obrazem jest opisany w Księdze Wyjścia moment nieobecności Mojżesza, który każe ludziom wnioskować, że Bóg ich opuścił – wskazywał ks. Boniecki. „Proszę Aarona: »Uczyń nam Boga, który by siedł przed nami, bo nie wiemy, co się stało z Mojżeszem«. W ten sposób śmierć Boga rodzi idolatrię. Kiedy Mojżesz wreszcie powraca, każe złotego cielca zniszczyć. Gniew Boga zostaje prześlany, następuje drugie przymierze. Przymierze, które jest może nawet głębsze”. Ja myślę – mówił ks. Boniecki – że w tym leży tajemnica skuteczności walki ks. Tomáša Halíka z dopuszczoną przez Boga idolatrią – to jest walka z rozpaczą ludzi, którzy mówią: „daj nam Boga, który by siedł przed nami, bo nie wiemy, co się stało”. Walka z cierpieniem.

Cierpieniem, które jest treścią ludzkiego doświadczenia – mówiła z kolei prof. Barbara Engelking, nagrodzona przez kapitułę Medalu za walkę ze smakiem nieczułości i ignorancji oraz lekcję otwartej postawy wobec bólu. Chodzi o empatię wobec tych, którzy zginęli – podkreślał w laudacji na cześć laureatki redaktor „Tygodnika” Michał Okoński. „W pracach Pani Profesor nie natrafimy na żadną pedagogikę, nie znajdziemy oburzenia i oskarżeń, przeciwnie: Pani empatia obejmuje także tych, których nie stać było na heroizm – mówił Okoński. – Ale kluczowe jest przywracanie pamięci mieszkańcom tej ziemi, których wielu po raz pierwszy doczekało się imiennej wzmianki w literaturze”.

W najważniejszym pewnie w dziejach „Tygodnika” tekście prof. Jan Błoński pisał, że można być współwinnym nie biorąc udziału w zbrodni – przypomniał Okoński. I jeszcze: „Kiedy czyta się to, co o Żydach wypisywano przed wojną, kiedy się odkrywa, ile było w polskim społeczeństwie nienawiści – można się nieraz dziwić, że za słowami nie poszły czyny”. Ale dzięki badaniom prof. Engelking wiemy już – kontynuował – że za słowami poszły czyny. Engelking przyznała, że artykuł Błońskiego był dla niej



Maja Kleszcz śpiewa piosenki Agnieszki Osieckiej

jednym z najsilniejszych impulsów do pracy, wręcz spowodował, że Zagłada stała się tematem jej życia. Szczególnie ważny okazał się poruszony przez Błońskiego temat odpowiedzialności oraz świadomość, że trzeba przestać się bronić, usprawiedliwiać, podkreślać, czego jako naród nie mogliśmy zrobić.

Tymczasem Zagłada obrosła już tyloma znaczeniami i interpretacjami, a czasem, niestety, banałami, że poszukując sensu w tym, co się wydarzyło, odkrywamy, że go po prostu nie ma. Niczym nie da się przysłonić faktu, że przysporzyliśmy Żydom cierpienia – nie tylko donoszeniem, ściganiem, podłością czy mordowaniem, przypominała badaczka. Także każdym nienawistnym komentarzem, odwróceniem wzroku, upokorzeniem, obojętnością i brakiem solidarności. Spowodowaliśmy, mówiła Engelking, że cierpienie Żydów w czasie Zagłady było większe, niż być musiało. Jedynym nienadaremnyim cierpieniem, które nam dziś pozostało, jest współczucie. Nie możemy już nikogo ostrzec ani uratować. Nikogo przywrócić do życia. „Pozostaje (...) poczucie odpowiedzialności i troska, która z tego wynika.

Troska oznacza z jednej strony opiekę i dbałość, z drugiej niepokój i uwagę”. Troska jest bliska braterstwu, żywa i aktualna. Przeciwstawiam ją – mówiła Engelking – „popularnej ostatnio pamięci, która jest historyczna, zamknięta, skoncentrowana na przeszłości”. I chociaż „zarzuca nam się uprawianie pedagogiki wstydu, a my w rewanżu określamy obecną politykę historyczną państwa jako politykę bezwstydu, to w rzeczywistości, z naszego głębokiego zaangażowania w Zagładę wynika po prostu andragogika, czyli pedagogika dla dorosłych”.

Ale oprócz troski do badania Zagłady potrzebna nam jest także cisza, dopowiedziała Engelking, akceptacja obszaru niewiedzy. „Jak najdalej jestem przy tym od tworzenia jakiegos religijnego czy mistycznego podejścia do Zagłady, chodzi mi raczej o przyzwolenie na tajemnice, których racjonalny umysł nie potrafi wyjaśnić, które pozostają nieracjonalne jak wszystkie najważniejsze ludzkie tajemnice, do których zaliczamy miłość, śmierć, cierpienie, nieskończoność czy Boga”. Jakże bliska jest ta postawa, „odwadze wejścia w obłok tajemnicy i życia z otwartymi pytaniami”, którą reprezentuje ks. Halík.

„Pan Bóg wymyślił nas w ciemnych snach, po czarnym koncercie jesieni... Musimy płynąć wciąż dalej, w pętach wąwozów i dalej, coś zaśpiewamy, coś przemilczymy, może dotrzymy do jutra, które się w końcu rozbieli” – pisała w jednym ze swoich wierszy Agnieszka Osiecka. Po odczytaniu listów gratulacyjnych prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka i metropolity łódzkiego abp. Grzegorza Rysia na scenie krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych wybrzmiały właśnie teksty Osieckiej, a ich brawurowej jazzowo-bluesowej interpretacji dokonała jedna z najlepszych polskich wokalistek, Maja Kleszcz.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Teksty laudacji i przemówień Laureatów na powszech.net/medal2019

TYGODNIK
POWSZECHNY

GŁÓWNY MECENAS

MANTA
Polska firma rodzinna

PARTNERZY UROCZYSTOŚCI

Kraków

FCA
FIAT CREDIT FINANCIAL SERVICES

Jeep
THERE'S ONLY ONE

ZAIK
Stowarzyszenie Autorów

GOŁOŚNIKI
GOŁOŚNIKI

ST
Akademia
Sztuk
Teatralnych

Belle Epoque
Residence

Exploring
Around

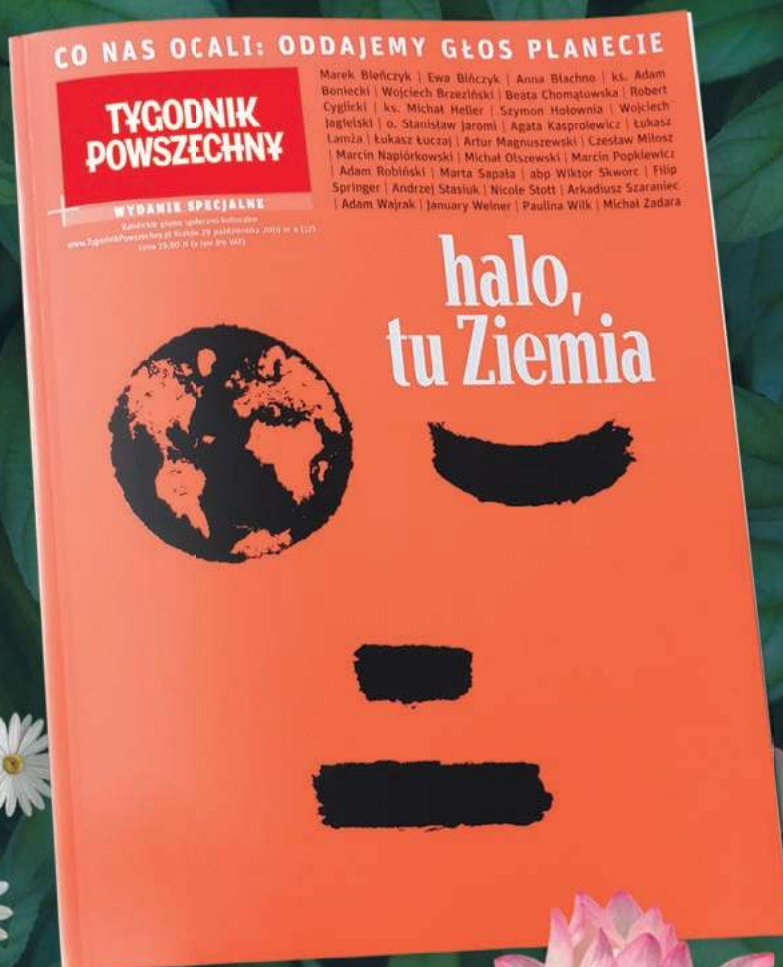
MODERN
CATERING

GEERS
DOBRY SŁUCH

60
Złoty

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!



Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

Wydanie specjalne JUŻ W SPRZEDAŻY
w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/ziemia

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

STANISŁAW

Mancewicz: Czar skojarzeń, urok piękna



NASZE NAJNOWSZE SPOSTRZEŻENIA, BĘDĄCE dowodem postępujących z wiekiem gibkości i rezolutności, obracają się wyłącznie wokół kwestii estetycznych. W ogóle – zauważamy – nic poza estetyką nie jest dziś warte namysłu i oceny. Oto – mniemy

mamy – wszelkie analizy na temat polityki polskiej uderzają jałowością bądź to jednostajnymi konkluzjami, bądź to nudą, bowiem bazą ich są definicje wzięte z nauk społecznych, politycznych czy też z ekonomii. Tymczasem motorem polityki polskiej jest buzująca uczuciowość i migotliwa estetyka. Słowem, polityka polska podlegać winna tym ocenom i opisom, którym podlegają: poezja miłosna bądź to rozerotyzowane malarstwo figuratywne, sprośne rzeźbiarstwo, zwyrodniała muzyka, teatr nieklasyczny i balet, który – to wie każdy – jest tu sztuką głęboko podejrzaną. Nie da się mówić o sztuce, o miłości, o miłości tragicznie zawiedzionej, językiem warsztatu samochodowego, i na odwrót. Wydawałoby się, że do objaśniania polityki język jest wszędy taki sam, polityczno-warsztatowy właśnie. Jest to przekonanie złudne, a życie w uludzie oceniamy bardzo ujemnie.

Wziąwszy tu natychmiast byka za rogi – popatrzmy: zarówno Krystyna Pawłowicz, jak i Stanisław Piotrowicz są zjawiskami wyłącznie estetycznymi, bo takimi być mają. Choćby stu rektorów zjedzonych przez prezydenta Andrzeja Dudę – zanim by owi do pałacowego gara wpadli – tłukło nas gronostajowymi kołnierzami, nie ulegniemy i zdania nie zmienimy. Pawłowicz i Piotrowicz to wzorzec estetyki polskiej polityki, pełną za przeproszeniem gębą. Czy da się mó-

wić o tych dwu osobach serio, posługując się wokabularzem polityki? Da się, ale po co się błąkać, skoro estetyka i jej warsztat dają pełnię szczęścia. Czy – weźmy – Jarosław Gowin jest figurą polityki? Możliwe, ale czy forsowna gimnastyka jest niezbędna? Czy doprawdy potrzebny jest do mówienia o Gowinie manual przewrotu w przód z przysiadu podpartego lub takież skoku kucznego przez skrzynię w poprzek? Po co, skoro mamy na podporządku poradnik ze słowniczkiem na temat betonowych wylewek maszynowych oraz pożywne publikacje na temat cyklizowania. Są to branże – ktoś powie – nieartystyczne, nieestetyczne, że to niepiękne rzemiosło zaledwie, ale my będziemy się spierać. Wygładzanie jest funkcją upiększania ścierniwiem. Wielki Cykliniarz nad tym czuwa, to znaczy nad Gowinem. Onże go cyklizuje, zdejmując mu warstwę po warstwie i zdmuchuje wiórki. Posłaliśmy teraz z animuszem w sferę paraboli – owszem. Idźmyż więc dalej, bowiem nasza skoczność nabiera, jak widać, ciała. Piotr Gliński – popatrzmy – to kultura. Sama czysta kultura, a nie polityka. Co nam pomoże zrozumieć, o cóż w tej odmianie kultury i estetyki biega? Stomatologia jest kluczem. „Wielki słownik terminów stomatologicznych” to jedna z najniezwyklejszych publikacji w estetycznym zasobie polszczyzny. Kto nie wierzy, niech sobie kupi, niech poczyta. Nie ma tam terminu niepasującego do działalności Glińskiego. Jest to czyste, krystaliczne przeżycie estetyczne, może nie ma tam nic, co by przypominało wybielanie jedynek, ale generalnie nie ma tam cienia ni brudnego śladu polityki. Jest to kulturalnie otwarta jama ustna, gotowa na przyjęcie kleszczy Wielkiego Dentysty. Teraz Ryszard Terlecki. Doprawdy. Czysta literatura. Mamy tu znów na myśli wyłącznie jego język, choć może ktoś wolałby określenie: ozorek. Ozorek w sosie chrzanowym. „Ozorek z błon obrać i wymoczyć, gotować do miękkości...” – tak to jakoś szło. Co prawda świat kulinariów nas głęboko nuży, ale kuchnię tradycyjną doceniamy, choć jeśli już idzie o gotowanie, to wolimy opis zjedzenia kapitana Cooka w zatoce Kealakekua.

„Piękno polega na właściwej proporcji i blasku” – powiedział Tomasz z Akwinu. Czyż nie tak? ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





MANTA

Polska firma rodzinna

REKLAMA



Radosnych,
rodzinnych
Świąt

Kamil Grosicki

MANTA

www.manta.com.pl



/miejscownik/

o kim? o czym?

o adwokacie ...

... by bezpiecznie kupować w sieci

Jesteśmy dla Ciebie **w każdym przypadku.**
Zawsze, gdy potrzebujesz porady,
opinii i pomocy prawnej.